

Nowe Zagłębie

Czasopismo
społeczno-kulturalne

nr indeksu

252352 nr 6 (6/18) listopad – grudzień 2011

cena 7 zł (zawiera 5% VAT)

Kontrowersje wokół herbu

Kamil Wójcikowski, Robert Fidura,
Dariusz Jurek

Góra Świętej Doroty

Włodzimierz Wójcik

Dąbrowscy Żydzi

Adam Szydłowski

Kurierzy białej śmierci

Henryk Kocot

WYWIADY

Jerzy Borkowski, Dariusz Winek

FELIETONY

Jadwiga Gierczycka, Jerzy Suchanek,
Andrzej Wasik, Zbigniew Adamczyk

PLASTYKA

Bronisław Chromy

Symbole Zagłębia



ODWIEDŹ NAS... NIE RAZ!



NAUKA!



ZABAWA!

EMOCJE!



RELAKS!



WOJEWÓDZKI PARK
KULTURY I WYPOCZYNKU
W CHORZOWIE

www.wpkiw.com.pl



Dwa miesiące, które upłynęły od ukazania się poprzedniego numeru „Nowego Zagłębia” obfitowały w wiele ważnych wydarzeń. Po kilku tygodniach ukonstytuował się rząd, którego premier przez ponad miesiąc unikał mediów, stwarzając wrażenie, że pracuje nad exposé. Liczono na rzucający na kolana program rządu na najbliższe cztery lata, który – jak powiedział w swym wystąpieniu Janusz Paliński – miał pokazać talenty polityczne premiera, gdy tymczasem otrzymaliśmy kilka ogólnikowych haseł, bardziej przydatnych przy tworzeniu wieloletniej strategii niż programu rządu. Dotyczy to przede wszystkim kwestii zrównania i wydłużenia czasu pracy kobiet i mężczyzn. Zabrakło natomiast propozycji rozwiązań systemowych dotyczących emerytur, określenia źródeł ich finansowania i powiązania wysokości emerytury z wielkością składki w ZUS oraz stażem pracy. W aktualnej złej sytuacji na rynku pracy, charakteryzującej się wciąż ponad 10-procentowym bezrobociem proponowane wydłużenie czasu pracy przyszedłoby emeryta utrudniłoby dostęp do rynku młodych, dobrze przygotowanych absolwentów. Nie wróć Polacy pracujący za granicą. Nie dowiedzieliśmy się nic o kierunkach zmian systemu opieki zdrowotnej. W tej dziedzinie chyba najbardziej rozchodzą się wyobrażenia rządzących i oczekiwania społeczne. Dla rządzących proces reformowania służby zdrowia zakończył się, a w uznaniu zasług w tej sprawie głównej reformatorki Donald Tusk delegował ją na zaszczytne stanowisko Marszałka Sejmu RP. Niewiele słów padło na temat polityki zagranicznej rządu, za to kilka tygodni później kontrowersyjne wystąpienie ministra spraw zagranicznych RP Radka Sikorskiego formułujące oczekiwania Polski wobec roli Republiki Federalnej Niemiec w sprawie działań na rzecz poprawy sytuacji finansowej w Europie, stało się na kilka dni przedmiotem dyskusji na temat kierunków polskiej polityki zagranicznej oraz powodem zgłoszenia przez PiS wniosku o odwołanie MSZ ze stanowiska.

Słabe exposé rządowe, pozbawione kilku ważnych wątków polityki wewnętrznej i zagranicznej każe przyłączyć się do tych opinii obserwatorów, którzy przypisywali premierowi preferencje raczej sportowe niż zawodowe. W telewizji widzieliśmy premiera na meczu piłkarskim, a nie ślęczącego nad odrabianiem państwowych lekcji.

Innym ważnym wydarzeniem były obchody Święta Niepodległości, które zamiast być manifestacją radości i dumy przekształciły się we wstydlive zamieszki chuliganów. Forma spontanicznych wydarzeń z 11 listopada wykracza poza dotychczasowe standardy i pozwala się ujawniać grupom i zbiorowościom kontestującym dzisiejsze realia, mającym różne, czasami skrajne poglądy i oceny. Kto wie, czy nie mamy do czynienia z obudzeniem się uspiętego społeczeństwa obywatelskiego. Nieliczni zastanawiali się nad tym, dlaczego w krajach, gdzie jest zdecydowanie mniej problemów społecznych, w społeczeństwach bogatszych od nas, bardziej dojrzałych demokratycznie obywatele wyrażają swoje poglądy i niezadowolenie w masowych akcjach na ulicach, a polskie społeczeństwo z olbrzymią masą problemów – śpi.

W niedzielę rano, 18 grudnia dowiedzieliśmy się o śmierci Václava Havla, ostatniego prezydenta Czechosłowacji i pierwszego prezydenta demokratycznej Republiki Czech, wybitnego pisarza, moralisty i męża stanu. Odszedł największy polityk z Europy Środkowej i Wschodniej.

Marek Barański

Ps. Z okazji zbliżających się rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego 2012 roku życzę wszystkim naszym Czytelnikom i ich Rodzinom wszelkiej pomyślności.

Nowe Zagłębie – czasopismo społeczno-kulturalne • Redaguje kolegium w składzie: Marek Barański – redaktor naczelny, Paweł Sarna – sekretarz redakcji, Maja Barańska, Ewa M. Walewska, redakcja techniczna: Tomasz Kowalski • Adres redakcji: 41-200 Sosnowiec, ul. Będzińska 65/31, tel./fax: + 48 32 733 42 27, + 48 512 175 814 • e-mail: redakcja@nowezaglebie.pl, www.nowezaglebie.pl • Wydawca: Związek Zagłębiowski • Zagłębiarka: redaguje kolektyw w składzie: Maja Barańska, Aleksandra Sarna, Paweł Barański, Paweł Sarna • Foto na okładce: ŚOT • Współpracownicy: Zbigniew Adamczyk, Paweł Barański, Przemysław Dudzik, Robert Garstka, Henryk Kocot, Tomasz Kostro, Jarosław Krajniński, Krzysztof M. Macha, Dobrawa Skonieczna-Gawlik, Piotr Smereka, Jerzy Suchanek • Druk: Progress Sp. z o.o. Sosnowiec • Nakład: 1500 egzemplarzy • Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo ingerencji w teksty zamówione. Reklamę można zamawiać w redakcji; za treści publikowane w reklamach redakcja nie ponosi odpowiedzialności • Zasady prenumeraty „Nowego Zagłębia”: Prenumeratę krajową lub zagraniczną można zamawiać bezpośrednio w redakcji lub e-mailem • Cena prenumeraty półrocznej (przesyłanej pocztą zwykłą) – 3 wydania – 20 złotych, rocznej – 40 złotych • Prenumerata zagraniczna przesyłana pocztą zwykłą – 3 wydania – 60 złotych, roczna – 120 złotych • Wpłaty na prenumeratę należy dokonywać na konto: Związek Zagłębiowski, GETIN BANK SA, 70 1560 1010 0000 9010 0006 2987.



Spis treści

Prolongata na zmiany	2
Zagłębiowskie rzemiosło i rękodzieło: koszyki z korzenia	3
Kontrowersje wokół herbu	5
Symbole Zagłębia	8
Góra Świętej Doroty	13
Dąbrowscy Żydzi	15
Kwapiszewscy	17
O Bukowieckiej	20
FILM	21
Zwyczaj i obrzędy Bożego Narodzenia na Żywiecczyźnie	22
PROZA	25
POEZJA	26
Kazimierz Ratoń – poeta zapomniany?	28
Zgodnie z prawami rynku	29
Katowice rozpoczynają inwazję.	31
Orientuj się na szlaku!	34
PLASTYKA	35
Galeria Sztuki Współczesnej „Elektrownia”	36
O ekonomii w Pałacu Schoena	39
Karty do gry przewidywały przyszłość?	41
FELIETONY	42
RECENZJE	46
Poezja znad Issy	49
Kurierzy białej śmierci	52
REGION	56



Druk i upowszechnianie czasopisma „Nowe Zagłębie” są współfinansowane przez Samorząd Województwa Śląskiego, gminę Sosnowiec i gminę Zawiercie



Śląskie. Pozytywna energia

Prolongata na zmiany

Z Jerzym Borkowskim, posłem na Sejm VII kadencji, wiceszefem Ruchu Palikota, rozmawia Henryk Kocot

W okręgu sosnowieckim kandydował Pan z 1 miejsca na liście Ruchu Palikota i otrzymał 20 292 głosy. Co zdecydowało o takim sukcesie?

Jak wiadomo, od dawna Okręg Sosnowiecki zwany był „Czerwonym Zagłębiem” mieszkańcy naszego regionu byli zmęczeni taką sytuacją, opinią, która dla wielu była wstydliva, a nawet obraźliwa. Ruch Palikota pojawił się na scenie politycznej jako nowa alternatywa, nowa formacja tworzona oddolnie przez ludzi nie uwikłanych w partyjne rozgrywki, ludzi praktycznie bezpartyjnych, bez narzucanych odgórnych wzorców ideowych, mająca ciekawy realny program z charyzmatycznym liderem Januszem Palikotem na czele. Jeżeli dodamy do tego zmęczenie bardzo dużej grupy społecznej, która widzi mieszanie się do polityki władz kościelnych oraz ma świadomość tego, jak olbrzymie nakłady finansowe na Kościół oraz instytucje pochodne ponosi państwo, coś więc musiało się stać. Dlatego też ponad 14% wynik wyborczy w naszym Regionie na Ruch Palikota jest prolongatą na zmiany, których można i trzeba dokonać, zabetonowana scena polityczna została rozbita. Oczywiście bardzo dużą zasługą jest też praca wielu ludzi w terenie w kampanii, za którą jeszcze raz serdecznie wszystkim dziękuję.

Znajomość liderem Ruchu datuje się od 1990 r., a do polityki przez duże „P” wszedł Jerzy Borkowski w 20 lat później i jest jednym z wiceszefów Ruchu Palikota. Co zdecydowało o takim właśnie stanowisku?

Jak widać po modelu Partii, bez stylu wodzowskiego, znajomość moja z Liderem Ruchu nie miała podłoża w wyborze na wiceszefa Klubu, wybrany zostałem normalną demokratyczną drogą poprzez głosowanie na pierwszym posiedzeniu a moją kandydaturę zgłosił kolega Poseł z Rybnika, którego poznałem na II Kongresie Partii w Katowicach.

Na pierwszym posiedzeniu izby niższej parlamentu zabrał Pan głos w imieniu polskich przedsiębiorców. W wystąpieniu było dużo krytyki pod adresem rządów pana premiera Donalda Tuska. Czy to coś zmieni?

Krytyka moja nie wynika z samej siebie, krytyka jest potrzebna jak dzieje się źle, jak nic



nie robi się w bardzo ważnych sprawach dla kraju, jestem przedsiębiorcą, dla mnie problemy związane z prowadzeniem działalności są znane praktycznie, a nie z teorii tak jak dla wielu polityków, którzy odpowiadają za regulacje prawne dotyczące prowadzenia działalności, stąd mój głos, doświadczyłem na własnej skórze, co to znaczy brak zachowania Vacatio Legis przy wprowadzaniu w życie nowych ustaw.

Ruch Palikota w swoim programie ma 35 postulatów, które są wyznacznikiem działalności na najbliższe 4 lata. Realizacja jakich jest priorytetowa?

Priorytetem programowym Ruchu Palikota jest realizacja czterech podstawowych filarów: Pierwszy Państwo Obywatelskie: stop finansowaniu partii z budżetu państwa, kadencyjność funkcji politycznych, likwidacja senatu, redukcja posłów do 360. Drugi - Państwo Świeckie: stop finansowaniu Kościoła z budżetu, wycofanie nauki religii ze szkół. Trzeci Państwo Przyjazne: likwidacja koncesji, zezwoleń, licencji, połączenie ZUS i KRUS, zasada milczącej zgody (zgłoś i działaj), odpowiedzialność cywilna urzędników za podejmowane decyzje. Czwarty - Państwo Społeczne: równe szanse zawodowe kobiet i mężczyzn, legalizacja związków partnerskich, edukacja sek-

sualna w szkole, legalizacja marihuany na własny użytek (do 50 g), in vitro finansowane z budżetu, odpis podatkowy do 2,5% z przeznaczeniem w/g własnego uznania.

Jako jeden z bogatszych posłów i właściciel sieci sklepów spożywczo-monopolowych, dających zatrudnienie wielu osobom, doskonale znane są Panu problemy polskich przedsiębiorców. Co najbardziej utrudnia im prowadzenie biznesu?

Jedną z największych bolączek w prowadzeniu biznesu jest start w ten biznes, załatwienie formalności z tym związanych jest koszmarem, zgody, zezwolenia, zaświadczenia, koncesje, licencje – jak to już się przez to przebrnie, to z otwartymi ramionami czeka na nas ZUS i Urząd Skarbowy. W pierwszej kolejności należałoby zlikwidować wszelkiego rodzaju wymienne zezwolenia, następnie trzeba utworzyć regulacje prawne na wzór angielski, nie musimy wcale wymyślać nowych systemów, pozwólmy działać przez dwa-trzy miesiące bez opłat dla ZUS-u i US, osoba która próbuje startu w biznesie, sama oceni czy to się opłaca i wtedy nałożymy obowiązki płacenia podatków czy opłat związanych z ubezpieczeniem w ZUS, to co mówi pan minister Szejnfeld można włożyć między bajki, nie ma jednego okienka, nie ma regulacji ułatwiających start w biznes, nie ma nawet pomysłu, jak to zrobić, my mamy takie pomysły i będziemy sukcesywnie je wprowadzać w życie.

Na co mogą liczyć wyborcy z okręgu sosnowieckiego i Zagłębia, którzy oddali ponad 20 tys. głosów na Jerzego Borkowskiego?

Wyborcy, którzy oddali na mnie głos, mogą liczyć na to, że na pewno ich nie zawiodę, bardzo ważną dla mnie sprawą jest gospodarka i na tym polu widzę swoją aktywność i determinację w dążeniu do usprawnienia procesów umożliwiających zmniejszenie do minimum problemów polskich przedsiębiorców, dlatego też zapisałem się Komisji Gospodarczej.

Dziękujemy za rozmowę.

Wikliniarstwo, kowalstwo, garncarstwo, tkactwo to tylko niektóre z dawnych zajęć mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego pozwalające na wykonanie rzeczy niezbędnych niegdyś w każdym domostwie, zajęć będących dziś tzw. „ginącymi zawodami”, „tradycyjnym ludowym rękodziełem”. Zatem rozpoczynamy cykl artykułów przybliżających zagłębiowską historię tworzenia przedmiotów nietuzinkowych lecz prostych, z dostępnych w pobliżu materiałów przy użyciu pracy rąk ludzkich.

Zagłębiowskie rzemiosło i rękodzieło: koszyki z korzenia

Dobrawa Skonieczna-Gawlik



Fot. B. Gawlik

Na ślad historii zagłębiowskiego koszyka plecionego z korzenia natrafić można nie tylko w muzealnych zbiorach, ale także w czasie zakupów na targowiskach w Sosnowcu czy Będzinie. To właśnie tam, między innymi, szukałam pozostałości dawnego plecionkarstwa z korzeni sosnowych – plecionkarstwa bardzo charakterystycznego dla terenów, gdzie występowały drzewa iglaste, plecionkarstwa, o którym wspominał już badacz kultury zagłębiowskiej Michał Federowski w swoim dziele *Lud okolic Żarek, Siewierza i Pilicy*. „Koszykarstwem zajmuje się lud niemal we wszyst-

kich wioskach. Wyrabiają kobiałki, miarki, koszyki i półkoszki z korzeni jałowcowych lub sosnowych (na wiosnę z ziemi wyciągniętych) mocne i kształtne”.

Wyroby z korzenia są bardzo wytrzymałe, więc w dawnym gospodarstwie używano ich do przechowywania zboża, magazynowania mąki, przechowywania ziemniaków, zbierania grzybów i jagód. W koszyczkach z zamykanymi wieczkami wieziono na targ kury, jaja i masło. Jeszcze do dziś w sezonie jagodowo-grzybowym na targowisku w Będzinie, pomniejszych targach w Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej można spo-

tkać osoby, które w koszykach z korzenia przywiozły z okolic Siewierza, Ogrodzieńca czy Błędowa zebrane dary lasu na sprzedaż. Jak sami mówią: „Pani eee to taki stary koszyk”. Niestety wiek tych koszyków jest również świadectwem tego, że ludzie, którzy dawno odeszli, nie przekazali wiedzy młodszemu pokoleniu. Technika wypłotu staje się zatem coraz większą tajemnicą, jak w takim razie powstawał ten bardzo trwały, wytrzymały nawet kilkadziesiąt lat przedmiot?

Rąbka tajemnicy uchylił mi pan Ma-



Początek wyplotu. Fot. B. Gawlik

rian Ścisłowski z Ryczowa-Kolonii, jedyny człowiek umiejący wyplatać z korzenia, do którego udało mi się dotrzeć w moich peregrynacjach. Człowiek ten z racji swojego słusznego wieku nie zajmuje się tym zarobkowo, nie wyplata codziennie, również trudno go namówić na pokaz wyplotu, jednakże, kiedy mi się w końcu udało – uzyskane informacje okazały się bezcenne.

Techniki wyplotu z korzenia, jak i pozyskania oraz przygotowania materiału plecionkarskiego, przekazywane są z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna. Korzeń pozyskiwano poprzez wyrwanie z ziemi długich,

cienkich płytko zalegających korzeni sosny, świerku lub jałowca. Sosenkę okopuje się motyką w odległości około metra od pnia przecinając korzenie, potem chwyta się za korzeń i wyciąga z ziemi. Może on mieć nawet kilka metrów – taki jest najlepszy. Praca ta, niezwykle trudna, wymagała dużej siły fizycznej, dlatego wykonywali ją najczęściej mężczyźni. Obróbka materiału polegała na oczyszczeniu – okorowaniu korzeni, rozszepieniu na cienkie pasma, moczeniu, suszeniu i sortowaniu. Najbardziej cenionym przez plecionkarzy tworzywem są giętke, elastyczne korzenie młodych sosen – samosiejek rosnących na piaskach, np. w okolicach Pustyni Błędowskiej. Dobrze jest też znaleźć jałowiec, z którego robi się szkielet koszyka lub gałązkę świerku na kabłąk.

Z korzenia można wyplatać, podobnie jak z wikliny stosując technikę żeberkowo-krzyżową. Wówczas to pałąk i szkielet wykonywany jest np. z jałowca, a wyplot z łupanego na pół korzenia sosnowego. Podczas rozłupywania należy uważać, aby obie części były równej grubości. Wprawny plecionkarz potrafi rozłupać gruby korzeń nawet na kilka pasemek. Rozłupany korzeń wyplatany jest półokrągłą płaszczyzną na zewnątrz, a koszyki przyjmują formę półkolistą.

Drugą techniką wykonywania przedmiotów z korzenia jest technika spiralna – oczyszczony grubszy korzeń zwany otoczką tworzy spiralnie biegnącą osnowę łączoną łupaniem na pół cieńszym korzeniem, tzw. łupkiem. Plecionkarz z Ryczowa-Kolonii ułatwia nieco so-

bie pracę, osmykując korzeń ze skóry poprzez przeciągnięcie go przez otwór w desce w ten sposób nie musi oczyszczać korzenia nożem. Następnie wybierane są otocki i materiał na łupki. Do wyplotu koszykarz używa, oprócz noża także szydła, za pomocą którego robi miejsce na przeciągnięcie łupki. Pałąk koszyka wykonywany jest najczęściej z gałęzi świerkowej, którą przed wygięciem parzy się, a następnie wygina, związuje i pozostawia do wyschnięcia, co pozwala zachować pożądany, łukowaty kształt. Praca przy wyplotie koszyka nie jest skomplikowana, wymaga jednak dużo czasu i oczywiście wprawy. Wyplecione tą techniką kosze i pojemniki są jednak niezwykle trwałe, o czym świadczą egzemplarze spotykane do dnia dzisiejszego.



Z wyplecionym koszykiem. Fot. B. Gawlik

Plecionkarstwo z korzeni niestety zanika, co spowodowane jest między innymi trudnością w zdobyciu materiału oraz pracochłonnością, a tym samym nieopłacalnością pracy. Odchodzą plecionkarze, a z nimi pamięć o dawnych tradycyjnych wyrobach z sosnowego korzenia. Podobny los spotyka wyroby ze słomy: kosze, kapelusze czy kószki, tak charakterystyczne dawniej dla naszego regionu, a wyplatane w okolicach Kozięglów. Jednakże o słomie, sitowiu oraz tajemniczej rogożynie opowiem w kolejnym artykule naszego cyklu.

Deska do smykania korzenia. Fot. B. Gawlik



Kontrowersje wokół herbu

Pomysłodawcą stworzenia herbu Zagłębia Dąbrowskiego jest Dariusz Jurek, a jego wzór został opracowany przez członków stowarzyszenia Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego. Nieoficjalny herb ma swoich licznych zwolenników, jest wykorzystywany przez coraz więcej zagłębiowskich instytucji. Ale nie brakuje też sceptyków. Prezentujemy racje obu stron. Historię powstania herbu Zagłębia Dąbrowskiego przedstawia Dariusz Jurek (FdZD), a jego oponentami są historyk Robert Fidura i heraldyk Kamil Wójcikowski.

Kamil Wójcikowski

Robert Fidura

Na stronie internetowej Regionalnego Stowarzyszenia Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego widnieje zakładka „Herb i Barwy”. Po kliknięciu w nią można oglądać herb i flagę Zagłębia:



Zacznijmy od tego, że Zagłębie Dąbrowskie nie jest jednostką samorządu terytorialnego, więc jego herb nie podlega opiniowaniu przez Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji za pośrednictwem Komisji Heraldycznej. Skutek jest taki, że co autorowi przyjdzie do głowy to umieszcza w tarczy i nie bardzo wiadomo, kto miałby ocenić jego projekt. Chyba tylko władze Stowarzyszenia.

Przyznajemy, że dość długo wpatrywaliśmy się w godło, srebrnego orła, i gdyby nie treść artykułu, nie przyszłoby nam do głowy, że ma pochodzić od orła małopolskiego (krakowskiego). Takiej stylizacji nie widzieliśmy jeszcze nigdy. Są różne stylizacje naszego orła, wystarczy porównać orła z herbu państwowego z orłem małopolskim, wielkopolskim, mazowieckim, opolskim, śląskim i innymi. Wiele Powiatów ma w swoim herbie orła lub półorła, wystarczy wpisać hasło w google.pl i wy-

świetli się ich całe mnóstwo, np. herb powiatu bielskiego:



Chcielibyśmy się jednak skupić na orle dąbrowskim. Dziób szeroko rozarty, jakby rozdarty w wypadku, niestarannie wykonane szczegóły torsu, skrzydeł, przedziwny kształt ogona, szpony w pozie wyciągniętej w stronę patrzącego i jakby zaciśnięte, ale nie dzierżą niczego. W żadnym wypadku nie przypomina nawet powołanego w opisie wzoru, czyli orła krakowskiego, z lewej w stylizacji współczesnej, z prawej w stylizacji międzywojennej (ten ostatni nie został zatwierdzony; za wikipedia.pl)



Na pierwszy rzut oka widać różnice, a przede wszystkim brak przepaski zakończonej trójkątną koniczyną. Całe uzbrojenie ma złote (dąbrowski tylko pazury i dziób). Zupełnie inaczej wygląda dziób. Tarcza jest czerwona, co znalazło odzwierciedlenie w tarczy Zagłębia w postaci górnej części tarczy dzielonej w pas. Ale jakoś mi taki podział nie pasuje, ciężko się w nim doszukać uzasadnienia. Wydaje mi się, że wystarczyło zerknąć do e-booka zamieszczonego na stronie Stowarzyszenia, do książki Piotra Bieleckiego „Krótka Historia o Zagłębiu Dąbrowskim”. Na stronie 8 tego opracowania odnajdujemy słowa:

„Reasumując, tereny Zagłębia od 1443 roku, aż do okresu rozbiorów (koniec XVIII

wieku) funkcjonowały dwójako:

- zachodnia część tj. Księstwo Siewierskie, było pod władzą biskupów krakowskich
- wschodnia część podlegała bezpośrednio Koronie Polskiej i królowi polskiemu”.

Mamy w tym cytacie wszystko, co potrzebne do zaprojektowania herbu Stowarzyszenia, czy jak kto woli Zagłębia Dąbrowskiego, bo jest odniesienie do województwa krakowskiego, którego herb powyżej oraz do Księstwa Siewierskiego, mającego swój herb, opisywany jako w złotej tarczy orzeł czarny ze złotą literą S na piersiach. Dwa orły doskonale łączą się nam w dwa półorły, na tarczy dzielonej w słup. Wykonaliśmy szkice na potrzeby artykułu

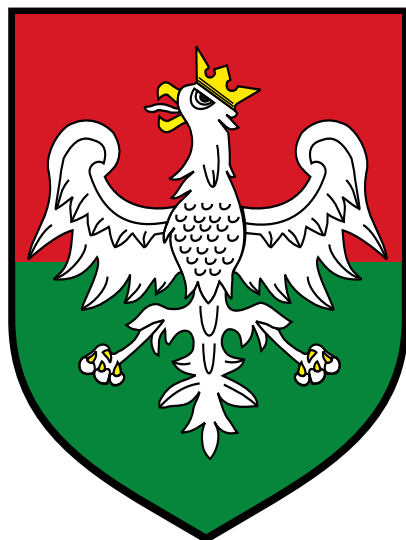


przy czym herb po lewej odzwierciedla dokładnie tynktury tarcz, herb prawy nawiązuje zielenią do tradycji górniczych.

Flaga... tu też mam pytanie. Weksyloglogia raczej preferuje taki układ, że barwa godła znajduje się w części szczytnej flagi, w przypadku flagi dzielonej w 3 pasy srebrny powinien być raczej pas górny a nie dolny; możliwe jest także przedzielenie metalem barw, czyli flaga (od góry) czerwono-srebrno-zielona. Ale jeśli umieszcza się na fladze herb, to pewnie w zupełności by wystarczyła flaga czerwono-zielona z białym orłem z herbu, np. w centralnej jej części.

Rozumiemy, że brak konieczności uzyskania pozytywnej opinii Ministra, co dla jednostek samorządu jest warunkiem sine qua non, w wypadku Stowarzyszenia może być błogosławieństwem, bo daje szersze możliwości. Tu jednak zamiast wykorzystania ich nastąpiło złamanie zasad heraldycznych i Zagłębiacy będą mieli za swój herb, który dla heraldyka nie jest herbem a cudakiem. Herb to nie tylko tarcza z umieszczonym na niej jakimś godłem, to także zasady jak stosować tynktury, jak łączyć godła, jak je stylizować, ergo nie wszystko, co jest produktem herbopodobnym jest w oczach heraldyka herbem.

PS. Artykuł został napisany nie dla heraldyków; staraliśmy się używać jak najmniej żargonu zawodowego.



Dariusz Jurek

Zaproponowany przez nas herb Zagłębia Dąbrowskiego zawiera elementy wynikające z tradycji przynależności do historycznego województwa krakowskiego, w postaci ukoronowanego stylizowanego białego (srebrnego) orła oraz w postaci górnego pasa pola tarczy herbowej w kolorze czerwonym. Szczegółowe uzasadnienie historyczno-heraldyczne znajduje się na naszej stronie internetowej, na którą serdecznie zapraszamy.

Należy tu wyraźnie zaznaczyć że jest to tylko herb społeczny, a nie instytucjonalny, gdyż nie ma niestety w naszym regionie instytucji w pełni regionalnych, jak choćby Związku Gmin i Powiatów Zagłębia.

Nasz herb może się jednym podobać, a innym nie, ale to akurat w tym momencie jest drugorzędne, ważna jest tu sama idea. Ten projekt miał wywołać i wywołał dyskusję, czy taki symbol regionu jest w ogóle potrzebny. My uważamy, że tak. Skoro mówimy o regionie, to naturalne jest że i ten region, jak każdy inny powinien mieć tak-

Herb jest używany przy okazji wielu wydarzeń regionalnych. Rocznicą powstania styczniowego pod Łazami. Fot. FdZD



że swoje własne weksykologiczne i heraldyczne oznaczenia.

Co ciekawe, pomysł który wcześniej „leżał na ulicy” znajduje obecnie wielu naśladowców i nie ma miesiąca, aby jacyś poprawiacze nie proponowali nam swoich lepszych, ładniejszych czy mądrzejszych herbów Zagłębia. Niejeden z takich „ekspertów” już nie tylko oczekiwał, ale wprost żądał abyśmy nasz herb zastąpili akurat jego pomysłem, bo jest najlepszy. Z tego, co wiemy kilka kolejnych projektów jest w opracowaniu, odbywają się też tajemnicze konsylia w tym temacie. Aż cisną się na usta pytania: gdzie wcześniej byli ci wszyscy eksperci od Zagłębia, dlaczego wcześniej nie przedstawili swoich genialnych projektów? Nie wchodzimy jednak w dyskusję czy polemiki z większością z tych osób, bo to najzwyczajniej nie ma sensu. Jak tu np. traktować kogoś takiego poważnie, gdy udając eksperta od heraldyki pisze coś takiego: „Przynajemy, że dość długo wpatrywaliśmy się w godło, srebrnego orła, i gdyby



Herb został zaakceptowany przez tysiące kibiców Zagłębia Sosnowiec, czego wyrazem są ogromne transparenty na stadionie. Fot. FdZD

nie treść artykułu, nie przyszłoby nam do głowy, że ma pochodzić od orła małopolskiego (krakowskiego). Takiej stylizacji nie widzieliśmy jeszcze nigdy”, gdy tymczasem inny „ekspert” od heraldyki zarzuca nam z kolei zbytnie podobieństwo do orła sławskiego? Najwyraźniej najlepiej im wychodzi naśladowanie cudzych pomysłów niż realne działanie na rzecz Zagłębia.

Tymczasem my (FdZD) jako pierwsi tak dokładnie opracowaliśmy i na taką skalę rozpropagowaliśmy ten symbol i to bez biegania po lokalnych urzędach czy pisania do mediów, aby wylansować swój pomysł i siebie, jak to czynią niektórzy nasi adwersarze. Wyszliśmy z założenia, że herb społeczny nie może być ani urzędowo narzucony ani sztucznie promowany, że przyjmie się tylko wtedy gdy zostanie zaakceptowany przez przestrzeń społeczną. To był z naszej stro-



Konferencje organizowane przez Wyższą Szkołę Humanitas i Instytut Zagłębiowski. Fot. FdZD

ny pewien eksperyment i jak myślę udało się gdyż herb ten został zaakceptowany przez bardzo różne, nawet krańcowo różne środowiska i to najczęściej samorządnie, bez naszego w tym udziału.

Obecnie herbem naszego pomysłu posługują się zarówno naukowcy, także historycy, Instytut Zagłębiowski, zagłębiowscy genealogi, stowarzyszenia i kluby sportowe. Herb ten malowany jest przez kibiców na różnych budynkach. Na Stadionie Ludowym eksponowany był swojego czasu olbrzymi baner (tzw. sektorówka) z motywem tego herbu. W dużych ilościach produkowane są naklejki (tzw. wlepy) z tym samym motywem spotykane od Zawiercia po Olkusz. Herb trafił już także do przestrzeni politycznej i co ciekawe ponad tymi wszystkimi nieustannymi wojnami. Pod banerem z naszym herbem maszerowali w Sosnowcu (Marsz Rotmistrza Pileckiego) członkowie i sympatycy PiS, Jarosław Pięta, poseł PO z Sosnowca od dawna używa ten herb na swoich pismach, a kandydat do Sejmu

Herb jest używany przez PTTK i jest zabierany na liczne wycieczki w różne miejsca i regiony.



RP z ramienia SLD Kazimierz Karolczak wydał w wielotysięcznym nakładzie swój „Niezbędnik Zagłębiaka”, gdzie nasze insygnia były dokładnie opisane. To wszystko wydarzyło się poza nami i bez naszego w tym udziału. Pojawiło się już także kilka komercyjnych projektów z zastosowaniem herbu naszego pomysłu.

Czy to mało na zaledwie kilkuletnie nieoficjalne funkcjonowanie? Uważamy że ten pomysł spełnił i nadal pełni pozytywną funkcję integracyjną dla Zagłębia Dąbrowskiego i dokładnie o to nam chodziło. Dostrzegana coraz powszechniej potrzeba identyfikacji z symbolami regionu takimi nawet jak nieformalny herb jest świadectwem tego że warto się było pochylić nad tym pomysłem, podnieść go z ziemi i wprowadzić w życie..

Najważniejsza w tym była, powtarzam sama idea, a sam herb z kolei jak to z herbami bywa może w przyszłości ewoluować i pięknie zachowując swoją podstawową treść. A może kiedyś doczekamy się jednak formalnych instytucji zagłębiowskich? Może one wtedy coś swojego zaproponują?

Dzieci poznają historię regionu oraz jego symbole. Fot. FdZD



Jeżeli kiedyś powstanie Związek Gmin i Powiatów Zagłębia chętnie oddamy mu nasz pomysł do dyspozycji a powołana przez ten związek komisja ustali ostatecznie wygląd zagłębiowskich insygniów które z przyjemnością zaakceptujemy.

Wszelkie próby wprowadzania przez naszych naśladowców kolejnych coraz to „lepszych” projektów na tym etapie



Herbu zgodnie używają przedstawiciele największych partii: PO, PiS i SLD w regionie Zagłębia. Fot. FdZD

promocji samej idei herbu dla Zagłębia wprowadzają tylko zamieszanie i w rzeczywistości osłabiają zagłębiowski regionalizm, działając na jego szkodę. Może swoją energię i uwagę skierują na herb województwa śląskiego, gdyż on w rzeczywistości i wbrew pozorom nie spełnia warunków heraldycznych i ci wszyscy eksperci powinni wiedzieć dlaczego? Funkcjonowanie herbu wojewódzkiego w takim kształcie jak teraz to ewidentny element marginalizacji nieśląskich ziem wchodzących w skład tej jednostki administracyjnej.

My w swoich działaniach na rzecz Zagłębia Dąbrowskiego idziemy dalej i realizujemy nasze kolejne pomysły i projekty dostrzegane i doceniane także poza naszym regionem. Realizowany przez nas etapami projekt szlaku kulturowego Via Regia w Zagłębiu Dąbrowskim, będący elementem trasy europejskiej został dostrzeżony na-

wet w Parlamencie Europejskim, skąd otrzymaliśmy pismo informujące o możliwości dofinansowania. Inny nasz projekt „Poznajemy Zagłębie” został bardzo wysoko oceniony w programie „Patriotyzm jutra”, znajdując się w niewielkiej grupie (spośród ogromnej liczby ubiegających się w konkursie), która uzyskała dofinansowanie z Muzeum Historii Polski.

Elementem tego projektu jest pomysł na internetową encyklopedię Zagłębia wzorowaną na popularnej Wikipedii i działającą na podobnej zasadzie. Korzystając z okazji chciałbym zaprosić wszystkich Czytelników do współtworzenia tej naszej regionalnej encyklopedii. Każdy może zostać w niej redaktorem, przekazując część swojej wiedzy na temat regionu, czy dodając ciekawe zdjęcie. Zapraszamy na naszą stronę internetową www.fdzd.org bądź bezpośrednio do encyklopedii: www.wikizaglebie.pl

Herb jest użytkowany przez reaktywowaną sekcję koszykówki.



Od dawna zamierzaliśmy zaproponować naszym Czytelnikom stworzenie listy symboli Zagłębia. Uznaliśmy, że najlepszym momentem będzie numer podsumowujący rok. W tym celu zwróciliśmy się do Autorytetów związanych z naszym regionem, nie narzucając żadnych ograniczeń w wyborze symboli (osoby, miejsca itd.), jak również ich liczby. Plebiscyt będzie trwał przez cały przyszły rok – do nadsyłania propozycji zapraszamy także Czytelników.

Pragniemy, aby zaproponowany przez nas plebiscyt potraktowali Państwo zarówno jako zabawę, jak i przyczynek do dyskusji na temat tożsamości lokalnej i regionalnej czy wizerunku regionu.

Symbole Zagłębia

Oprac. Paweł Sarna

Bolesław Ciepiela

Prezes Stowarzyszenia Autorów Polskich O/Będzin, Prezes SITG koło „Zagłębie” w Będzinie, wiceprezes Klubu Kronikarzy im. Jana Przemszy-Zielińskiego

Postanowiłem wskazać symbol Zagłębia – osobę. Jest nią według mnie dr **Jan Przemsza-**

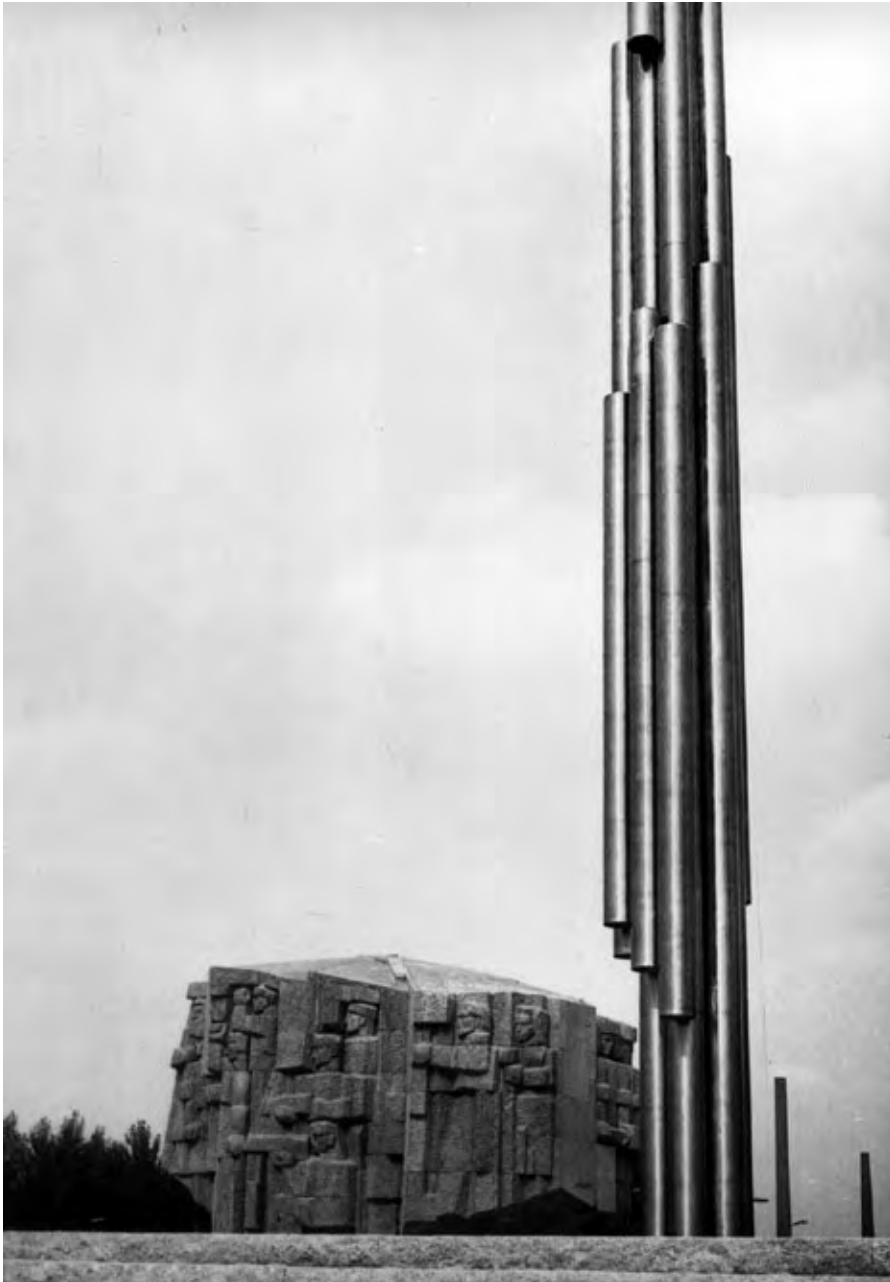
-Zieliński. Był on współtwórcą „Związku Zagłębiowskiego”, dziś znanej i powszechnie uznawanej organizacji – związku skupiającego Zagłębiaków. W założeniach organizacyjnych owego Związku Jan Przemsza-Zieliński podał, że skupiać on winien ludzi, którzy są Zagłębiakami i chcą pracować dla tego regionu. Według niego, Zagłębiakiem

jest nie tylko ta osoba, która ma zagłębiowskie korzenie, ale także ta osoba, która czuje się Zagłębiakiem.

Dziś z inicjatywy Związku Zagłębiowskiego wydawane jest czasopismo społeczno-kulturalne „Nowe Zagłębie”. Szkoda, że J. Przemsza-Zieliński nie doczekał tej chwili. Ale należy stwierdzić, że zapoczątkowaną przez Zielińskiego działalność popularyzowania Zagłębia Dąbrowskiego dziś kontynuują kronikarze skupieni w Klubie Kronikarzy Z. D. im. J. Przemszy-Zielińskiego. To m. in. Zielińskiemu poświęcone są „wieczory przy świecach” w Szkole Muzycznej w Sosnowcu (miałem przyjemność dwukrotnie przedstawić tam sylwetkę i osiągnięcia patrona klubu – J. P-Z). O dorobku Zielińskiego wiemy wiele, ale ciągle za mało. Należy wspomnieć, że w 2010 r. Klub Kronikarzy Z.D. wydał książkę pt. *Klub Kronikarzy Z.D. im. J. Przemszy-Zielińskiego. Historia, dokonania, kronikarze*. Kronikarze zagłębiowscy organizują co roku (już od 12 lat) tzw. Sympozja Zagłębiowskie im. J. P-Z, podczas któ-

Zamek w Będzinie. Fot. Muzeum w Będzinie





Nieistniejący Pomnik Czynu Rewolucyjnego w Sosnowcu. Fot. Muzeumw Sosnowcu

rych promowane jest Zagłębie. I tu znów wielka szkoda, że Jan nie doczekał. Na pewno, gdyby żył, byłby nadal wielkim autorytetem dla Zagłębia i Zagłębiaków.

Uważam, że J. Przemsza-Zieliński jest symbolem Zagłębia, bo był i pozostanie przykładem utrwalania tożsamości lokalnej i regionalnej – wizerunku całego Zagłębia Dąbrowskiego.

Prof. Adam Gierek

Posel do Parlamentu Europejskiego

Aleksy Bień – wybitny, pochodzący z biednej rodziny, działacz Polskiej Par-

tii Socjalistycznej w Zagłębiu Dąbrowskim. Aktywny przeciwnik caratu. W latach 1925–1928 prezydent Sosnowca. Posel na Sejm RP. Organizował walkę przeciw hitlerowskiemu okupantom. Jest przykładem lewicowego polityka potrafiącego z powodzeniem, dla dobra ogółu, wcielać w życie swoje poglądy.

Pomnik Czynu Rewolucyjnego w Sosnowcu – tego symbolu fizycznie już nie ma, bo został barbarzyńsko zniszczony w ramach nieudanej politycznej próby wyrwania lewicowych ideałów z serc i umysłów mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego. To wybitne dzieło sztuki

architektonicznej o jednoznacznej wymowie, nadal tkwi głęboko w świadomości społecznej.

Góra Dorotka – charakterystyczne wzgórze wyznaczające, niby naturalny drogowy szlak, szlaki do Zagłębia Dąbrowskiego z różnych stron Polski. Uwieńczone budynkiem kościoła, było przed wieloma wiekami miejscem starosłowiańskich obrzędów. Dorotka wita mnie w Zagłębiu, gdy jadę samochodem z Warszawy. Na zboczach góry jeździłem kiedyś na nartach.

Kazimierz Górski

Prezydent Sosnowca

Symbole Zagłębia kojarzą mi się przede wszystkim z Sosnowcem, bo z tym miastem jestem najbardziej związany. Dla mnie takim symbolem jest **herb Sosnowca**, który jest nie tylko oryginalny, ale i wywodzi się z naszych tradycji, historii tej ziemi.

Drugim symbolem jest **Jan Kiepusza**, nie tylko poprzez dokonania muzyczne, ale całą biografię. Trzecim symbolem Zagłębia jest **otwartość i wielokulturowość** – tutaj wszyscy czują się u siebie i chciałbym, aby to się nigdy nie zmieniło.

Barbara Gruska-Zych

Poetka, dziennikarka

Kiedy myślę Zagłębie, przed oczyma pojawia mi się kilka obrazów – warownego zamku będzińskiego, usytuowanego przy wjeździe do miasta, jakby u wrót Zagłębia, monumentalnego, czeladzkiego kościoła pw. św. Stanisława Biskupa Męczennika, wznoszącego się na wapiennym wzgórzu nad okolicą. Ale zdecydowałam się na zaproponowanie na znak rozpoznawczy regionu – **kościół pw. św. Tomasza Ap w Sosnowcu** z nowoczesnymi, dobudowanymi przez ks. prałata Jana Szkoca szklanymi wieżami. Stare, czerwone cegły przedłużone sięgającymi w niebo nowoczesnymi, przeźroczystymi wieżami, z których przy dobrej pogodzie można zobaczyć nawet Babią Górę – to dla mnie symbol Zagłębia, łączącego historię z nowoczesnością. Ostatnio, goszczący u mnie w Czelandzi pan Krzysztof Zanussi zabrał ze sobą do Warszawy widokówkę z fotą tego kościoła.



Kościół pw. św. Tomasza Apostoła w Sosnowcu. Fot. Muzeum w Sosnowcu

Dr Michał Kaczmarczyk

Prorektor Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu, Dyrektor Instytutu Zagłębiowskiego

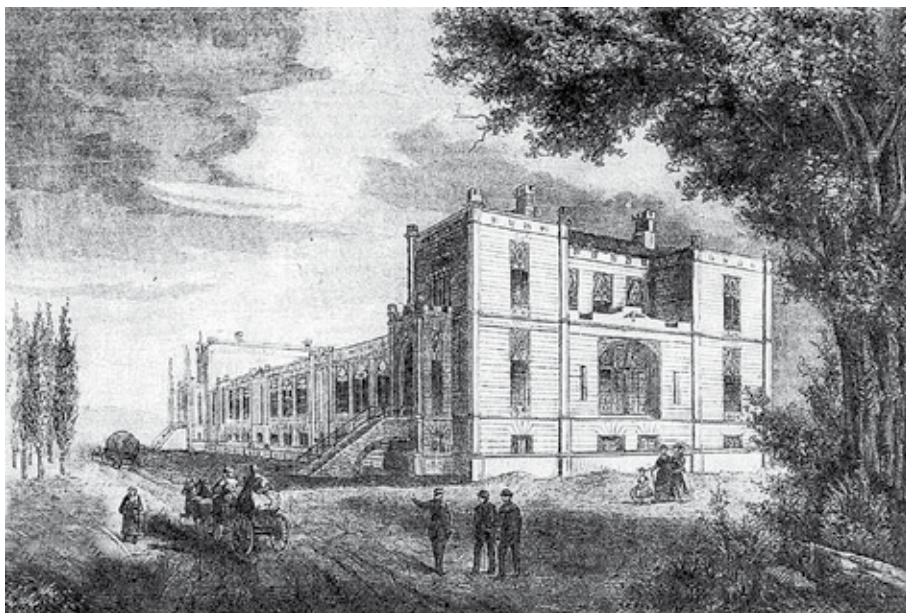
Dziękuję za zaproszenie do wzięcia udziału w plebiscycie. W odpowiedzi proponuję 3 symbole Zagłębia:

Zamek w Będzinie – jest najbardziej rozpoznawalnym obiektem historycznym Zagłębia Dąbrowskiego. Historia zamku sięga już IX wieku, choć o właściwych początkach należy mówić dopiero w wieku XIV (za panowania Kazimierza Wielkiego). Obecny wygląd zamek zawdzięcza pracom rekonstrukcyjnym z 1834 roku oraz odbudowie w latach 1952 – 1956. Odtąd też w jego wnętrzu znajduje się Muzeum Zagłębia, w którym można podziwiać kolekcję dawnej broni, ekspozycję poświęconą Będzinowi, a także innym zamkom na szlaku Orlich Gniazd. Na co dzień można także skorzystać z oferty zamkowej karczmy, a raz do roku wziąć udział w pokazach rycerskich. Z zamkiem w Będzinie wiąże się najsłynniejsza zagłębiowska legenda o powstaniu dwóch najstarszych miast regionu. Głosi ona, że król Kazimierz Wielki, przyjechawszy na tereny dzisiejszego Będzina miał wypowiedzieć zdanie: „Tu my stać Będziem, a tam Czeladź nasza. A jak miejsca Mało Będzie, to i Za Górą stanie”. Od słów króla miały więc wziąć swoją nazwę miasta: Będzin, Czeladź, Małobądz (obecnie część Będzina) i Zagórze (dzielnica Sosnowca).

Dąbrowskie Muzeum „Szttygarka” wraz ze sztolnią ćwiczebną – Zagłębie jest regionem o tradycjach przemysłowych,

dlatego szukając symboli regionu, warto wskazać na elementy dziedzictwa związane z historią gospodarczą. Obiekt Muzeum „Szttygarka”, znajdujący się przy ulicy Legionów 69 w Dąbrowie Górniczej, wybudowany został w latach 1839–1842. Inicjatorem inwestycji był Zarząd Banku Polskiego w Warszawie, a projektantem Franciszek Maria Lancii. Zanim gmach muzeum przybrał swoją współczesną formę, był siedzibą Szkoły Górniczej i Hutniczej, zwanej potocznie „Szttygarką”. W tym okresie zaczęto tam gromadzić zbiory geologiczne, które dały początek szkolnemu muzeum. Szkoła „Szttygarka” była kuźnią zagłębiowskich elit, ośrodkiem skupiającym inteligencję, ważnym czynnikiem kul-

„Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej na starej rycinie. Fot. arch.



turotwórczym, dlatego uznają ją za jeden z atrybutów tożsamości zagłębiowskiej w wymiarze historycznym.

Władysław Szpilman – szczególnie istotną rolę odgrywała w Zagłębiu społeczność żydowska. Do jej najwybitniejszych przedstawicieli należał Władysław Szpilman – urodzony 5 grudnia 1911 roku wybitny kompozytor, absolwent warszawskiej Wyższej Szkoły Muzycznej im. Chopina, a od 1935 roku pianista Polskiego Radia. W czasie II wojny światowej Szpilman przeżył likwidację Getta Warszawskiego, po upadku Powstania Warszawskiego ukrywał się w stolicy. Pod koniec wojny został ocalony przez niemieckiego oficera, a po jej zakończeniu powrócił do pracy w radiu. Szpilman był twórcą ponad pół tysiąca piosenek, w tym wielu przebojów, jak „Tych lat nie odda nikt”, „W małym kinie”, „Piosenka mariensztacka” czy „Autobus czerwony”. Do jego twórczości sięgało wielu polskich wykonawców, w tym m.in.: Anna Maria Jopek, Katarzyna Skrzynecka, Beata Rybotycka, Dorota Miśkiewicz, Agnieszka Chrzanowska, Kinga Preis, Hanna Banaszak, Ewa Bem, Zbigniew Wodecki, Robert Janowski i Ryszard Rynkowski. Dramatyczne wspomnienia Szpilmana zebrane w książce „Pianista” stały się kanwą filmu pod tym samym tytułem, wyreżyserowanego przez Romana Polańskiego. W 2003 roku film otrzymał 3 statuetki Oscara. W ostatnich latach podejmowane są próby wykorzystania postaci Szpilmana jako sosnowieckiej marki. Uchwałą Rady Miejskiej Sosnowca

rok 2011 ogłoszono „Rokiem Władysława Szpilmana”, co miało związek z obchodzoną w grudniu 2011 roku setną rocznicą urodzin kompozytora. W ramach obchodów jubileuszu Szpilmana zorganizowano m.in. plenerowy koncert piosenek sosnowieckiego twórcy oraz konkurs wokalny „AlLEGRO. Tribute to Szpilman”.

Dr Katarzyna Krzan

Redaktor naczelna wydawnictwa e-bookowo.pl A3M Agencja internetowa www.a3m.pl

Pierwsze skojarzenie, które przyszło mi do głowy to... **Zamek w Będzinie**. Ponieważ nie znalazłam innego – oddaję głos właśnie na niego :)

Dlaczego? Zamek góruje wyraźnie nad okolicą, jego istnienie podkreśla długą historię regionu, nie ma negatywnych skojarzeń, jest naszym lokalnym Wawelem, choć mocno zaniedbanym pod względem kulturalnym. Kiedyś stanowił serce miasta, rozprutego przez trasę szybkiego ruchu. Warto spojrzeć na Zamek jak na symbol naszej tożsamości kulturowo-historycznej i spróbować nadać temu miejscu nowy wymiar, by stało się ono czymś więcej niż tylko celem obowiązkowych szkolnych wycieczek. Marnuje nam się tak piękny obiekt... Symbol historyczny – Zamek w Będzinie

Imponujący, piękny, znany w Polsce i szerzej, przykład zabytkowej polskiej architektury obronnej.

Władysław Szpilman. Fot. Wikipedia



Ireneusz Łęczek

Dziennikarz, autor książek o Zagłębiu Dąbrowskim

Symbol polityczny – **Edward Gierek**

Wybitny działacz lewicy na światową skalę, cieszący się wysokim uznaniem społecznym, urodzony w Zagłębiu, pochowany w Zagłębiu.

Symbol religijny – **Matka Teresa Kierocińska**

Sosnowiecka karmelitanka, kandydatka na ołtarze, działaczka prospołeczna, ratowała dzieci żydowskie przed hitlerowską zagładą.

Symbol przemysłowy – **Huta Katowice**.

Znany dzisiaj jako ArcelorMittal, nowoczesny kombinat metalurgiczny w Dąbrowie Górniczej, którego budowa dała mocny impuls rozwojowi Zagłębia Dąbrowskiego.

Beata Małecka-Libera

Posłanka na Sejm RP

Słowa, które kojarzą mi się z Zagłębiem i moim dzieciństwem to:

**Chabinka
Biedaszyb
Zalewajka
Kartoflanka
Wodzianka
Pieczonki
Fitka**

To, co ogólnie kojarzy mi się z Zagłębiem, to bieda, ale także duże poczucie odpowiedzialności, głównie ojcowskiej, ściśle więzy rodzinne (całe pokolenia, które spotykały się nie tylko z okazji imienin i świąt, ale także np. gromadziły się licznie w dniu 1 listopada z okazji wspomnienia tych, którzy odeszli). Mimo biedy, święta były celebrowane bardzo uroczysto, wypiekało się wiele ciast, do stołu zasiadały rodziny, były wspomnienia, a z okazji Świąt Bożego Narodzenia śpiewało się kolędy.

Bardzo ważną osobą w rodzinie była matka, na której najczęściej spoczywał trud prowadzenia domu.

Teresa Orłowska

Prezes Stowarzyszenia Twórców Kultury Zagłębia Dąbrowskiego

O symbolach można pisać i mówić dużo. Mogą być nimi obiekty architektoniczne, przemysłowe, ludzie wielcy, którzy żyli lub



Jan Kiepura. Fot. Muzeum w Sosnowcu

żyją w danym regionie. Zagłębie stało na węglu i stali. Dlatego dla mnie i dla wielu ludzi mojego pokolenia symbolem zagłębia był szyb kopalni oraz postać hutnika gorącej walcowni.

Czasy się zmieniły, kopalni już nie ma, jak w wierszu Bogdana Ćwieka: „wielkie węglowe bogactwo Zagłębia/ przez dziesiątki i setki lat czerpane/ obecnie tylko w Kazimierzu symbolem/ tu jeszcze świadkiem przeszłości uznane”. Mimo to dla mnie, szyb kopalni i hutnik zawsze będzie symbolem Zagłębia. Myślę, że dla młodszych pokoleń takie budowle jak **zamek piastowski w Będzinie, Pałac Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, postać Jana Kiepury** – chłopaka z Sosnowca są ponadczasowe, na zawsze wpisane w wizerunek Zagłębia i są jego realnymi symbolami.

Prof. zw. dr hab. Mirosław Ponczek

Jest kilka symboli (instytucjonalnych i personalnych) Zagłębia, na które mógłby wskazać historyk kultury fizycznej. Zdaję sobie sprawę z tego, iż symbole te będą miały jedynie charakter subiektywny, choć w pewnym stopniu poparty znaczącym oddziaływaniem społecznym tych kategorii sportowych. Oto owe symbole:

– **Klub Sportowy Milowice** (utworzony pod zaborami – to znaczy w swego rodzaju konspiracji – w 1906 r., ale urzędowo zarejestrowany przez carską administrację reżimową dopiero, ze względów politycznych, w roku 1913);



Nieistniejąca hałda „Katarzynka” w Sosnowcu. Fot. Muzeum w Sosnowcu

– „Unia” Sosnowiec, pierwszy liczący się w Polsce klub sportowy Zagłębia, który powstał w 1931 r. z połączenia TS „Victoria” i KS „Sosnowiec”; klub ten brał m. in. udział w 1933 r. w rozgrywkach ligi państwowej (w okresie II Rzeczypospolitej w rzeczywistym systemie gier o udział w meczach klasy sportowej, zwanej obecnie ekstraklasą);

– **Górnicy Klub Sportowy „Zagłębie”** Sosnowiec (powstały w 1962 r.), czterokrotny zdobywca Pucharu Polski w piłce nożnej (1962, 1963, 1977, 1978); czterokrotnie zdobył wicemistrzostwo Polski (1955 – jako „Stal” Sosnowiec, 1964, 1967, 1972 – jak też jako „Zagłębie” Sosnowiec), trzykrotnie wywalczył trzecie miejsce w mistrzostwach Polski (1962, 1963, 1965), także wicemistrzostwo w prestiżowych międzynarodowych rozgrywkach futbolowych Amerykańskiej Interligi (w roku 1964) – historyczne znaczenie spotkania – z tej okazji w USA – z Janem Kiepurą, światowej sławy śpiewakiem operowym, z piłkarzami „Zagłębia” Sosnowiec;

– zdobycie przez sportowców Zagłębia wielu medali olimpijskich podczas realnych występów w Letnich Igrzyskach Olimpijskich (Władysław Dobrowolski – medal brązowy 1932 – Los Angeles – szabla w drużynie; Krystyna Czajkowska-Rawska – medale brązowe: 1964 – Tokio i 1968 – Mexico – siatkówka; Józef Zapędzki – medale złote: 1968 – Mexico i 1972 – Monachium – strzelanie z pistoletu; Wojciech Rudy – piłka nożna – medal srebrny – Montreal 1976; Ryszard Bosek, Wiesław Gawłowski, Włodzimierz Sadalski, Zbigniew Zarzycki – siatkówka – medale złote – Montreal 1976);

– zdobycie przez siatkarzy „Płomienia” Miłowice w Sosnowcu 16 medali mi-

strzostw Polski (przez sekcje – żeńską i męską) oraz Puchar Europy Mistrzów Krajowych w roku 1978;

– zdobycie przez hokeistów lodowych Zagłębia „Sosnowiec” pięciokrotnie tytułu mistrza Polski (1980, 1981, 1982, 1983, 1985) oraz trzykrotnie wicemistrzostwa kraju (1978, 1979, 1984) i dwukrotnie trzeciego miejsca w mistrzostwach Polski (1988, 1990).

Prawdziwym symbolem sportowym Zagłębia był w szermierze w latach 90. XX w. i w początkach XXI stulecia, Rafał Sznajder (MOSIR Sosnowiec), student i absolwent AWF Katowice, który zdobył cztery medale mistrzostw świata.

Jacek Rykała

Artysta malarz, profesor zw. malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach

Są osoby i miejsca, które pewnie wszystkim kojarzą się z Zagłębiem, jak Jan Kiepusa czy Zamek Będziński, ja wybrałem nieco inaczej.

– **Bracia Altman** – za utrwalenie ludzi i miejsc związanych z Zagłębiem na przestrzeni kilkudziesięciu lat.

– **Dworzec w Sosnowcu i ulica Modrzejowska w Sosnowcu** – bo to oś, wokół której powstawało miasto.

– **Stanisław Wygodzki** i jego opowiadania, które dzieją się w dzielnicy żydowskiej w Będzinie – dają niezwykle świadectwo obecności Żydów w Zagłębiu.

– **Jan Dorman i jego Teatr Dzieci Zagłębia w Będzinie.**

– **Góra Dorotka** w Grodźcu.

– **rzeka Brynica** jako granica pomiędzy Śląskiem i Zagłębiem.

Jerzy Lucjan Woźniak

Poeta, prozaik i eseista

Trójkąt Trzech Cesarzy. To nie symbol? Według mnie to wspinały symbol, jakże przekonujący, jakże wymowny. Bo symbole, które mają taką rangę – czyli przemawiają na rzecz integracji terytorialnej ziemi, i to ziemi jednego narodu, który na niej żyje od stuleci – a był rozdarty sztucznymi granicami – przemawiają z atomową siłą. Tu nawet nie potrzeba jakichś historycznych dokumentów, czy argumentów przechylających szalę – bo ten jeden wystarczy. I nie będę ich przytaczał. Bo musiałbym ponudzić trochę czytającego historycznymi i patriotycznymi dywagacjami. Niech ten symbol zostanie, bo jest symbolem prawdziwym, nie do obalenia, nie do zakwestionowania, trwały na amen. Zyskuje jeszcze dodatkową rangę. Zapewnia mu ją aktualna sytuacja. Europa jest wspólna; jeździmy, gdzie chcemy turystycznie, również obecnie gdzie chcemy możemy szukać pracy na naszym kontynencie – dodam, że nie na czarno, a oficjalnie. Możemy po prostu wyjść z domu, wsiąść do samochodu, (z odpowiednim zapasem gotówki czy kartą bankową) i jechać w najdalsze zakątki Europy: zwiedzić muzeum Prado w Madrycie (po drodze pochodzić po Pirenejach).

Trójkąt Trzech Cesarzy. Pocztówka. Fot. Muzeum w Sosnowcu





Góra „Dorotka” w Grodzcu. Drzeworyt Józefa Szyllera. Fot. Muzeum w Sosnowcu

Góra Świętej Doroty

Włodzimierz Wójcik

Pamięci babci po kądzieli – Emilii Nikodemowej i babci po mieczu – Jadwigi Wójcikowej

I
Pisanie o symbolach Zagłębia Dąbrowskiego jest dla mnie szczególnie trudne. To nie o brak wiedzy idzie, ale o dylemat dotyczący postawy wobec tematu. Ostatecznie muszę przyznać, że w narracji zdecydowałem się na mieszaninę podejść do sprawy, o której snuję refleksję. Urodzony w 1932 roku w wiosce Łagisza, powiatu będzińskiego, województwa kieleckiego – wędrując po różnych regionach Polski i Europy – rzadko byłem tu nieobecny dłużej niż jeden miesiąc. Tak więc mój nieprzerwany „staż zagłębiowski” ma już ponad siedemdziesiąt trzy lata. Jest rzeczą naturalną że przez ten czas znajdowałem się w środku zagłębiowskiego życia. Jestem tego życia aktywnym uczestnikiem i zarazem świadkiem, niekiedy w miarę kompetentnym źródłem informacji dla piszących o tym regionie.

Te krótkie nieobecności w mojej „najbliższej Ojczyźnie” poświęcałem na studiowanie literatury, poznawanie świata w ujęciu przestrzennym i duchowo-kulturowym, co przywiodło mnie do profe-

sji badacza literatury. Także tej o rodowódzie zagłębiowskim.

Jeden i drugi czynnik spowodował, że – postawa trzecia – miałem i mam to szczęście, iż w jakiejś mierze kreuję rzeczywistość zagłębiowską uczestnicząc czynnie w życiu literacko-artystyczno-duchowym Zagłębia. Mam na myśli kształcenie młodego pokolenia, które staje się realnym fundamentem formowania się tutaj inteligencji, zwłaszcza inteligencji twórczej, humanistycznej. A tej przecież niedostatek wyraźnie się odczuwało przez dziesięciolecia.

A teraz do rzeczy. Symbolle Zagłębia? Muszę powiedzieć, iż ich pewien zestaw w ciągu mojego życia ulegał pewnym dynamicznym zmianom. Kiedyś były tymi symbolami kopalnie „Mars”, gdzie pracował mój dziadek Maciej Nikodem oraz „Nortman”. Ale one zniknęły jeszcze przed wojną, pozostając w swoistej legendzie. Ta druga została zalana. W naszych wyobrażeniach wiało od niej grozą, ponieważ wielu śmiałków utopiło się w groźnych czeluściach tego tajemniczego akwenu. Dziś słynna symboliczna Pogoria, otoczona niemal nieprzebytym pierścieniem domków letniskowych i ekskluzywnych will, miała inny charakter. W pamięci mojego pokolenia była prawdziwym rajem – sym-

bolem wolności i nieskrępowania. Dostępna dla zwykłych zjadaczy chleba, stanowiła cel harcerskich wędrówek zwykle kończonych kilkudniowymi biwakami. Skautowskie grochówki gotowaliśmy sami (nie było wynajętych kucharek) na wodzie z dziewiczego piaszczystego jeziora otulonego polaciami pachnących żywicą sosen. Symbolle Zagłębia? Może Pustynia Błędowska, Huta Bankowa w Dąbrowie, Syberka, Kablownia, Liceum Kopernika, Zalew Przeczycy, świątynie w Grodzcu, Będzinie, Czeladzi, a przede wszystkim będziński Piastowski Zamek nad Przemszą? Pośród znacznej ilości symboli Zagłębia jeden wszakże jest mi najbliższy. Fascynujący. To Dorotka.

II

Góra Świętej Doroty, popularnie nazywana Dorotką, od wieków spogląda w zadumaniu na całe Zagłębie i na część Górnego Śląska. Kiedy od najwcześniejszych lat życia, urodzony i wiele lat mieszkający w pobliskiej Łagiszy właśnie przy ulicy Świętej Doroty, spoglądałem na tę swojską, „domową” górę, czułem się zawsze tak, jak bym przytulił głowę do bezpiecznych kolan matki. Tarasowate zbocza, od strony Lasu Grodzieckiego i od Gródkowa, porośnięte pasmami tarniny, wiosną mieniły się różnymi odmianami bieli kwiatowej, zaś jesienią fioletem cierpkich śliwek, które po pierwszych przymrozkach stawały się jadalne.

Powtarzam, zawsze dla mnie to była góra, Góra Święta. Jakież męki przeżywałem, gdy w ochronce (dzisiejsze przedszkole) „nasza Pani” uczyła nas piosenki; między innymi takiej:

Ta Dorotka, ta maluśka
Tańczyła dokoluśka.
Tańczyła ranną rosą
I tupać nóżką bosą.
Tańczyła i w południe,
Kiedy słońko świeci cudnie.
Tańczyła i wieczorem,
Kiedy słońko już za borem.
Chodzi senek koło płotka;
Cicho, oto śpi Dorotka...

Wówczas sześciolatek tak byłem zdziwiony faktem, że Dorotka, moja najmilsza góra dzieciństwa, może tańczyć niczym dziecko. Nawet gdy pojawiła się w naszej grupie sześciolatka o imieniu Dorotka, rzecz nie mogła przywrócić mi spokoju. Długo wychodziłem z tego swego zaczadzenia...

Z najgłębszych pokładów pamięci dzieciństwa wyłaniają mi się wyrazy dotyczące przedmiotów i pojęć: nazwy przestrzenne (Dorotka, „żewniwa” czyli miejsce, gdzie ojciec miał połowę cegielnię, potok Psarski, „krzykopa” oznaczająca rów na łące, Las Grodziecki, Las Gródkowski, Las Łagiski, pastwisko. Wchodziłem powoli w nazewnictwo ptaków (skowronek, wróbel, jaskółka, „cyz”, czyli czyżyk, wrona, gawron, sarna, zajęć, kuropatwa, bażant, dzik, czyli dzika świnia, dzięcioł), roślin, kwiatów, drzew i krzewów (konopie, len, mak, pszenica, owies, saradela, pospółka), instytucji i obiektów (młyn i piekarnia u Kłapci „na Brzozowicy”, Kopalnia „Grodziec”, Cementownia Grodziec, będzińskie browary „Gambrinus” i „Korona”, dwór Ciechanowskich), prac i codziennych czynności (deptanie kapusty, rwanie pierza, przebieganie ziemniaków i buraków, przesiewanie, młócenie żyta, obieranie bobu, łuskanie fasoli, wyplatanie koszyków), obrzędów (Roraty, nieszpór, adwent, post, wielki post, popielec, odpust, pierwsza komunia), pojęć (ojczyzna, patriotyzm, dziewica-bohater, posłuszeństwo, grzeczność, porządność, prawdomówność, schludność, cnota, grzech, honor. To wszystko działa się u stóp tej Świętej Góry.

W latach, gdy u stóp Dorotki nie biegła jeszcze droga szybkiego ruchu w kierunku Częstochowy i Warszawy, od Jazowego chodziliśmy dzisiejszą ulicą Mickiewicza na zbocze od strony osady nazywanej przez nas Hutą. W połowie drogi zazwyczaj odpoczywaliśmy koło małej kapliczki pilnującej ożywczego źródła, zwanego „źródłem miłości”. Na pobliskim głazie zawsze czekał na wycieczkowiczów metalowy garnuszek – dla pokrzepienia, dla ugaszenia pragnienia.

Droga z Łagiszy, przez Jazowe ku Dorotce miała w sobie coś fascynującego. Gdy przekraczało się dzisiejszą ulicę Odkrywkową, dawną Siemońską, po prawej stronie odsłaniała się wspaniała przestrzeń pól zamknięta brzozowym kręgiem brzoź Lasu Gródkowskiego i Psarskiego. Na skrzyżowaniu, na lekkim wzniesieniu poza rowem melioracyjnym, od niepamiętnych czasów stał krzyż przy którym wielokrotnie siadałem słuchając cykających świerszczy. Po lewej stronie olbrzymią połąć Lasu Grodzieckiego otwierał rząd kasztanowców zwykle zwiastujących obfitym kwitnieniem koniec roku szkolnego, bądź radujących oczy brązowy-

mi owocami w porze zbliżającej się jesieni. Dalej stała stylowa brama wjazdowa do lasu. Dzisiaj, niestety, nie ma po niej śladu. Za bramą, za łąkami obrosniętymi brzożami wiodło i wiedzie nadal swoją spokojną egzystencję osiedle zwane Huta; za nią rozciągają się rozległe pola uprawne zwykle obsiewane rzepakami. Dalej oryginalna, stylowa zabudowa będzińskiego Osiedla Zamkowego.

„Dorotka” pięknie wygląda z perspektywy Czeladzi. Wiele razy w latach czterdziestych chodziłem do tego nobliwego grodu z pięknym Kościołem, by na kopalni „Sartur”, gdzie pracował jako górnik mój ojciec Andrzej, załatwiać jakieś sprawy. Z perspektywy drogi, odbywanej rowerem, a niekiedy nawet pieszo, jaśnieje jej sylweta na tle błękitu nieba. Na naszą swojską górę od dzieciństwa spoglądał mój przyjaciel Staszek Krawczyk, poeta, obecnie mieszkający w Czerwionce-Leszczynach i zaświadczaający swoją osobą, że pomiędzy Zagłębiem i Śląskiem może istnieć duchowa łączność, a nie przepaść. Dziś oglądam z wielkim wzruszeniem Dorotkę, gdy z Czeladzi, gdzie odwiedzam przednią poetkę, Basię Gruszkę-Zych i jej dostojnych rodziców, wracam do mojej „hacjendy” w Łagiszy.

Las Grodziecki... To sprawa osobna. Nie jest zbyt wielki obszarowo – niecałe 150 hektarów. W latach trzydziestych i czterdziestych – ogrodzony był drutem kolczastym. Przechodziło się do środka tylko w wyznaczonych miejscach. Korzystały z nich miejscowe kobiety wiejskie wynoszące chrust na opał oraz jesienne liście. Od strony wschodniej była ściana dębów, dalej, ku zachodowi jawiła się aleja bukowa, tworząca przejście do Jazowego w kierunku Gzichowa, części królewskiego miasta Będzina. Od czasu do czasu spotykało się jesiony, jawory i klony. Tutaj zbieraliśmy z ojcem czerwone i szare kozaki, borowiki zwane prawdziwkami, a jesień obfitowała w tak zwane siniaki. Tu także była duża ilość krzewów czarnej jagody. Od strony południowo-wschodniej były młodniki sosnowe i świerkowe, w których niekiedy znajdowaliśmy rydze, przeważnie jednak dominowały tutaj maślaki. Runo leśne tworzyły tutaj krzewy czerwonej borówki.

Spod dachu rozłożystych liści drzew szły zwykle głosy wilgi, strzyżyka i kukłki oraz stukanie dzięcioła dużego; ponad drzewami szybowały myszołowy i jastrzębie. Z krzaków wychodziły lisy i –

niekiedy – dziki. Przez leśne – w wielu miejscach podmokłe – łąki przebiegały sarny. Swoją obecność charakterystycznym krzykiem obwieszczały bażanty. Kuropatwy wiodły swoje maleństwa na pobliskie łągiskie pola.

III

Góra Świętej Doroty – tak mocno eksponowana w serwisie zdjęciowym i w tekście *Legenda Zagłębia* Jana Pierzchały – to dopiero wspaniały temat. To sfera faktów i sfera legend i podań. Sfera symboliki. Kiedy z babcią Emilką Nikodemową, nota bene urodzoną w domu na stokach Doroty, chodziliśmy na górkę w Gołonogu, na odpust, słyszałem z jej ust barwną opowieść o powstaniu trzech zagłębiowskich wzniesień: Dorotki, górkę tak zwaną „gołonoską” i Zamkowej w Będzinie. Sypali je wielkoludy nie mający zbyt wielu narzędzi. Wskutek tego, stając okrzakiem nad wioskami, kolejno pożyczali sobie to kilofy to znów łopaty. Nic dziwnego, że na tej ziemi, opromienionej legendą pracy fizycznej przez wiele lat działała kopalnia „Grodziec” i cementownia o takiej samej nazwie. W kierunku Psar i Gródkowa, na tak zwanej Parcinie zachwycaliśmy się szybownicami, które tutaj miały swoje tereny ćwiczebne. W browarze rodziny Ciechanowskich pracowali nasi krewni i sąsiedzi. W czas wojny i okupacji ratowaliśmy się zbieraniem na polach dworskich słynnych „klósek”, które potajemnie się młóciło kijem i męło ziarno żyta. Pośród Dorotki a Hutą, jako dwunastolatkiem bawiliśmy się w wojsko. Ja miałem finkę i furażerkę ojca, kolega, Romek Płaza miał wojskową manierkę, a mój kuzyn, Janusz Dyja wydawał konspiracyjne piśmko powielane przez kalkę w pięciu egzemplarzach o nobliwym tytule: „Święta miłości kochanej Ojczyzny”. Byliśmy czytani. Trzeba powiedzieć, że wokół „Dorotki” przez całą okupację działało potajemnie kilkanaście prywatnych wypożyczalni książek. One dawały przednie owoce w procesie formowania się zagłębiowskiej inteligencji.

Moja „domowa góra”, Dorotka była zawsze i jest przedmiotem mej dumy. Wiodłem na jej przyjazne stoki wielu artystów, poetów, uczonych, intelektualistów. Na przykład Janek Różewicz, syn Tadeusza, spoglądał stąd na Zagłębie i Śląsk z zachwytem. Ambasador ONZ w Polsce Mathieu Ka-

Dąbrowscy Żydzi

Adam Szydłowski

hane i jego małżonka byli oczarowani jej sylwetką. Kiedy przywiozłem na jej szczyt Annę i Ireneusza Opackich – wprowadzając ich w prawdziwe serce Zagłębia – nie mogli wyjść z podziwu patrząc od strony północnej na lasy Gródkowa i Psar, oraz na Sarnów – enklawy pysznej zieleni. Dziwili się, że w tak zwanym regionie wielkoprzemysłowym istnieją takie rajskie zakątki. Wreszcie u stóp Dorotki, w Grodzieckim Lesie pojawiał się i Marian Kisiel z miłością obejmując złocisto-zielone pnie dorodnych buków, właśnie w słynnej „alei bukowej”... Poboczami teje alei przed dziesięcioleciami spacerowałem z córką Beatą; od lat kilkunastu bywamy tutaj z moją wnuczką Julią i „drugim dziadkiem” Danielem Piechowskim...

IV

Przez ostatnie kilkadziesiąt lat w prze-rwach posiedzeń Rady Wydziału Filologicznego w Katowicach lubię wychodzić na balkon na piątym piętrze i spoglądać na północ. Stamtąd przeważnie (jeśli nie ma anomalii pogodowych) doskonale widać moją (i naszą) umiłowaną Górę. Zresztą jest widoczna niemal zewsząd. Dziś, jako profesor obejmuję ją wzrokiem z taką samą miłością, z jaką spoglądałem na jej urokliwy kształt w najdawniejszej fazie dzieciństwa. Jestem wdzięczny losowi, że u jej stóp, w niedalekim Sosnowcu mogłem współtworzyć Wydział Filologiczny, zwłaszcza – we współpracy z Władysławem Lubasiem, Zbigniewem Jerzym Nowakiem, Ireną Bajerową, Janem Kazimierzem Zarembą, Ireneuszem Opackim i innymi przedni-mi uczonymi – uniwersytecką polonistykę. Nasze serdeczne „prace i dnie” sownie nagradzane są przepysznym plonem: wspaniałą młodą kadrą zagłębiowskich i śląskich pracowników badających literaturę polską i język ojczysty. Wielu spośród nich występuje z referatami na dzisiejszej konferencji.

Kiedy 30 września 1973 roku jako pierwszy prodziekan nowoutworzonego Wydziału Filologicznego w Sosnowcu prowadziłem w wypełnionej po brzegi Sali Teatralnej przy ulicy Żytniej (dawniej Bando) spotkanie ze społeczeństwem regionu, byłem w pełni przekonany, że otwiera się przed maturzystami nowy rozdział w ich życiu. W życiu tych spod Góry Świętej Doroty i tych spod Świętej Anny śląskiej...

W ostatnich latach w wielu miastach Zagłębia Dąbrowskiego można zauważyć, odradzającą się po latach milczenia, pamięć o byłych żydowskich mieszkańcach naszego regionu. Dni Kultury Żydowskiej w Będzinie sięgające swych początków 2003 roku, Szalom na Rynku w Czeladzi, wystawy i spotkania w Sosnowcu – te wydarzenia powoli wpisały się już w stałe imprezy o charakterze miejskim i regionalnym. Mimo iż historia Dąbrowy Górniczej być może nie jest tak odległa, jak przywołanych miast, jednak faktu istnienia dąbrowskiej Gminy Żydowskiej nie da się pominąć. Powstała stosunkowo niedawno, w 1918 roku, mimo iż jej załączki jako tzw. dozoru bożniczego datuje się 8 lat wcześniej.

Do 1916 roku na terenie miasta funkcjonowały trzy „Domy Modlitwy”, i tylko synagoga przy ulicy Okrzei, wzniesiona w 1916 roku, przetrwała aż do lat 70. ubiegłego wieku. Podczas II wojny światowej hitlerowcy zdewastowali świątynię. Po zakończeniu wojny budynek chciała przejąć protestancka Społeczność Chrześcijańska, z przeznaczeniem na zbór. Ze względu na protesty społeczności żydowskiej, nie został im jednak przekazany. Niedługo później, władze miejskie ze-

zwoliły na przebudowanie synagogi na warsztat samochodowy. W połowie lat 70. budynek został rozebrany.

Dzisiaj właściwie tamtej Dąbrowy i tamtego świata już nie ma. Próżno szukać wzniesionej synagogi przy ulicy Chopina, czy też dosyć późno założonego, bo 1929 roku, cmentarza w okolicach ulicy Hieronimskiej i Ludowej. Te kilka dzisiaj rozrzuconych macew i pomnik przy ulicy Ludowej, powstały staraniem Światowego Związku Żydów Zagłębia, to ostatnie ślady Żydów dąbrowskich.

Liczebność przedwojennej Gminy Dąbrowskiej według różnych źródeł wahała się od 5500 do 6000 Żydów. W Dąbrowie Górniczej, tak jak i w ościennych miastach, ludność żydowska trudniła się przeważnie handlem, ale znane są do dnia dzisiejszego zakłady, których właścicielami byli żydowscy przemysłowcy. Kopalnia węgla „Stanisław”, „Viktoria”, „Matylda” to tylko nieliczne przykłady. W 1920 roku powstała m.in. „fabryka wyrobów z drutu” braci Klein, znana pod nazwą Zakład Wyrobów Metalowych.

Dobra sytuacja finansowa, rozkwit gospodarczy z pewnością przyczynił się do zwiększenia się liczby mieszkańców,

Fot. R. Garstka



ale też do opanowania w prawie 50 proc. gospodarki miasta przez przedsiębiorstwa żydowskie. Żydzi dbając o oświatę, utworzyli dwie szkoły wyznaniowe. Nie pozostawali też obcy w stosunku do prowadzonej polityki. Często angażowali się w politykę, włączając się w proces tworzenia się partii politycznych. Swoje siedziby znalazły tutaj partie socjalistyczne „Bund” i „Poalej – Syjon” z odłamami prawicowymi i lewicowymi. Skuteczna agitacja w działalności lokalnej przyniosła spodziewany efekt, np. w 1919 roku w radzie miejskiej Dąbrowy Górniczej udało się stronnictwom żydowskim zdobyć 7 mandatów.

Pierwsze dni września 1939 roku przyniosły nieoczekiwany zwrot w historii nie tylko Żydów Dąbrowskich, ale i wszystkich Żydów na terenie całej okupowanej Polski. Zajęcie miasta przez wojska hitlerowskie 4 września stanowiło początek represji wobec ludności żydowskiej. Mordy, grabieże, niszczenie mienia, masowe egzekucje stały się z dnia na dzień wojenną codziennością. W ślad za prze-

śladowaniem fizycznym, następowały kolejne ograniczenia, np. w poruszaniu się po ulicach, zaopatrzeniu, zablokowania kont, przymusowej pracy czy też największego upodlenia – oznaczenia początkowo opaską z napisem „Jude”, zastąpioną w 1941 roku gwiazdą Dawida.

Pod koniec 1941 roku Niemcy utworzyli getto w rejonie ulic Chopina, Polnej, Barlickiego, Łukasińskiego i Okrzei, które przetrwało do czerwca 1943 roku, czyli ostatecznej likwidacji. Samo getto otoczone posterunkami i drutem kolczastym stało się przejściowym przystankiem na trasie do pieców Birkenau. Założone i pracujące szopy dawały tylko ciemną szansę na przeżycie, ale tak naprawdę były jedynie kolejnym elementem wyzysku i wyniszczenia Żydów w dawno przygotowanej machinie „ostatecznego rozwiązania”. Ich niewolnicza praca dawała korzyści wyłącznie właścicielom szopów i gospodarce III Rzeszy. Głód, zapłata i racje żywnościowe doprowadzały z każdym dniem do ubóstwa i śmierci.

Nadchodzący koniec następował falami, ale jego kulminacja miała miejsce we wspomnianym 1943 roku, kiedy to zlikwidowano getto, a jego „pensjonariuszy” wywieziono do Auschwitz-Birkenau. Niewielka ilość dąbrowskich Żydów, została skierowana do getta na Środuli w Sosnowcu i Kamionki w Będzinie. Ale i oni później podzielili los pozostałych, podczas pierwszych dni sierpnia 1943 roku, w trakcie ostatecznej likwidacji wspomnianych wyżej gett i masowych deportacji.

Raz do roku w okresie sierpnia przy pomniku pojawiają się nieliczni dawni mieszkańcy Dąbrowy – cudem ocaleni – przybyli z Izraela, Australii czy też Stanów Zjednoczonych. Czasem ktoś posprząta teren wokół pomnika, ktoś zapali symboliczną świeczkę, czy też położy kamień. Na szczęście raz na jakiś czas w szkole ktoś przypomni historię Dąbrowy Górniczej, która nierozdzielnie związana była z życiem i tragicznym doświadczeniem holokaustu dawnych mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego.

Fot. R. Garstka



Prezentujemy kolejny artykuł dr inż. Doroty Starościak, prawniczki inż. Stanisława Skarbińskiego, dyrektora grodzieckiej cementowni, a później -budowniczego i dyrektora zarządzającego kopalni „Grodziec”. Do grona opisanych wcześniej zasłużonych dla Zagłębia - szczególnie zaś Grodźca - spokrewnionych, spowinowaconych bądź zaprzyjaźnionych z sobą rodzin Skarbińskich, Stypułkowskich, Karszów, Pogorzelskich, Schönów i Ciechanowskich dołączają Kwapiszewscy.

Kwapiszewscy

Dorota Starościak

Przyjaźń rodziny Kwapiszewskich z rodziną Skarbińskich bierze początek w roku 1921, gdy losy zawodowe zetknęły Stanisława Skarbińskiego juniora i Włodzimierza Kwapiszewskiego w grodzieckiej cementowni. Bardzo osobiste wspomnienia związane z rodziną Kwapiszewskich znalazłam na stronie internetowej rodziny von Mauberg.

Zostały one spisane przez Wacława von Mauberg, syna dyrektora elektrowni Jowisz w Wojkowicach – Komornych. Dowiadujemy się z nich, że żoną pana Włodzimierza Kwapiszewskiego była Rosjanka Margerita, zwana powszechnie Ritą, mówiąca po polsku ze śpiewnym rosyjskim akcentem, a jedyny syn Dodo należał do wyjątkowo dobrze wychowanych młodzieńców. Tak go opisuje autor wspomnień:

„Dodo Kwapiszewski nie mógł niestety być moim kolegą i robić psot wspólnie ze mną, bo był to chłopiec poważny, o kilka lat starszy i nie miał czasu na zabawę. Miał za to w domu nauczycielkę, która przerażała z nim kurs szkoły podstawowej, co mu zabierało większość czasu. Jego resztę musiał spędzać na nauce dobrych manier i języka francuskiego, a także na prowadzeniu w tym języku korespondencji ze swoim rówieśnikiem Piotrem, synem jugosłowiańskiego króla Aleksandra I. Był do niego podobny jak brat bliźniak, co zostało przez wszystkich naocznie stwierdzone na podstawie fotografii rodziny królewskiej, zamieszczonej w prenumerowanym przez moich rodziców tygodniku „Ilustracja Polska”. Wyciętą z „Ilustracji” fotografię wysłano do Belgradu wraz z fotografią i życiorysem Doda, gdzie została zaakceptowana jako podstawa do prowadzenia „braterskiej” korespondencji z polskim sobowtorem”.

Ciekawe, że pochodzący z lat trzydziestych opis samego Włodzimierza Kwapiszewskiego: „był bardzo dystyngowany, nosił złote binokle i zawsze ładnie pachniał wodą kolońska marki Yardley” dokładnie odpowiada moim wspomnieniom z lat

sześciodziesiątych, no może za wyjątkiem binokli. Nadal jednak były to okulary w złotych ramkach.

Włodzimierz Kwapiszewski przyszedł na świat 23 maja 1882 w Gorłówce w Zagłębiu



Włodzimierz Kwapiszewski. Fot. udostępniona przez Annę Kwapiszewską

Donieckim. Wyższe studia techniczne odbył na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki we Friedbergu w Hesji. Pracował w Zagłębiu Donieckim; w latach 1910–1911 w Biurze Technicznym inż. Kałużnego i Crecunescu, a w latach 1911–1914 jako pomocnik kierownika wydziału elektryczno-mechanicznego w kopalni Szczerbiniówka. W latach 1914–1918 odbywał czynną służbę wojskową w wojsku rosyjskim. Był nie tylko wziętym inżynierem, ale i oficerem rezerwy armii carskiej w wysokim stopniu. Pewnego dnia został aresztowany przez bolszewików i jako były oficer armii carskiej skazany – po krótkiej rozprawie – na śmierć. Życie zawdzięcza robotnikom kopalni, którzy gromadnie udali się do „Czeka” (radziecki organ czuwający nad bezpieczeństwem państwa, odpowiedzialny za represje w Rosji Sowieckiej w latach 1917–1922)

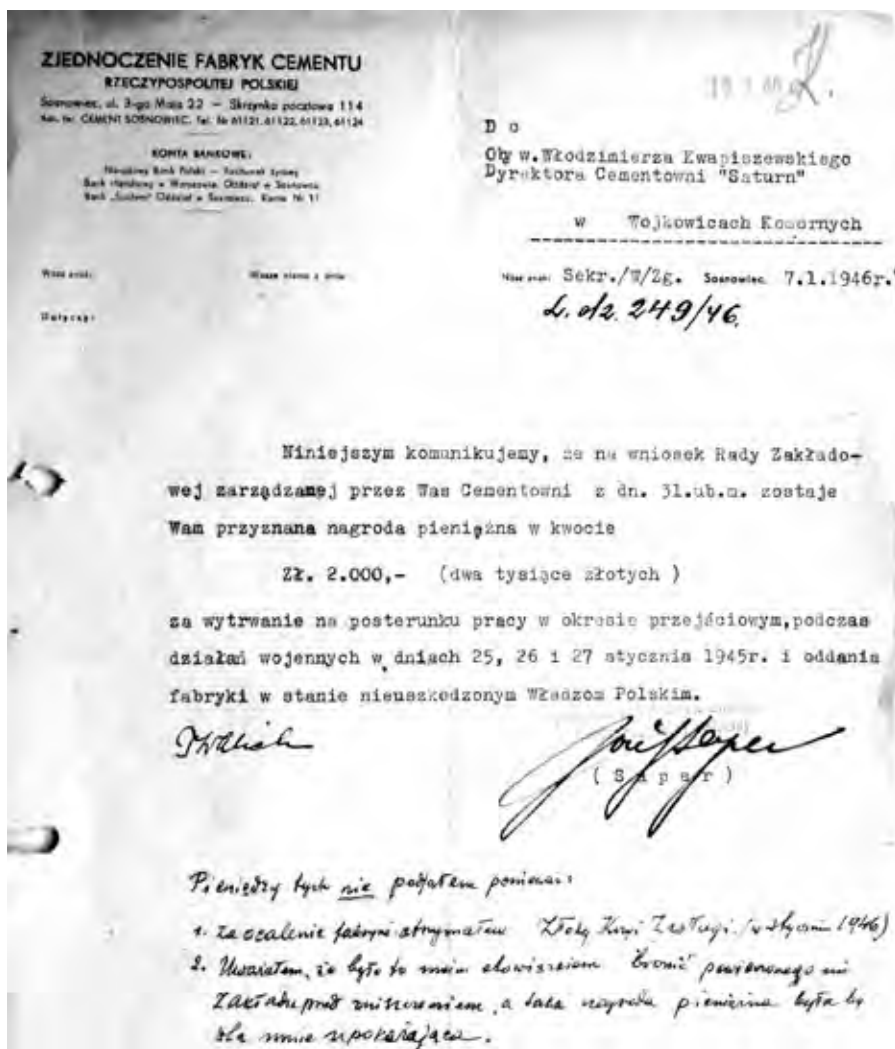
z prośbą o jego uwolnienie, uzasadniając, że nigdy nikogo nie skrzywdził, wielu pomagał, a swego czasu uratował życie 5 robotnikom, skazanym przez „białą” armię na karę śmierci. Po zakończeniu wojny pełnił funkcję kierownika wydziału elektryczno-mechanicznego w kopalni Szczerbiniówka. W grudniu 1919 r. wypłynął statkiem „Polonia” z Sewastopola do portu Galac w Rumunii. W marcu 1920 znalazł się w Polsce. Do lipca 1920 był kierownikiem warsztatów reperacyjnych, należących do Naczelnego Komisarjatu do Walki z Epidemiami Ministerstwa Zdrowia. W lipcu tegoż roku powołany został do czynnej służby w Wojsku Polskim, którą zakończył w kwietniu 1921. Po trzymiesięcznej pracy w Biurze Handlowo-Przemysłowym „Promotor” w Warszawie, w roku 1921 objął kierownictwo cementowni „Grodziec”. W związku ze sprzedażą cementowni przez dotychczasowego właściciela Stanisława Ciechanowskiego, od czerwca 1924 do kwietnia 1929 Kwapiszewski był prokurentem Zakładów „Solvay” w Polsce Tow. z o.p. (towarzystwo z ograniczoną poręką) Oddział w Grodźcu. Cementownia miała za sobą ponad 60 lat nieustającej działalności przemysłowej i była najwyższą porą na wymianę przestarzałego, mało wydajnego i nieekonomicznego wyposażenia. W ciągu 8 lat kierowania cementownią zaplanował i zrealizował gruntowną przebudowę, rozbudowę i modernizację fabryki. Cementownia otrzymała wówczas dwa nowoczesne piece obrotowe, młyny, halę składowiskową z suwnicami oraz pakownię. Po przebudowie jej zdolność produkcyjna wynosiła 250 000 ton rocznie. Zatrudnienie w roku 1928 wynosiło 390 robotników. Włodzimierz Kwapiszewski kierował cementownią „Grodziec” do stycznia roku 1929.

W roku 1928 zaproponowano mu działalność administracyjną w zarządzie zakładów „Solvay” w Warszawie. Czując się jeszcze w pełni sił, nie chciał opuścić czynnej

i twórczej pracy na rzecz siedzenia za biurkiem. Dlatego z radością przyjął propozycję Towarzystwa „Saturn”.

Dotychczasowa dobra koniunktura spowodowała, że Towarzystwo Górniczo-Przemysłowe „Saturn” w sąsiedztwie kopalni „Jowisz” w miejscowości Wojkowice Komorne rozpoczęło budowę cementowni „Saturn”. Cementownia miała być głównym odbiorcą mialu węglowego, na który w tym czasie nie było zbyt dużego zapotrzebowania. Kopalnia „Jowisz” miała dostarczać nie tylko węgiel, ale także energię elektryczną i wodę. W roku 1929 Towarzystwo „Saturn” powierzyło Kwapiszewskiemu budowę i kierownictwo tej cementowni. Wstępne prace rozpoczęto na początku 1929, a już w maju 1930 ruszyła produkcja. Z uwagi na krótki termin budowy, roboty budowlane prowadzono także zimą. Było to możliwe, bowiem zastosowano specjalny cement glinowy o nazwie „Alca-Electro”, produkowany w Łaziskach Górnych, umożliwiający betonowanie nawet przy siedmiostopniowym mrozie. Był on wielokrotnie droższy od cementu normalnego; cena jednej tony wynosiła 36,50 zł, podczas gdy cement grodziecki kosztował w tym czasie jedynie 7,50 zł (W. Kwapiszewski, *Historia cementowni „Saturn” od momentu powstania do wybuchu II wojny światowej (1929–1939)*, Cement – Wapno – Gips, nr 7–8/1968). Przeszło 90% tonażu maszyn i urządzeń zamontowanych w cementowni „Saturn” wykonał polski przemysł maszynowy na podstawie duńskiej dokumentacji, opracowanej przez firmę F. L. Smidth, tę samą, która swego czasu uczestniczyła w modernizacji cementowni „Grodziec”.

L. Zachuta podaje, że cementownię postawiono w okresie od kwietnia 1928 do czerwca 1929 [L. Zachuta, *Historia przemysłu cementowego w Polsce 1857–2000*]. Również według V. Kuttana cementownia „Saturn” powstała w roku 1928 (V. Kuttan, *Kartel cementowy w Polsce*). Natomiast sam Kwapiszewski w cytowanym wcześniej artykule na temat historii powstania cementowni jednoznacznie to rozstrzyga podając, że w latach 1927–1928 Towarzystwo „Saturn” nabywało od właścicieli wsi Wojkowice Komorne tereny pod budowę (łącznie 16 ha) oraz kamieniołomy w Sinach. W styczniu 1929 Rada Zarządzająca Towarzystwa wybrała wykonawcę – firmę Allert i Buhle z Częstochowy i dopiero w marcu



Pismo Zjednoczenia Fabryk Cementu Rzeczypospolitej Polskiej do Włodzimierza Kwapiszewskiego. Dok. udostępniony przez Annę Kwapiszewską

1929 roku ruszyły pierwsze prace ziemne. Pierwszy klinkier uzyskano 21 maja 1930 roku o 2.00 nad ranem. Produkcja cementowni w maju 1930 roku wyniosła 770 ton cementu, natomiast do końca roku przekroczyła 52 tys. ton. Cementownia była zaprojektowana na 4 piece obrotowe, jednak z uwagi na kryzys lat trzydziestych budowę ograniczono do 2 pieców obrotowych o łącznej wydajności 500 ton na dobę. Głównymi krajowymi wykonawcami cementowni były huta „Ferrum”, huta „Kościszko” i huta „Baldon”. W chwili otwarcia była to jedna z najnowocześniejszych cementowni na świecie, charakteryzująca się roczną produkcją około 52 600 ton cementu, przy zatrudnieniu 258 robotników w fabryce, 196 robotników w kamieniołomach i 173 osób w bednarni, czyli łącznie 627 pracowników. Dla pracowników – na bardzo dobrych warunkach finansowych – wybudowano kolonię domów jednorod-

zinnych, a na terenie fabryki posadzono wiele drzew i kwiatów i dlatego jako jedyna w kraju zyskała sobie miano „fabryki ogrodu”. Dewizą Kwapiszewskiego było hasło: „Piękno jest, by zachęcało do pracy”. Chciał by robotnicy i ich rodziny mieli szansę spędzania wolnego czasu w pięknym ogrodzie-parku.

Produkowany w „Saturnie” cement eksportowany był m.in. do Szwecji, Stanów Zjednoczonych i Afryki Południowej. Największym krajowym odbiorcą tego cementu było kierownictwo budowy zapory w Rożnowie.

Dyrektor Kwapiszewski znany był ze swej pracowitości, osobiście nadzorował kontrolę jakości produkcji, a także dbał o warunki bezpieczeństwa i higieny pracy, wymagając od pracowników staranności i dbałości w użytkowaniu oraz konserwacji maszyn i urządzeń. Znając świetnie kilka języków, był w stanie na bieżąco śledzić ukazujące się publikacje

w dziedzinie cementownictwa. Stawiał swoim pracownikom do dyspozycji praktycznie całą fachową literaturę światową.

Według wspomnień syna – Włodzimierza Kwapiszewskiego juniora, udostępnionych mi przez jego żonę Annę, ojciec tuż po wybuchu wojny przeżywał wielką rozterkę duchową, czy wobec zbliżających się wojsk niemieckich zniszczyć zakład, by nie służył wrogowi, czy zachować go dla Polski, gdy minie burza wojenna, a zniszczony kraj będzie potrzebował cementu. Wybrał ten drugi wariant. W pierwszych miesiącach II wojny światowej został odsunięty od formalnego kierowania fabryką. Jednakże, aż do zakończenia działań wojennych był jej faktycznym szefem, chociaż formalnie zatrudniony był jako kierownik ruchu. Oficjalnym dyrektorem był Niemiec inż. Hupertsberg, którego Kwapiszewski zręcznie odizolował od robotników oraz podwładnych urzędników. Dzięki temu, łatwiej było ukryć przed czujnym okiem okupanta niektóre „podejrzane” osoby oraz prace nie związane zupełnie z cementownią, jak naprawa radiodiodników w warsztacie elektrycznym, czy masowa produkcja mechanicznych młynków do mielenia zboża na mąkę, wykonywanych przez warsztat mechaniczny. Dzięki tym młynkom wiele rodzin pracowniczych łatwiej przetrzymało głodne lata wojenne. Kwapiszewski wykazał się konsekwencją i bezkompromisowością charakteru, rozwiązując problemy w sposób przynoszący mu szacunki, a jednocześnie – pomimo trudnych lat wojny – fabryka nie obniżyła swego poziomu tech-

nicznego. Z pisemnego świadectwa docenta Tadeusza Rumanstorfera, dyrektora kopalni „Jowisz” (1945) oraz kopalni „Sosnowiec” (1946), prezesa Wyższego Urzędu Górniczego w latach 1948–1955, doktora honoris causa AGH w Krakowie (1989), który w latach 1940–1943 był kierownikiem należącego do cementowni „Saturn” kamieniołomu w Rogoźniku wynika, że Kwapiszewski sprzyjał i chronił działania konspiracyjne podległych mu pracowników. Przykładowo przysmykał oko na nadmierne zużycie we wspomnianym kamieniołomie materiałów wybuchowych, potrzebnych do akcji sabotażowych. Według tego samego pisma Kwapiszewski uratował od wywiezienia do Niemiec wielu licealistów i studentów, dając im zatrudnienie w cementowni.

Po ucieczce administracji hitlerowskiej w styczniu 1945 wraz z garstką zaufanych robotników dzień i noc strzegł cementowni przed zniszczeniem. Chronił cenną aparaturę, a zwłaszcza piece rotacyjne, których – bez zniszczenia – nie można było nagle zatrzymać oraz silosy szlamowe, które – wobec panujących silnych mrozów – groziły zamrożeniem. Na piśmie ze stycznia 1946, wystosowanym przez Zjednoczenie Fabryk Cementu Rzeczypospolitej Polskiej, przyznającym mu nagrodę pieniężną za „wytrwanie na posterunku pracy w okresie przejściowym, podczas działań wojennych w dniach 25, 26 i 27 stycznia 1945 r. i oddanie fabryki w stanie nieuszkodzonym Władzom Polskim” własnoręcznie skreślił u spodu pisma następujące słowa, dowodzące nie tylko jego uczciwości, ale i poczucia honoru:

„Pieniędzy tych nie podjąłem, ponieważ:

1. Za ocalenie fabryki otrzymałem Złoty Krzyż Zasługi w styczniu 1946,

2. Uważałem, że było to moim obowiązkiem bronić powierzonego mi Zakładu przed zniszczeniem, a taka nagroda pieniężna byłaby dla mnie upokarzająca”.

Dzięki jego zapobiegliwości cementownia „Saturn” była pierwszą uruchomioną po wyzwoleniu cementownią. Po wojnie, aż do roku 1949, z powodzeniem pracował w cementowni „Saturn” jako ceniony fachowiec i dobry organizator w przemyśle cementowym. Z właściwą sobie systematycznością zajął się rozbudową urządzeń pomocniczych fabryki, w postaci łaźni, warsztatów i kolonii domów mieszkalnych. Pomimo opinii „białego Rosjanina” był akceptowany przez specjalistów radzieckich, pełnych uznania nie tylko dla jego wiedzy zawodowej, ale także dla perfekcyjnej znajomości technicznego języka rosyjskiego. W roku 1949 Włodzimierz Kwapiszewski powołany został do służby inwestycyjnej Centralnego Zarządu Przemysłu Cementowego, gdzie przygotowywał podstawy projektowe dla wzniesienia nowych cementowni w rejonie Strzelca Opolskich i Wierzbicy, pełniąc funkcję dyrektora budowy. Jako najstarszy stażem i najbardziej doświadczony dyrektor w przemyśle cementowym został pierwszym dyrektorem budowy cementowni „Wierzbica”.

Państwo Kwapiszewscy byli pogodnymi, serdecznymi ludźmi. Chętnie spędzali czas, w tym wspólne urlopy, w gronie znajomych i przyjaciół. Wielokrotnie spotykałam oboje w Grodźcu przy wielkanocnym stole u wuja Stanisława Skarbińskiego i cioci Stefki

Włodzimierz Kwapiszewski zapisał piękną kartę historii polskiego przemysłu cementowego, w swej pracy potrafił łączyć wyzwania inżynierskie z autentyczną troską o człowieka i jego potrzeby. W dowód uznania tych zasług, przy okazji obchodów 100-cia przemysłu cementowego w Polsce, jesienią 1957 roku odznaczony został Krzyżem Kawalerskim orderu Polonia Restituta [Włodzimierz Kwapiszewski, [w:] Cement – Wapno – Gips, nr 7-8/1958]. Z uwagi na stan zdrowia, w wieku 70 lat, Kwapiszewski wycofał się z wszelkiej aktywności zawodowej. Zmarł w roku 1977. Pochowany jest w części katolickiej sosnowieckiego cmentarza, obok żony, którą przeżył o rok. W grobie tym spoczywa także ich jedyny syn Włodzimierz junior (1923–1984), nazywany w rodzinie Dodo.

Państwo Kwapiszewscy w Polanicy; od lewej Konstanci i Irena Mauberg oraz Margerita i Włodzimierz Kwapiszewscy. Fot. udostępniona przez Wacława Mauberga



Spotkanie w Polanicy z pp. dyr. Kwapiszewskimi, również dawnymi znajomymi z Jowisza. Dn. 17.9.1953r.

O Bukowieckiej

Marian Sworzeń

Obok światłego charakteru odznaczała się siłą charakteru, wielkim entuzjazmem, czynnym patriotyzmem, gorącymi uczuciami religijnymi a także niepospolitą skromnością i dobrocią.

Julia Kisielewska

Przyszła na świat w 1844 r. w Brzozowej k. Opatowa jako jedno z ośmiorga dzieci Konstantego Konarskiego i Aleksandry z Jasieńskich. Rodzina ojca pochodziła z Litwy, należał do niej Szymon Konarski, niezłomny buntownik, zamęczony w 1838 roku. Konarscy byli kalwinami, dopiero ojciec Zofii przeszedł na katolicyzm na łożu śmierci. Po sprzedaniu Brzozowej, Konarscy przenieśli się do Malic, gdzie Zofia pędziła żywot ambitnej pani, niezsutej dworem i chętnej do uczenia wiejskich dzieci.

Gdy w 1863 r. wybuchło powstanie, pośród lekarzy u Langiewicza i Czachowskiego znalazł się Leopold Bukowiecki, ur. w 1836 r. blisko poznańskiej Środy. Mógłby zapewne spokojnie praktykować koło Sandomierza (już nostryfikował wrocławski dyplom), gdyby nie patriotyczna potrzeba (nie wszyscy się nią przejęli, mniej niż 1 proc. społeczeństwa, co prosto policzył Józef Piłsudski: Królestwo Polskie miało 4,5 mln ludzi, a na powstańczym placu boju nie było ich więcej o jednym czasie niż 30 tys.). Po powstaniu uniknął zsyłki, leczyl w Iłży, potem w Opatowie, i tu poznał Zofię, z którą się ożenił jesienią 1865 r. Z jej pomocą wyszykował wzorowo opatowski szpital św. Leona, w 1867 r. urodził im się syn Stanisław. Niestety, zimą 1869 r. doktor Bukowiecki zmarł na dur.

Owdowiała Zofia przeniosła się do rodziców, a potem do majątku jednej z sióstr, pomagając w wychowaniu jej licznych potomstwa. W 1877 r. zamieszkała w Radomiu – syn podjął tam naukę w gimnazjum, ona zaś utrzymywała się z pracy nauczycielskiej.

W tymże 1877 r. zadebiutowała w warszawskim „Przyjacielu Dzieci” opisem wyprawy Wisłą od Sandomierza do Puław, rozpoczynając trwające do końca życia pisanie adresowane do młodego czytelnika. Pisała opowiadania, powieści historyczne, dokonywała tłumaczeń, nie dość tego – od zamieszkania w Warszawie (1885

r.) nieprzerwanie prowadziła dział listów w piśmie „Wieczory Rodzinne”, działała też w Polskiej Macierzy Szkolnej. Lista jej dzieł jest imponująca, wystarczy otworzyć katalog Biblioteki Narodowej. Pisała zarówno o królach (*Kazimierz Wielki: król chłopów*, 1908), jak i o proletariackich dzieciach (*Dzieci Warszawy*, 1897), przetłumaczyła powieści rycerskie (*Historia o rycerzu Percevalu...*, 1904) i o współczesnych jej wojnach burskich (*Bohater spod Majuby*, 1902), pojawił się też temat antyczny (*Bohater tebański*, 1888). Scena z książki *Jak*



Zofia Bukowiecka. Fot. arch.

się budziła dusza w Józio (1900), gdy bohater bierze w obronę starego Żyda, nękanego przez uliczników – do dziś przejmujące i jest dowodem szacunku dla społeczności żydowskiej. Bukowiecka napisała też książeczkę całkiem zagłębiowską (ściślej: dąbrowską) *Historię o Janku górniku* (1896). Jej trzyczęściowa *Książka Zosi* (1909; w tytule: imię wnuczki) – wykład historii Polski dla najmłodszych – miała kilka wydań; do ostatniego, z 1918 r., autorka (historia też) dopisała nowe, szczęśliwe, zakończenie. Popularność tych książek była niezwykła, a dzisiaj – cóż! – pamięć o nich ledwie się tli; w *Legendach Dąbrowy Górniczej* (2010)

znalazła się dla tekstu Bukowieckiej jedna stronica: to nowa karta w przywracaniu jej pamięci.

W e-biografii Bukowieckiej (www.dabrowa.pl) ostatnie zdanie brzmi: Jej syn był radcą prawnym w jednej z kopalń dąbrowskich. Proszę uprzejmie redaktorów portalu, by zerknęli do mego artykułu z „NZ” nr 5/2011. Zgoda, Stanisław Bukowiecki był radcą prawnym, ale... był też ministrem (to trochę tak jakby pisać o biskupie, pomijając, że był papieżem). Piszę to bez najmniejszej intencji wytykania, bo sam nie mało namieszałem, myląc daty w tamtym tekście: Bukowiecka z synem mieszkała w Dąbrowie przez 6 lat (nie 5) od roku 1891 (a nie od 1901). Choć winne są źródła, jeszcze bardziej zawił ten, kto z nich korzystał...

Zofia Bukowiecka zmarła 20 marca 1920 r., gdy jej ociemniały syn, Stanisław, prezes Prokuratury Generalnej, od roku pełnił jeden z najważniejszych urzędów w niepodległej Polsce. Pisarka nie ma swojej ulicy w Dąbrowie Górniczej, ma ją za to Tierieszkowa (jej zasług dla świata nie kwestionuję, ale tych dla Polski – nie znam). Wcale się jednak o taką ulicę nie dobijam, bo to sprawa radnych. Jest jednak pewna ulica w Dąbrowie, której miano – 1 Maja (rzadkość we współczesnej Polsce) – zachęciło mnie do końcowego cytatu. Przenieśmy się teraz w myślach o wiek wcześniej, do mieszkania przy Żurawiej 22 w Warszawie. Wspomina prof. Pajewski, wówczas kilkunastoletni brzdąc:

Było to w dniu robotniczego święta 1 Maja 1918 roku, a więc jeszcze podczas wojny. O oficjalnych obchodach pierwszomajowych nie było oczywiście mowy. Pani Bukowiecka zebrała w tym dniu sporą gromadkę dzieci i w piękny, przystępny sposób mówiła nam, niedorośtom, o przypadającym właśnie święcie, o tym, kto je obchodzi i jakich wydarzeń jest ono pamiętką. Mówiła, mimo iż sama daleka była raczej od przekonań socjalistycznych,[...] a jednak nawet na tak szczególny dla siebie temat dała nam lekcję głęboką i mądrą: lekcję tolerancji i zrozumienia wobec idei i poglądów, których się nie podziela – sztuki w życiu może najtrudniejszej.

Sofia – znaczy po grecku mądrość, Zofia po polsku to samo. Mimo oddali czasu, chylę przed Panią głowę i całuję Pani rękę.

Korzystałem z książek: Julia Kisielewska: *Z Konarskich Zofia Bukowiecka* (1923), *Polski Słownik Biograficzny* t. III (1937), Janusz Pajewski: *Przeszłość z bliska* (1983), Józef Piłsudski: *Pisma* t. 3 (1937).

Koterski i kobiety

Baba, jaka jest każdy widzi. I choć wzrokiem ogarnąć da się (się da), trudno chłopu prostym rozumem swym pojąć meandry jej psychiki, osobowości i codziennych zachowań, odświętnych. Prowadzi to wszystko nie tylko do frustracji, ale i chorób przeróżnych, czy to fizycznych, czy neuroz wszelkiego rodzaju wszelkich. Nie mówiąc już o kryzysowym stanie męskości w kryzysie... Baby są jakieś inne, baby wszystkim winne są, przez baby chłopom jest źle. Ale jak tu bez nich, no jak?



Substancjonalna różnica płci to zarazem punkt wyjścia, środek ciężkości i puenta najnowszej komedii Marka Koterskiego. Przez dziewięćdziesiąt minut obserwujemy rozmowę dwóch rozgoryczonych mężczyzn, podróżujących wspólnie samochodem – Jeden (Adam Woronowicz) i Drugi (Robert Więckiewicz) wylewają żale, próbując zrozumieć damski rząd. W rzeczywistości prowadzą wzajemną psychoterapię, w wyniku której rozpracowana zostaje nie tyle tajemnica kobiecości, co ułomność męskości. I choć babom dostaje się tu równo, Koterski we właściwym sobie stylu wypełnił swoje dzieło bolesną autoironią, która wraz z rozwojem monotonnej (aczkolwiek wcale nie nudnej) akcji, zaczyna na ekranie dominować. Film o babach staje się więc filmem o chłopach, a ostrze krytyki, na poziomie tytułu prowokacyjnie wymierzone w kobiety, autor zwraca przeciwko własnej płci.

Reżyser beczelnie kpi z genderowych stereotypów, z finezją błakając się pomiędzy wyrafinowaniem a świadomości złym smakiem. Niewybredne, okołokloaczne żarty sąsiadują tu z dywagacjami o iście filozoficznej naturze. Po zapoznaniu się z materiałami promocyjnymi, pochopnie można zaliczyć *Baby są jakieś inne* do szeregu wtórnych komedii o relacjach damsko-męskich, jakich na polskim rynku ostatnimi czasy zbyt wiele. Owo wrażenie ma jednak niewiele wspólnego z rzeczywistością – jak to u Koterskiego, *Baby...* to trochę porno, trochę wysoka kultura. Wszystko dziko śmieszne i niewymownie gorzkie zarazem.

Autor buduje swój film opierając się na prostej formule:

dwóch bezimiennych bohaterów i opozycja płci odmieniana przez wszelkie możliwe przypadki. Intrygujący jest sposób prowadzenia dialogów, w których bohaterowie dublują słowa, stosując dziwaczne inwersje, popełniając błędy gramatyczne, na bieżąco je korygując. Język, zgodnie z teoriami feministycznymi będący jednym z podstawowych narzędzi patriarchalnej władzy, rozpada się równolegle z tradycyjnym wizerunkiem męskości. Niezdolność posługiwania się mową jest lustrzanym odbiciem problemów tożsamościowych, które trapią głównych bohaterów. Poza tym wszystkim, specyficzny dialog współtworzy rozedrgany, neurotyczny klimat filmu, od początku sugerując chwiejność i założoną niespójność przedstawianych treści.

Pęknięcia pojawiają się nie tylko w strukturze dialogu, ale i samej narracji filmu. Długie sekwencje jazdy samochodem przerywają sceny o niepewnym statusie ontologicznym, w których kolejne „baby” jawią się w postaci klisz z baśni, książek czy filmów erotycznych. Ich zakotwiczenie w świecie przedstawionym jest umowne i traktować wypada je raczej jako emanację psychiki głównych bohaterów czy ucieleśnienie stereotypów, niż postaci z krwi i kości.

Baba funkcjonuje więc w filmie Koterskiego jako fantazmat, podczas gdy podmiotowość arbitralnie przypisana jest tu chłopu. Typowa dla kina patriarchalnego optyka? Bynajmniej. Męski podmiot rozpada się na naszych oczach, ujawniając nie tylko słabości brzydszej płci, ale i niemożność istnienia tak zwanego „męskiego kina”. Reżyser odsłania bezradność języka (zarówno naturalnego, jak i filmowego) wobec podejmowanej tematyki, pokazuje jego miałość względem czegoś, wydawałoby się, tak prostego jak różnica płci. Mówiąc o kobietach męskim językiem nie dotrze się do sedna, można co najwyżej powiedzieć przez przypadek co



niedużo o mężczyznach. Koterski, problematyzując w swoim filmie dyskurs płci, jest tego w pełni świadomy.

Być może stąd bierze się nutka goryczy, która pozostaje w widzu po seansie. *Baby są jakieś inne* to film zabawny, ale nie wesoły. Należy o tym pamiętać, zanim zdecyduje się go obejrzeć.

Paweł Świerczek

Zwykle w numerach okolicznościowych przypominaliśmy Państwu zwyczaje oraz obrzędy zagłębiowskie – zachęcamy do przetrwania numerów archiwalnych. Tym razem przedstawiamy tradycje z okolic Żywca.

Zwyczaje i obrzędy Bożego Narodzenia na Żywiecczyźnie

Gabriela Zając

Czas oczekiwania, czas wróżb i grudniowe długie noce

Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku to czas, z którym związane są najpiękniejsze tradycje i obrzędy ludowe Żywiecczyzny. Nazywano te święta Godami i powszechnie uważano za najważniejsze święta roku kościelnego. Górale Beskidu Żywieckiego zamieszkujący region południowego pogranicza od najdawniejszych wieków mieli możliwość kontaktu z kulturą słowacką, wołoską, węgierską, romską i żydowską. Oryginalność kultury ludowej tego regionu polega między innymi na tym, że odnajdujemy w niej elementy wywodzące się z tradycji tych narodów.

Święto narodzin Jezusa poprzedzał 4-tygodniowy okres oczekiwania, czas przygotowania się na przyjęcie Zbawiciela. Milkły wszelkie śpiewy, odstawiono instrumenty muzyczne, zaprzestawano noszenia kolorowych paradnych strojów, przestrzegano surowych postów zwłaszcza w piątki, środy i soboty. Nie wolno było ruszać uspięnej ziemi czyli wykonywać prac w polu, bo groziło to nieurodzajem. Urozmaicheniem czasu Adwentu było obchodzenie wigilii świętego Andrzeja, z którym z „dawien dawna” związany był zwyczaj panieńskich wróżb, odczytywania przyszłości z analizy woskowych brył powstałych z lanego wosku i zastygłych w naczyniu z wodą.

Wróżono sobie także w inny sposób. W odwrócone denkiem do góry gliniane garnuszki wkładano różne przedmioty, a następnie wybrany losowo przedmiot odsłaniał przyszłość. I tak wyciągnięcie grudki soli oznaczało ciężkie życie, gałązki mirtu – družbowanie na weselu, grudki gliny – nadchodzącą śmierć, pierścionka – rychłe zamążpójście, różaniec – życie zakonne w klasztorze, lalki z gałganków – urodzenie nieślubnego dziecka. Wróżono także w inny sposób. Ustawiono kierpce jeden za drugim, który pierwszy wyszedł na próg izby tę pannę w nadcho-

dzącym roku czekało wesele. Podobnie rzecz miała się z gąsiorem, któremu zakrywano oczy, do której panny jako do pierwszej podszedł, ta miała wyjść za mąż. Na noc wkładały dziewczyny pod poduszkę trzy kawałki drewna. Jeden z korą, drugi na wpół z niej obdarty i trzeci całkiem goły. Rano zaraz po przebudzeniu dziewczyna powinna lewą ręką energicznie sięgnąć pod poduszkę i wyciągnąć jeden kawałek drewna. Ten z korą symbolizował bogatego męża, średnio okorowany – męża mało zamożnego. Najgorzej było z drewnem całkowicie okorowanym. Wyciągnięcie tego kawałka oznaczało już tylko biedę przez całe nadchodzące życie.

Dzień św. Mikołaja jako czas obdarowywania dzieci prezentami był do lat 60. XX wieku nieznany.

W tradycji wszystkich górali karpacckich św. Mikołaj uważany był za władcę wilków i opiekuna pasterzy. Jedna z góralskich legend opowiada jak w ten dzień stateczny gazda udał się do lasu i już z dala na polanie dostrzegł żarzące się ognisko, wokół niego siedzącego na pniu drzewa siwuteńkiego starca otoczonego wielką zgrają wilków. Udało się mu niespostrzeżenie podkraść bardzo blisko skraju polany i słyszał jak starzec, a był to święty Mikołaj, umawia się z wilkami, którym gazdom można zabrać w nadchodzącym roku po kilka owiec.

Ważnym dniem był 13 grudnia – dzień św. Łucji. Na ten czas przypadają jedne z najkrótszych dni roku i najdłuższe noce. Święta Łucja dnia przyrzeka – powiada ludowe przysłowie. Ta najdłuższa noc, jak też nadchodzący dzień, miał należeć do czarownic. Bacznie obserwowano w tym dniu otoczenie, bano się szczególnie kobiet, które ucieleśniały grasujące wiedźmy. Zły był to znak, kiedy w tym dniu jakaś kobieta udała się z sąsiedzką wizytą. Z pewnością groziło takiej miano czarownicy i wszelkie niepowodzenia gospodarcze przypisywano jej czarom. Czarow-

nice w tym dniu najbardziej grasowały po wsi, usiłując coś ukrąść lub podrzucić czarę w postaci uschniętej żaby czy kości z nieboszczyka. Ścisłe przestrzegano pożyczania z gospodarstwa czegokolwiek, gospodynie do tego dnia odkładały przez dwanaście dni po jednej szczapie drewna opałowego, aby po wieczery wigilijnej rozpaść z niego w piecu. Od św. Łucji rozpoczynano wróżby dotyczące pogody na cały rok. Obserwowano pogodę przez kolejne 12 dni aż do Bożego Narodzenia, a każdy z tych dni oznaczał jeden miesiąc nadchodzącego roku. Jaka pogoda była w danym dniu takiej spodziewano się w określonym miesiącu.

Kolejny ważny dzień w kalendarzu poprzedzającym Boże Narodzenie to dzień św. Tomasza 21 grudnia. Był to najkrótszy dzień roku słonecznego. W tym dniu odwiedzano się nawzajem z charakterystycznymi powinszowaniami. Wchodzący do domu zobowiązany był mówić: „Na scynści!, Na zdrowi!, Na tego świętego Tomasza!, Zebyście byli zdrowi, weseli, jako w niebie janieli! Hop!, Hop!, Hop!”.

Uzupełnieniem wypowiedzianych słów były trzy podskoki z mocnym przytupem, co miało zapewnić domownikom wszelką pomyślność. W podziękowaniu za takie życzenia domownicy odpowiadali: „Tak to Boże dej” Nie było obojętne, kto pierwszy przyjdzie z takimi życzeniami. Najbardziej pożądanym był młody, zwawy, lekko ubrany mężczyzna lub chłopiec, bo wtedy rok zapowiadał się szczęśliwie. Jeśli zaś przypadkiem była to stara kobieta lub w ogóle starszy człowiek, do tego jeszcze grubo ubrany, nie wróżyło to nic dobrego. „Święty Toma siedzi doma”, ten zakaz szczególnie respektowany był przez drwali i furmanów, cieśli, słowem tych, którzy pracowali przy pozyskaniu i obróbce drewna. Pod rygorem utraty życia zabronione było w tym dniu chodzenie i jeżdżenie do lasu. Traktując te zakazy

z zabobonnym lękiem drwale i cieśle odkładali nawet pilną robotę i nie wychodzili poza obręb gospodarstwa. Przywiezienie lub przyniesienie w tym dniu czegokolwiek z lasu oznaczało, że ku „chałpie” będą przychodzić gady (węże), a tych strasznie się bano.

Magiczny dzień

Najbardziej magicznym dniem jest Wigilia Bożego Narodzenia. Górale powiadali „Jaka wigilia taki cały rok”. W tym dniu nie wolno było „ociągać się z robotą” ani leniuchować, kłócić się przeklinać. Nie wolno było składać towarzyskich wizyt i przede wszystkim należało skupić się na pracy. Dobrze gdy w tym dniu była ładna pogoda. Niosło to zapowiedź pomyślnych zbiorów w nadchodzącym roku: „Jak we wigilie jasno, to w stodole ciasno”. Wczesnym rankiem jeszcze przed wschodem słońca gazda wychodził do lasu po świąteczną choinkę, którą nazywano „połaźniczką”. Ścinał także mniejsze wierzchołki jodełek, którymi dekorowano święte obrazy zawieszane w izbie, stajnię i pomieszczenia gospodarcze. Przyniesione drzewko stawiano w sieni dopóki nie zdjęto starej „połaźniczki” oraz gałązek zawieszonych za obrazami na ścianach w świętym kątku, które zgodnie z tradycją wisiały tam od zeszłego roku. Pożegnanie wymagało wypowiedzenia magicznej formuły: „Wychodź gościu stary, bo tam przyjdzie nowy”. Nie wolno było zeszłorocznej połaźniczki wyrzucić na śmietnik, bo oznaczało to świętokradztwo. Łamano wszystkie jej gałązki, ustawiano na brytfannie i podpalano, cała rodzina grzała w tym świętym ogniu ręce i bose stopy, żeby ich nie bolały, żeby nogi nie obierały, jak będą chodzić boso i aby byli zdrowi. Wychodzono też z zeszłoroczną „połaźniczką” przed dom, zapalano ją i dzieci z taką płonąca „połaźnicą” biegały dookoła drzew owocowych, żeby lepiej rodziły. Niekiedy sam gospodarz brał płonąca „połaźnicę” i obchodził dom dookoła, by tym sposobem ustrzec go od uderzenia pioruna. Dopiero po spełnieniu tych wszystkich magicznych praktyk wnoszono nową „połaźniczkę”, którą wieszano pod sufitem izby, zawsze wierzchołkiem w kierunku ziemi i przystępowano do jej dekorowania. Wieszano na niej jabłka, orzechy i kulisty świat (ozdoba wyklejana z opłatków). Kolejne elementy dekoracyjne „połaźniczki” stanowiły domowe pieczone ciastka przy użyciu różnokształtnych foremek. Wie-

szano kostki cukru czy „kwacki”, owinięte w kolorowe papierki. Podobną „połaźniczkę” wieszano zwierzętom w stajni i w pomieszczeniach gospodarczych, np. w stodole. Po ustrojeniu połaźniczki można już było myśleć o wigilijnym stole. Kładziono na niego lnianą białą płachtę, pod którą wkładano grubą warstwę siana aby Jezusowi było miękko i aby w przyszłym roku były bogate zbiory. Na stół wykładano także owies, który później z wiosną dodawano do wysiewanego ziarna oraz pieniądze, aby ich w nadchodzącym roku nigdy nie brakowało. Na wigilijnym stole nie mogło zabraknąć główki czosnku i cebuli mającej zapewnić zdrowie wszystkim domownikom.

Na nakrytym stole obowiązkowo musiał leżeć bochen chleba, niegdyś kładzio-

no cztery, po jednym w każdym rogu, tak aby ten dar boży siedł do domu z czterech stron świata. Obok chleba stawiono opłatki, miód, masło oraz łyżki, w tym jedna ponad dodatkowa dla samotnego przybysza. Pod stołem stawiano kosz z ziemniakami do wiosennego wysadzenia. Górale przestrzegali zasady, aby na wigilijnym stole było wszystko, co się sieje i sadzi. Z chwilą kiedy na niebie zapali się pierwsza gwiazda gospodarz idzie do obory, aby bydłu dać chleb z opłatkiem, bo jak wierzono, w tę noc zwierzęta miały zdolność przemawiania ludzkim głosem. Górale żywicy cały swój żywy inwentarz karmili przed rozpoczęciem wigilijnej wieczerzy wychodząc z założenia, że w tak uroczystej chwili zwierzęta powinny jeść w tym samym cza-

Fot. arch.



się co ludzie. Z myślą o duszach zmarłych lub bliżej nieznanym przybyszu stawiano na stole dodatkowe nakrycie, a wspólną modlitwę rozpoczynającą wigilijną wieczerzę kończono odmawianiem: „Wieczne odpoczywanie...”

Niekiedy wzywano do wigilijnego biesiadowania zmarłych krewnych, zwracano się w kierunku okna, wołano: „Z potoków, z obłoków, przyjdźcie ku nam wieczerzać. Przyjmujemy was”. Przy wigilijnym stole najważniejsza rola przypadała najstarszemu mężczyźnie w rodzinie. Miał on przywilej obdzielenia wszystkich domowników opłatkiem. On też rozpoczynał modlitwę przed i po zakończeniu wigilijnej wieczerzy. Dzieleno się opłatkiem, który nazywano „godnim chlebem” i dopiero potem mogło zacząć się spożywanie posiłku. Dań winno być 12, na pamiątkę dwunastu apostołów. Gospodarz okrawał z bochenka chleba piątkę, do której wkładał opłatek i chował pod obrus. Ten okrajek wigilijnego chleba nabierał czarodziejskiej mocy, pokruszony do ziarna siewnego chronił zboże od złych żywiołów. Kruszono go i mieszano z kadzidłem i wtedy zapewniał pomyślny chów bydła. Odłożywszy okrajek, gospodarz kroił chleb na kromki i rozdawał wszystkim członkom rodziny w kolejności według starszeństwa. Chleb należało smarować grubo masłem, by krowy dobrze doily się przez cały rok. Dopiero później podawano kolejne potrawy takie, jak: kapustę, ziemniaki, groch, bób, krupy jęczmienne i pęczak, żur owsiany, różnego rodzaju kluski, miód, suszone grzyby, owoce, orzechy i jabłka. Z każdej potrawy trzy pierwsze łyżki przeznaczone były dla bydła, a tam gdzie gospodarstwo położone było blisko lasu także dla wilka, aby mijał owce należące do rodziny.

W trakcie jedzenia rozmowy powinny dotyczyć tylko spraw gospodarskich. Spożywanie kolejnych potraw było okazją do ustalania przyszłorocznych zasadzeń i zasiewów, przy ziemniakach ustalano gdzie je posadzą, przy żurze – gdzie zasieją owies. Wierzono, że rozmowy prowadzone w ten wyjątkowy wieczór wpłyną na przyszłoroczny urodzaj. W czasie wigilijnej wieczerzy obowiązywał katalog zachowań, którego nie wolno było łamać pod żadnym pozorem.

Nie wolno było wstawać od stołu, aby nie spowodować swojej lub czyjeś

śmierci, nie wolno było upuścić łyżki, bo to także wróżyło śmierć. Obserwowano płonącą świecę oświetlającą izbę i dym po jej ugaszeniu. Dobrze jak siedł ku górze bo oznaczał zdrowie. Dym ścielący się ku ziemi lub drzwiom oznaczał chorobę lub śmierć. Wieczera kończyła się dziękczynną modlitwą i dopiero wówczas można było wstać od stołu. Dalsza część wieczoru należała do czasu wróżb i magicznych praktyk. Kawalerowie wychodzili przed dom i strzelali z pasterskich lub furmańskich biczy, dziewczyny zaś nadśluchiwały szczekania psów. Wierzono, że z tej strony, z której niesie się szczekanie psa, pochodzic będzie przyszły kandydat na męża. Tego wieczoru każda panna musiała obowiązkowo zaliczyć wizytę w chlewiku, jako że z ilości „chrząknięć” świni można było się dowiedzieć ile jeszcze lat danej pannie pozostało do zamążpójścia. Szczególnie odważni śmiałkowicie poddawali się wyjątkowo niebezpiecznej wróżbie, którą nazywano „poznawaniem losu”. Polegała ona na tym, że należało w ciszy trzykrotnie obieć dom dookoła i dopiero za trzecim razem zajrzeć przez szczytowe okno do wnętrza. To co wówczas zobaczył przez okno miało odpowiadać na pytanie co przyniesie nadchodzący los uczestnikowi tej wróżby lub jego rodzinie.

Wyimaginowana wyobraźnia, słabo oświetlona światłem świecy izba zacieśniała ostrość obrazu i czyniła go bardziej zjawą niż rzeczywistością otwierając szerokie możliwości interpretacyjne widzianych obrazów. Wymienione przykłady bynajmniej nie wyczerpywały możliwości wróżenia w ten wyjątkowy wieczór. Po wieczerzy wigilijnej tracił swoją moc zakaz odwiedzania cudzych domów. W oczekiwaniu na pasterkę chętnie spędzano czas w gronie sąsiedzkim składając sobie życzenia, śpiewano kolędy i słuchano opowieści starych ludzi o dziwach wigilijnej nocy.

Opowiadano, że krowy, woły, konie o północy rozmawiają ludzkim głosem i nie należy takich rozmów podsłuchiwać. Jako przestrożę przytaczano historię jednego z gospodarzy, który podsłuchiwał rozmowę koni, o tym że niebawem odwiezą swojego gospodarza na cmentarz. Przerażony tą rozmową faktycznie po trzech dniach już był na tamtym świecie. Opo-

wiadano, że w chwili jak zaczynają dzwony wzywać na pasterkę, woda w studniach, potokach i rzekach w jednej chwili zamienia się w wino. Wiara w cudowne właściwości wigilijnej wody czerpanej o północy powodowała, że przynosili ją ze studni, źródeł, rzek i potoków. W domu należało wypić parę łyków wody, a w Boże Narodzenie wrzucano do niej monetę, najlepiej srebrną – i wszyscy po kolei myli się w tej wodzie, żeby człowiek był taki zdrowy jak ten pieniądz. Na pasterkę wyruszali gromadnie, w domu pozostawiali tylko niedołęzni starcy i matki z małymi dziećmi. Powrót z pasterki miał charakter wyścigu, należało jak najszybciej wrócić do domu, by latem szybko zakończyć żniwowanie. W szczególnym nastroju obchodzono Boże Narodzenie. Zabronione były wszelakie prace, nie ścielono łóżek, nie wolno było hałasować jak też wylegiwać się lub spać w łóżku, bo inaczej owies będzie się kładł pokotem przynosząc marne plony. Gospodarz wracając z kościoła musiał przemieszczać zboże w skrzyniach, żeby latem lepiej dojrzewało i pogłaskać bydło, żeby lepiej się choowało. Jego obowiązkiem było wygłoszenie okolicznościowego winszowania, jak też pokropienia czterech kątów chałupy, by z niej diabła wypędzić.

Kolejny dzień świąteczny św. Szczepana w przeciwieństwie do powagi Bożego Narodzenia obchodzono wyjątkowo radośnie, był dniem ożywionych kontaktów sąsiedzkich, towarzyskich.

W kościele odbywało się święcenie owsa, który dodawany do wiosennych wysiewów powodował urodzaj, a rzucany na rolę ze słowami: „Uciekoj diabłu z ostem, bo tu idzie święty Scepon z łowsem” miał odchwasczać pola niczym współczesny środek chwastobójczy.

Chodzono też po domach z winszowaniem czyli składaniem sobie nawzajem życzeń pomyślności, obficie przy tym posypując się owsem.

Dzień świętego Szczepana rozpoczynał kolędowanie z gwiazdą, szopką i chodzenie tzw. pastuszków. Młodzież przebiegała się za śmierć, Żyda, anioła, świętego Józefa i turonia. Chodzono kilku lub nawet kilkunastoosobowymi grupami poza okna, śpiewano kolędy i pastorałki. Dzień ten rozbrzmiewał radosnym śpiewaniem, którego echo daleko roznosiło tę dobrą nowinę.

Krzysztof Macha **Straszny kruk, Małż i wieczór wigilijna**

Z moim Małżem to było tak, że zaplątał się w chwilówki. Na 700 złotych z początku, bo sytuacja u nas nie była wcale najgorsza finansowo, ale że się Wigilia akurat zbliżała, trzeba było to i owo kupić i pod choinkę też coś dziecku położyć. Ja wtedy tylko spłacałam jeden kredyt i pożyczkę z walcowni, ale mała ciągle była chora i przestało nam starczać na raty. Więc po namyśle postanowiliśmy, że on weźmie; na dwa tygodnie, no na miesiąc może. Niestety się nam pogorszyło i nie dało rady spłacić, więc jedynie przedłużenie jesteśmy po Nowym Roku uregulowali, aż w końcu on wziął następną pożyczkę, dwa razy większą i tak się w tę pętlę dostał, że przy piątym razie na prawie trzydzieści tysięcy już wyszło.

Trwało to może więcej niż półtora roku, po czym we wrzesniu Małż po prostu musiał uciekać z domu, bo go nie tylko jedna, ale i druga i trzecia windykacja ściagała. Przez to też z pracy go zwolnili, bo kruczysko wydzwaniało co 15 minut, aż szefo oszalał z tego wszystkiego i przestał się wściekać na wronę, a zaczął na Małża. Ale po prawdzie, jak Małż na Brynicznej robił, to i tak nie było wiele z tego, bo ten komor, co go wroniaki przywiozły w teczce, był taki szczwany, że się ułożył z księgową i ta głupia zostawiła mu po 660 złotych, a w ostatnim miesiącu to wręcz tylko 270, bo resztę „że tak się należy” do komora przelała.

Więc w końcu tak wyszło, że w mieszkaniu siedzieliśmy bez prądu, żywiliśmy się czym popadło, a ja w ciąży byłam z drugim dzieckiem. Małż w dzień pilnował bramy, żebyśmy przed komorem zdążyli uciec i jedno dobre, co się s kuli tego przydarzyło, że mała zapatrzyła się na pomnik pana Kiepuły i jeszcze teraz „kce być jak Jan Kiepuła” z taboretki śpiewa na balkoniku. Po zapłaceniu za wodę zostawało nam cztery osiemdziesiąt dziennie na troje i kota. Nie było wyjścia czyli, jak tylko pojawiła się propozycja na big dil, Małż nie myślał wiele, tylko wsiadł i pojechał. A za trzy dni później urodził nam się synek. Jakby na szczęście, nadspodziewanie zdrowy, musiała św. Barbara chyba dopilnować, bo od doktorki dostał równo dziewięć apgarów.

Małż jak pojechał, była jesień, więc na początku pracował na frontach. Nawet dobrze mu szło i zaczęliśmy w miarę zwyczajnie żyć, wreszcie nawet jakieś dziury zapychać, a i kruczysku po trochu płacić. Wiadomo było, że na Wigilię i Nowy Rok od razu nie ściągnie, a ja niczego specjalnego w tej sprawie też się nie spodziewałam. Aż tu nagle bach – paczka przychodzi wielka, pół metra na ćwierć, a w niej dla mnie kurtka z futerkiem, parasolka i cała masa rzeczy dla dzieciaków. I jeszcze koszyk cukierków. Szok!

Tylko z małą jakoś Małżowi nie do końca wyszło. Ta książka angielska co ją przysłał, niestety niedobra była. Nie, że niewesoła, nie, że rysunki nieładne. Tytuł miała szkaradny: „Mały kruk Skarpetka. Mikołajki i Boże Narodzenie”. Mnie

wtedy już bez przerwy śniły się nasze wroniaki i nie usypiałam inaczej, jak mi ich Małż w tym śnie nie porozpędzał, a potem z domu nie wygonił. Ale to przeznaczenie było; fatum, co za nic nie chciało odejść. I, powiem tak na zapas, do teraz mi się śni ono, nawet jak po wiekach tę ustawę o upadłości człowieka uchwalili.

Sielanka z dobrą robotą Małża nie trwała długo, może pół roku po czym znowu mu się przydarzył przestój, iż niby „sezonowy”. A że robota na czarno była, to przecież żaden zasiłek się nie należał. Więc nagle Małż nie pracował. Na szczęście pomógł mu wtedy współlokator, się dzielili we czwórkę dwoma zasiłkami na jego dzieci, a Małż, jak coś zarobił, to uczciwie oddawał. Potem trafiła się mu praca na smsa – czyli jakby się polepszyło – ale nic nie warto się okazało to wszystko było, tylko ja nie wiedziałam, bo Małż się ze wstydu nie przyznał. W każdym razie, jak przyszedł sms to Małż szedł do pracy, jak nie było smsa to siedział i czekał. Więc bywało że szedł do pracy na jeden dzień w tygodniu, a z tego mieszkania trzeba było utrzymać i nas, czyli rodzinę w kraju. Małż się więc u kolegów na to pozapożyczał. Ja nawet nic nie wiedziałam, że bez wszystkiego znów się zrobiło, bez nadziei ciężko. Aż w końcu się poprawiło i wtedy on mi to opowiedział.

Ale potem się ten kryzys zaraz zdarzył w Ameryce i pech łeb podniósł, się od nowa pogorszyło. Najpierw dobry ko-



mor – ten, co sprawę Małża mi umorzył – poszedł do innego rewiru, już nie w Sosnowcu. A na to miejsce dwóch taki jeden przyszedł, morda jego tasiemcem zarażono, co od razu na Matce Boskiej od trzech pokoleń w naszej rodzinie znaczek nakleił, że niby licytować będzie. Małż wtedy coś zarabiał, długi już z grubsza kolegom pooddawał, po dwie setki fu na miesiąc przysyłał, więc tak sobie pomyślałam wręcz, żeby ten obrazek wykupić. Ale zaraz wtedy przytrafił mu się wypadek samochodowy. Ciężki, parę koziółków na drugą stronę rowu. Ten gość, co jechał z naprzeciwka, pewno przysnął za kierownikiem, bo był aż z Lublina.

Małż jechał się z kolegą, wracali do Polski na Boże Narodzenie. Do granicy zabrakło im z piętnaście kilometrów może, ale karetka przyjechała oczywiście niemiecka i zabrała ich do ichnich szpitali. W klinice anestezjolog wytłumaczył im, że koszty pobytu u nich są astronomiczne, więc oni jak o polisę się rozpytali, to Małża tylko z grubsza opatrzyli i przed drzwiami odesłali. A on nie widział gdzie ma dalej jechać, bo przypomniał sobie, że w Polsce też nie ma ubezpieczenia na ajdi. W końcu zadzwonił do roboty i na szczęście zgodził się go leczyć szef z Anglii. Ale trzeba było przywieźć Małża do Londynu przez co poszła prawie cała kasa, co była do domu. W Londynie okazało się, że po wypadku ma złamane cztery żebra, coś tam mu krwawi z organów wewnętrznych, i jeszcze to, co potem się okazało najgorsze, że złamany jest obojczyk... Ale w sumie dobry był tamten szef Małża, sacunek mu się należy wielki, niech mu Polacy już nic nigdy nie ukradną.

Po jakimś czasie Małż doszedł w zasadzie do siebie, z tym że nie miał sprawności w ramieniu, bo pieniądze szefa już na to nie wystarczyły. I gibko się okazało, że szef więcej nie wyłoży oraz że go do roboty na nowo nie weźmie, w ogóle nikt go w tym fachu nie weźmie, bo niby jak malyrza z niesprawnym ramieniem do akordu brać. A już, broń Boże, żeby taki pracował na rusztowaniu. Więc Małż, jak został z po szpitalu z tymi nowymi długami, to hamrał każdą okazję, bo znowu oddawać musiał i najważniejsze, utrzymać chciał nas, rodzinę. I nawet już tak było, że chodził codziennie 24 kilometry do pracy i z pracy, siedł przed ranem, a wracał po nocy.

Ale od półtora miesiąca ma Małż nową robotę, pierwsze poważniejsze pieniądze z tego będą, tylko że jeszcze za chwilę, z początkiem stycznia. Jak dzwonił, to że ta praca w magazynie z warzywami i że tym się teraz żywi, więc na razie wychudł, bo taka ta wielka dieta, znaczy bieda. Ale optymistycznie jest nastawiony, wierzy w powodzenie i nawet się do domu wybiera. Takie chłopy to skarb, inny by zostawił babę z problemami, a oni jeszcze siłę mają wspierać.

Wczoraj pucowali Kiepurę na pomniku, bo już jutro Wigilia. I już wiadomo, że Małż wreszcie przyjedzie, dzieci nie na zdjęciu zobaczy. Synkowie choinkę ubierają, córka śpiewa kolędy, a ja jeszcze po drugie śledzie na wieczór wyskoczyłam. Aha, i listy jeszcze odebrałam – pismo od dwucha i kartkę świąteczną z opłatkiem i życzeniami od kruczyśka. Oplatek wyrzuciłam, niech mi Pan Bóg wybaczy. A na kartce stoi, że wrona na Boże Narodzenie daje nam prezent w kształcie umorzenia długu. Czterdzieści procent, albo dwadzieścia. Zależy na kiedy zapłacimy.

Trzecia edycja konkursu poetyckiego im. Jeana Geneta

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Jeana Geneta to pomysł Aresztu Śledczego w Katowicach. III edycja konkursu skierowanego do osadzonych przebywających w aresztach i zakładach karnych w całej Polsce wpisuje się w projekt oddziaływań resocjalizacyjnych aktywizujących osadzonych poprzez ich czynne uczestnictwo w kulturze. Wybór patrona tego przedsięwzięcia jest nieprzypadkowy: Jean Genet – wybitny, znany na całym świecie, acz niepokorny pisarz i dramaturg francuski nie dość, że miał na swoim „koncie” epizod pobytu w katowickim więzieniu (lata 30. ubiegłego wieku), to jeszcze w dodatku – sam zaczął tworzyć przebywając właśnie w warunkach więziennej izolacji.

W tym roku, podobnie jak w latach poprzednich, na konkurs napłynęło ponad sto zestawów wierszy z całej Polski, w tym także z jednostek penitencjarnych z Zagłębia. Jurorami tegorocznej edycji byli uznani poeci ze Śląska: Krzysztof Siwczyk, Bartłomiej Majzel oraz Genowefa Jakubowska-Fijałkowska.

Przewodniczący jury, Krzysztof Siwczyk, tak oto podsumował tegoroczną edycję Konkursu: „Jurorowanie w konkursie poetyckim im. Jeana Geneta to przeżycie zaiste emocjonujące. Trudno mi bowiem nie czuć emocji, kiedy spotykam się z twórczością poetycką powstającą w warunkach więziennych. Długa tradycja literatury więziennej, którą najlepiej uosabiał Genet, w jakimś sensie rezonuje w wierszach, które napłynęły na tegoroczną edycję konkursu. Tradycja ta, czasem nieświadomie, przejawia się w specyficznym napięciu wierszy. Napięcie to obecne jest w wielu wierszach pod postacią figury bohatera lirycznego. Bohater ten rejestruje dwa światy: ten za kratami i ten na zewnątrz. Przy czym stopniowo, w zależności od długości odbywanej kary, świat ludzi wolnych stopniowo ulega rozmyciu, znika w odmętach poetyckiej niepamięci. W jego miejsce pojawia się świat celi i spacerniaka, świetlicy i widzeń. I stopniowo ulega, że tak powiem, krytycznej gloryfikacji. Bo czasami trzeba gloryfikować nawet coś tak opresyjnego jak więzienie. Trzeba, żeby przeżyć ten czas, żeby walczyć o resocjalizację, żeby nie zapomnieć, że jednak świat ludzi wolnych stanowi wartość, do której warto dążyć. Co to znaczy gloryfikować świat więzienia? To znaczy pamiętać o straconych miłościach, przerwanych więzach rodzinnych, opuszczonych dzieciach. Tak to się przynajmniej jawiło w wierszach, które z całej Polski napłynęły do Aresztu Śledczego w Katowicach. Wierszach nierzadko bardzo dobrych”.

Wojciech Brzoska

Nagrodzone wiersze

Marcin M.

(I nagroda), Areszt Śledczy w Radomiu

W SNACH STAJĘ TWARZĄ W TWARZ

W snach stoję twarzą w twarz
z prawdą oczyszczoną w źródle
strachu
Jej ciało drży i ja drzę cały
oboje milczymy
bo i co tu powiedzieć?
umarli przecież nie zmartwychwstają
a ja nie żyję od tak dawna

w snach nie widzę zbyt wiele
zasłonięte kirem myśli
krążą wokół wspomnień i skrzywionych
masek, które nosiłem próbując
zabić swą tożsamość.

W snach oddalam się od Boga
i jego niewymiernych iluzji
przemijania, starości, cierpienia i bólu
-to wszystko nic nie znaczy,
gdy ogień nieświadomości tworzy
popielne światy
w górę wędrują dymy i szare
chmury

za nimi od dawna
nie widzę już słońca

nawet w snach.

Andrzej W.

(II nagroda), Zakład Karny w Rzeszowie

Więzienne wiersze...

Nawet tu
na rzeszowskim
załężu
chodzą za mną
wiersze jak psy
liżą ręce
proszą o więcej jedzenia
a potem uspokajają się.
I co mam pisać
wszystko już było
list przyjął
świadek winy
i zaniósł je mamie
i co mam wspominać
młodość
rodzinę
stracone lata.

A teraz:

mówią: załóż buty na spacer,
teraz mówiąc: masz jeden telefon na
tydzień
uczą pokory
p o j e d n a n i a
z piachem
który jest wieczny, który czeka na
nas.

WIDZENIE

Ten mężczyzna pije
kawę ze śmietanką
podaną przez
k a n t y n i a r z a.
Rozmawia z żoną,
śmieje się do córki,
która jutro skończy cztery lata.

Za godzinę będzie już
po wszystkim.
Kobieta z dzieckiem
wyjdzie
a jego zaprowadzą
na oddział.

Na razie jednak,
pijąc kawę,
obmyśla urodzinowy prezent dla córki

Cłonkowie jury. Fot. W. Brzoska



Kazimierz Ratoń – poeta zapomniany?

Kazimierz Ratoń urodził się w 1942 roku w Sosnowcu. Ojciec zmarł w 1951 roku, Ratonia i młodszą siostrę wychowywała więc tylko matka. Po kilku latach rodzina przeniosła się z Sosnowca do Pruszkowa, a później do Węgierskiej Górki. Jako dziecko poeta zachorował na gruźlicę kości stawu biodrowego, która – źle leczona – przekształciła się w gruźlicę mózgu, pojawiła się także epilepsja. W 1962 roku po ukończeniu zaocznego Wydziału Teatralnego Studium Kulturalno-Oświatowego w Katowicach wyjechał do Warszawy i praktycznie zerwał kontakty z rodziną. Coraz więcej pił, choroba się nasilała – Ratoń zaczął utykać, a ciało było praktycznie jedną wielką raną, pojawiały się pękające wrzody, opuchlizna, niesamowity ból. Niewielkie honoraria ledwo wystarczały, nie miał gdzie mieszkać, ze szpitali uciekał, nie chciał przyjmować leków. Ból uśmierzał alkoholem, denaturatem czy wodą brzoźową. W końcu dostał mieszkanie przy ulicy Emilii Plater (stąd „kloszardem z Emilii Plater”), w dzielnicy prostytutek i narkomanów, gdzie często bywał pobity i okradany, jeśli akurat miał przy sobie jakieś pieniądze. Mieszkanie to wymagało całkowitego remontu, było nieogrzewane i nigdy nie zamykane na klucz. Czas spędzał więc przede wszystkim na włóczęgach po okolicznych barach, na przesiadywaniu w siedzibie Związku Literatów Polskich, gdzie w końcu również stał się persona non grata, i na naga-bywaniu znajomych na pożyczkę.

Najwcześniejsze publikacje Ratonia pochodzą z 1964 roku ze „Współczesności” – pisał dużo recenzji literackich i teatralnych. Wydany w 1972 roku arkusz poetycki *Pieśni północne* został dość dobrze przyjęty przez krytykę. Rok później Ratoń zdobył nagrodę na Siódmej Łódzkiej Wiosnie Poetów. Największy sukces odniósł jednak w 1974 roku, gdy otrzymał nagrodę Pen-Clubu z fundacji Roberta Gravesa za tomik *Gdziekolwiek pójdę...* Zbiór ten miał bardzo dobre recenzje. Pisano o przywracaniu wiary w słowo poetyckie, o tym, że Ratoń ma zdolność tworzenia zwartych obrazów i celnych metafor, o ogromnej oryginalności. Tomik był jedynym, jaki udało się mu wydać za życia. Ratoń zmarł bowiem gdzieś na warszawskiej ulicy, najprawdopodobniej na początku stycznia 1983 roku, jego ciało znaleziono dopiero ponad tydzień później. Opieka społeczna pochowała go na Cmentarzu Północnym w Wólce Węglowej pod Warszawą (kwarta VIII 9, rząd 9, miejsce 6).

Po śmierci rozpoczął się okres zainteresowania Ratoniem. W 1984 przygotowano nawet specjalny numer miesięcznika „Poezja” w całości mu poświęcony, a zatytułowany *Śmierć clocharda*. Zaprezentowano w nim wybór wierszy, kilka zdjęć, utwory mu poświęcone i przede wszystkim wspomnienia dawnych znajomych. W latach dziewięćdziesiątych zainteresowanie na nowo wzrosło, za sprawą wydanych przez Brudnickiego *Pieśni ocalonych* (1992). Na łamach prasy ukazały się wówczas kolejne okolicznościowe wspomnienia. W 2002 roku, również w opracowaniu Brudnickiego, ukazał się obszerny tom *Poezje*. Od 2005 roku w Olsztynie organizowany jest również Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia „Kto mnie wywiezie z absurdu i ciemności”.

Ratoń jest jednym z niewielu poetów, których życie i utwory tworzą nierozdzielalną całość. Warto także przyjrzeć się jego dziennikowym zapisom, znajdującym się w posiadaniu Brudnickiego. Dzienniki te to cztery zeszyty w kratkę, bardzo zniszczone i zaplamione, przez co nie wszystkie zapiski dają się już dzisiaj odczytać. Bez wątpienia jednakże widać tu zarówno autopatografię, czyli pisanie o własnej chorobie, jak i autobiografię, czyli odpowiedzialność za intertekstualne nawiązania, których jest tutaj bardzo dużo. Zapiski te były więc z jednej strony rodzajem autoterapii, z drugiej zaś były swoistym atelier d'écriture – warsztatem pisarskim – o czym świadczą liczne skreślenia czy poprawki.

Przez wielu badaczy Ratoń zaliczany jest do kręgu polskich tak zwanych „poetów przeklętych”, tymczasem należałoby wprowadzić pewne istotne rozróżnienie – na poetów określanych „przeklętymi” ze względu na prowadzone przez nich życie oraz na tak zwany pierwiastek maudit w twórczości, który staje się przede wszystkim problemem z poczuciem własnego „ja”. Poezja zawierająca część maudit to transfiguracja życia, to pogrążanie się w siebie, ewokowanie klimatów smutku, melancholii, uwalnianie się od pewnych obsesji poprzez ich nazywanie. Maudit polegałoby zatem przede wszystkim na, by posłużyć się teorią Sorena Kierkegaarda – nie-możliwości bycia sobą, chęci bycia sobą i niechęci bycia sobą jednocześnie. W twórczości Ratonia widać więc przede wszystkim cztery problemy. Po pierwsze, kłopoty z własną podmiotowością, ze zdefiniowaniem swej tożsamości, po drugie – wszechogarniająca samotność i brak miłości, po trzecie – (nie)wiara w Boga, po czwarte zaś

– śmierć i problem samobójstwa. Dla Brudnickiego poezja ta jest unikatem na skalę światową, to „liryka rozpacz”, oscylowanie pomiędzy „byciem w centrum” a „byciem na marginesie”. Ratoń z pewnością nie był postacią tak charyzmatyczną jak Hłasko, Wojacek czy Stachura, jest o wiele mniej mitotwórczy. Nie mniej jednak zasłużył na stałe miejsce na mapie poezji polskiej po 1956 roku. Na koniec warto przytoczyć chociaż jeden z jego wierszy:

Boże nie lituj się nade mną
niech kary srogie spadną na mój grzbiet
Niech mój widok nikczemny
wzbudzi w Tobie gniew tajemny

Boże nie zechciej przebaczać mym grzechom
mej pysze co tamuje twoim rzekom bieg
Niech mój dom zrujnowany wypełni zła krew
A uśmiech twój niech będzie dla mnie tajemniczym

Boże przyjdź jednak ku mnie bym Cię ujrzeć mógł
Stań niczym rycerz gdzie jest domu próg
Lecz mnie nie przebijaj swym mieczem ognistym
A twarz twa niech zostanie nieruchomą wieczną



Magdalena Boczkowska

doktor nauk humanistycznych, autorka pierwszej monografii twórczości poetyckiej K. Ratonia *W centrum literatury, na marginesie życia. O twórczości Kazimierza Ratonia*.

Zgodnie z prawami rynku

W naszych skomercjalizowanych czasach światem rządzi rynek. Literatura również jest poddana jego prawom. Stanowi towar, który albo się sprzedaje, albo ginie w zapomnieniu. Możemy oburzać się na obrazoburczość tego stwierdzenia, faktów jednak zmienić nie sposób. I kolejna prawda. Towarem, który łatwiej się sprzedaje jest poeta nieżyjący (oprócz oczywiście noblistów, czy – w nieco mniejszym wymiarze – laureatów wszelkich nagród, bo ci są dobrym materiałem medialnym już z założenia). Pamięć o twórcy zależy oczywiście od jego talentu, o którym zaświadcza pozostawiony dorobek. Gdy jednak mówimy o rynkowej wartości poety, potrzeba czegoś więcej, niż talent. Pożądane jest kolorowe opakowanie, które skupi na sobie uwagę potencjalnego odbiorcy i wygeneruje w nim chęć rozpakowania towaru. Najefektywniej rolę tę spełnia, osnuta wokół poety, legenda. Mity tworzą odbiorcy, ale mechanizm mitotwórczy uaktywnia zwykle sam twórca.

Na przełomie XVIII i XIX wieku tworzył znakomity, tłumaczony zresztą niejednokrotnie na język polski, bajkopisarz – Iwan Kryłow. Żeby zapewnić sobie szeroki odbiór i moc przekraczać pewne wytyczone przez ówczesne normy (salonowe, społeczne itp.) granice, kreował się na ludowego mędrca, kopiując postać narratora swoich wierszowanych bajek. Ubierał się odpowiednio do przybranego image'u, na pytania nie odpowiadał wprost, tylko zawsze zagadkami. Samokreacja? Z pewnością. Już wtedy wśród twórców istniała świadomość faktu, iż aby zostać dostrzeżonym, trzeba nie dość, że podać siebie na tacy, ale jeszcze zadbać o zachęcającą, a nawet intrygującą dekorację.

Współcześnie lista sposobów samokreacji jest długa. Pomińmy tu, będące znakiem czasu, lansowanie siebie i swojej twórczości poprzez – szeroko rozumianą – celebrycką działalność funkcyjną, zjawisko bowiem posiada złożoną naturę i wymaga odrębnego nad nim pochylenia się. Skoncentrujmy się tylko na jednym, ale bodaj najbardziej popularnym i skutecznym oraz – co ważne –

ponadczasowym sposobie, samokreacji poprzez modelowanie własnej biografii. Ludzie kochają życiorysy tragiczne, wypełnione prowokującymi wydarzeniami, buntiem przeciwko światu, zawierające element sensacji lub cień tajemnicy. Życie i śmierć, najlepiej samobójcza, winny budzić kontrowersje. Uaktywnia się wtedy gra wyobraźni. Życie poety przeobraża się w legendę, osnutą na domysłach, plotkach, powstających jakby mimo woli, albo preparowanych rozmyślnie. Tworzy się artystyczny mit, który z czasem rozrasta się, wzbogaca – żyje własnym życiem.

Wzorcowe, świetnie sprzedające się życiorysy należą przede wszystkim do poetów przeklętych. Charles Baudelaire, Arthur Rimbaud, Paul Verlaine, Edgar Allan Poe, Sylvia Plath, William Blake, Aleksandr Błok i w literaturze polskiej: Andrzej Bursa, Edward Stachura, Stanisław Przybyszewski, Andrzej Babiński, Rafał Wojaczek, Kazimierz Ratoń – to tylko kilkanaście nazwisk z wielu. Łączy je burzliwe, skandalizujące życie, śmierć samobójcza, w niejasnych okolicznościach lub spowodowana chorobą, twórczość przeważnie doceniana dopiero po latach i owiana tajemnicą legendą. Niektóre biografie, jak choćby Rimbaud'a, czy Wojaczka, jako szczególnie „malownicze”, stały się kanwą filmowych opowieści. Szokują i fascynują, stając tym samym na medialnym rynku niezawodny towar.

Rafała Wojaczka można uznać za wzorcowy przykład skutecznego budowania swojej legendy. **Genialny poeta, skandalista, alkoholik, igrający ze śmiercią buntownik, samobójca. Już za życia w pełni uformował się mit jego osoby, często nawet przysłaniający samą twórczość.** Wypracowanie, czy raczej przysposobienie określonego modelu zachowania, było w dużej mierze świadomą decyzją poety. Liczne spisane biografie Wojaczka po brzegi wypełnione są barwnymi historiami, zaczerpniętymi z jego brawurowego życia. Pił dużo i wszystko: wódkę, tanie wino, spirytus salicylowy, wodę brzoźową. Na porządku dziennym były chuligańskie wyczy-

ny i awantury w klubach. Nie uciekał od bójek, był agresywny i wulgarny, nierzadko interweniowała w jego sprawie milicja. Wręcz legendarne stało się przechodzenie poety przez szyby. Podejmował, zwykle po pijanemu, próby samobójcze, z których ostatnia nieestetyczna okazała się udana – łykał tabletki, truł się gazem, wieszał, skakał z drugiego piętra, wyskakiwał z samochodów. Zdiagnozowaną schizofrenię Wojaczek potraktował jako dyspozycję, którą można wykorzystać w kreowaniu wizerunku szaleńca. Status osoby legitymującej się „żółtymi papierami” zapewniał mu pewnego rodzaju bezkarność wobec świata, stanowił pretekst i jednocześnie usprawiedliwienie dla ekspresywnej niepokorności. Co nim kierowało, gdy przywdziewał kolejne maski: pijaka, samobójcy, osoby emocjonalnie niezrównoważonej? Chęć spektakularnego powiadomienia świata o swoim istnieniu? Typowa, znajdująca potwierdzenie w badaniach psychologicznych, krucha konstrukcja psychiczna artysty, nie będącego w stanie sprostać życiowym wyzwaniom? A może wielka potrzeba oryginalności, wielkości? „Rodzaj mojego zajęcia pozwala mi i nawet nakazuje tworzyć o sobie legendy i różne wersje...”¹ – pisał Wojaczek. „Rafał istotnie siebie reżyserował, wręcz scenograficznie się przyozdabiał. Konstruował swoją sylwetkę w bardzo precyzyjny sposób, aby wywierała takie, a nie inne wrażenie”² – to słowa Andrzeja Wojaczka, brata poety. Mikołowski *poète maudit* miał nomvst



KAZIMIERZ RATOŃ

Gdziekolwiek pójdę...

na swój świat i swoją legendę, eksperymentował więc na sobie tak, jakby chciał sprawdzić efekt i skuteczność kolejnych odśłon wykreowanego wizerunku. Mianował się scenarzystą filmu własnego życia, napisał dla siebie wielką rolę i starał się ją rzetelnie, prawdziwie zagrać. Grał, lecz wkrótce gra wymknęła mu się spod kontroli i rozpoczął się nieodwracalny dramat konsekwencji.

Przyjrzyjmy się postaci innego z wymienionych wyżej *poetów przeklętych*, rówieśnika Wojaczka – Kazimierza Ratonia. Interesujący poeta, sosnowiczanie. Od dziecka chorował na gruźlicę kości stawu biodrowego, która z czasem przekształciła się w gruźlicę mózgu. Jako dwudziestolatek Ratoń wyprowadził się do Warszawy, zrywając kontakt z rodziną. Tam choroba zaczęła się nasilać, na całym ciele pojawiały się pękające wrzody. Ujawniła się również epilepsja. Poeta pił dużo, coraz więcej. Staczał się coraz szybciej. Każdy alkohol jaki okazał się pod ręką był dobry – denaturat, woda brzozowa. Pił żeby stłumić ból, zapomnieć o cierpieniu, o samotności. Potem pił, bo już musiał. Pieniądze pożyczzał, wypraszał od znajomych, którzy w końcu, mając dość nękania z jego strony, zaczęli go unikać. Ratoń nie leczył się. Ze szpitali uciekał. Spał gdziekolwiek, nawet na ławkach w parku. Potem dostał mieszkanie – brudne, cuchnące, nieogrzewane, z odpadającym tynkiem. Mebli nie miał, za łóżko służył mu barłóg z brudnymi kocami, obok którego wałyły się puste butelki i niedopałki papierosów. Czas spędzał na wędrówkach po barach. Dopóki go wszędzie nie przepędzono, przesiadywał w siedzibie Związku Literatów Polskich oraz w redakcjach ówczesnych pism literackich. Potrzebował wsparcia, choć nigdy o nie nie prosił. Wszyscy się od niego odsuwali, zniechęceni wyglądem brudnego, wiecznie pijanego kłoszarda, niekonwencjonalnym sposobem bycia oraz dosadnym wysławianiem się. Pozostało mu szukać kompanii wśród miejscowej żulii i prostytutek, którzy czasem poczęstowali alkoholem, a zdarzało się, że pobili. Zmarł w samotności w styczniu 1983 roku, bądź wcześniej – w grudniu (okazało się to niemożliwe do ustalenia), gdzieś w zaspie na warszawskiej ulicy, a pochowała go opieka społeczna.

Ratoń nigdy nie wpisał się w krąg zainteresowań badaczy literatury i krytyków. Okazjonalnie pojawiały się teksty poświęcone jego twórczości – recenzje napisane po wydaniu jedyne go w dorobku tomiku, oraz pojedyncze artykuły opublikowane tuż po jego śmierci oraz w kolejne rocznice. Dopiero ostatnio jego twórczość stała się tematem obronionej w Uniwersytecie Śląskim pracy doktorskiej, na podstawie której powstała – wydana w tym roku – interesująca monografia poety³. Od siedmiu lat jest również w Olkuszu organizowany konkurs poetycki im. Kazimierza Ratonia. Niestety tak zwanemu powszechnemu odbiorcy, nawet temu czytającemu poezję, i nawet w rodzinnym Sosnowcu, nazwisko Ratonia jest obce. Choć miał za życia swoje pięć minut namacalnego, wymiernego uznania świata literatury, był i pozostał bohaterem marginesu – w rozumieniu przenośnym oraz dosłownym.

Dlaczego? Dlaczego Wojaczekowi się udało, a Ratonowi nie? Ktoś mógłby zacząć mierzyć i porównywać wartość oraz siłę ich talentu. Mniejsza o wnioski, bo tak naprawdę nie o to tu chodzi. Istota tkwi w postawie, jaką obaj poeci zajęli wobec siebie oraz swojego życia, w istnieniu (bądź braku) wewnętrznego imperatywu, determinującego działania na rzecz trwałego zaistnienia w powszechnym odbiorze. Obaj poeci dysponowali, poza dorobkiem twórczym, cechami, kwalifikującymi ich do obudowania się legendą: ekscesy alkoholowe, wywołane skandale, egzystencja na granicy społeczeństwa, w tym niepodporządkowywanie się normom i zwyczajom społecznym etc. – długo by wymieniać. Wojaczek świetnie wykorzystywał zasadę, że „zła” sława szybciej i efektywniej generuje popularność. Ratonowi zabrakło choćby śladowej samokreacji, która wprowadziłaby w ruch mitotwórczą maszynę. Nie chciał? Zapewne w ogóle nie brał pod uwagę takiej możliwości. Potem, u schyłku życia nawet gdyby chciał, już by nie mógł. Istotne wydaje się jeszcze jedno. W przypadku Ratonia, potencjalnie mitotwórczy ładunek tkwił już w samym wizerunku lumpa. To portret bardzo „małowniczy”, na tyle niekonwencjonalny, że aż atrakcyjny. Problem jednak polegał na tym, że charakter tego wizerunku wyznaczała prawda. Był to człowiek autentycz-

nie chory, autentycznie bezradny... Tymczasem odbiorca z entuzjazmem reaguje na kreację, nie zaś na brudną, odrażającą, cuchnącą prawdę. Od takiej prawdy ucieka. Tacy ludzie jak Ratoń budzą w nim litość. A odbiorca nie chce się litować, chce być szokowany. Tylko autorzy burd wyreżyserowanych pozostają przez długi czas na ustach rozplotkowanej, podtekstowanej publiczności. Wojaczek zabiegał o ludzi, pragnął koncentrować na sobie uwagę otoczenia, jakby zaspokajając tym samym chęć bycia wielkim, oryginalnym. Ratoń też zabiegał, lecz o coś innego – o jakikolwiek gest życzliwości i przyjaźni. Niestety był to bezskuteczny krzyk człowieka z dna rozpacz. Wojaczek zdobywał świat, Ratoń przez rzeczywistość zaledwie się prześlizgiwał. Jeden miał duszę zdobywcy, drugi kłoszarda.

Zainicjowana przez samego poetę legenda mikołowskiego *poète maudit* przybrała charakter kultowy, gloryfikacyjny, o legendę Ratonia musimy zadbać sami. Nawet jeśli trzeba będzie do tego – zgodnie z prawami rynku – świadomie, drogą skalkulowanej kreacji, wykorzystać jego tragiczną biografię.

Mirosława Michalska-Suchanek

1 Cyt. za: B. Kierc: *Rafał Wojaczek. Prawdziwe życie bohatera*. Warszawa 2007. s. 337.

2 Cyt. za.: S. Beres: *Wojaczek sześciokrotnie. W: Który jest. Rafał Wojaczek w oczach przyjaciół, krytyków i badaczy*. Red.: Romuald Cudak, Maciej Melecki. Katowice-Mikołów 2001, s. 68.

3 Magdalena Boczkowska: *W centrum literatury, na marginesie życia. O twórczości Kazimierza Ratonia*. Katowice 2011.

Mirosława Michalska-Suchanek – doktor nauk humanistycznych. Praca doktorska: *Poetyka nastroju. Na materiale opowiadań nowelistów rosyjskich II połowy XIX wieku*, napisana pod kierunkiem prof. dr. hab. Piotra Fasta. Jest pracownikiem Uniwersytetu Śląskiego oraz Gliwickiej Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości, gdzie kieruje Katedrą Filologii. Obszar zainteresowań zawodowych: historia literatury rosyjskiej, teoria literatury oraz dydaktyka języka obcego, ze szczególnym uwzględnieniem języków specjalistycznych. Zainteresowania badawcze: literatura wobec tematyki aktów suicydalnych.



Katowice rozpoczynają inwazję.

Lekcja o skutecznej promocji zza Brynicy?

„Przerywamy blok reklamowy, żeby nadać relację na żywo z polskich miast, nad którymi zawisły olbrzymie latające spodki. Wygląda to na prawdziwą inwazję kultury (...) Nie wpadajcie w panikę, dajcie się porwać i wpadajcie do Katowic!” Oto fragment treści spotu zapowiadającego kampanię promocyjną miasta Katowice.

„Katowice zaskakują – to już nie stereotypowe miasto górnicze, ale ważne miejsce na mapie polskiej kultury, w którym odbywają się porywające wydarzenia artystyczne. To tutaj kreowane są nowe trendy, a innowacja idzie w parze z twórczym dialogiem”. Powyższy cytat to główne założenie kampanii promocyjnej „Katowice – miasto wielkich wydarzeń 2011” stworzonej przez agencję marketingu zintegrowanego Grupa Eskadra.

Warto przyrzeć się pomysłowi naszego sąsiada zza Brynicy i przeanalizować elementy wspomnianej akcji promocyjnej. Być może bowiem w przyszłości któreś z miast Zagłębia Dąbrowskiego (lub – w pozytywnej wizji – wszystkie miasta razem) podejmie kroki mające na celu przeprowadzenie podobnej promocji, tym razem naszego regionu.

Ufo a kultura

Głównym hasłem kampanii a zarazem tytułem akcji promocyjnej miasta jest „Inwazja Kultury”. Wokół tego hasła koncentrują się wszystkie elementy strategii reklamowej, zbudowanej na znanym z literatury i kinematografii motywie science-fiction, czyli inwazji

kosmitów. Przewodnym symbolem kampanii uczyniono halę widowiskowo-sportową Spodek, której charakterystyczna forma idealnie pasuje do realizacji motywu.

7 listopada na anteny stacji TVN24 i TVP Kultura wszedł spot promujący kampanię, stylizowany na tzw. breaking news – fikcyjny program prezentuje relację na żywo z największych miast Polski, nad którymi pojawiły się latające spodki (a w zasadzie Spodki). Rozwinięciem tego obrazu są plakaty przedstawiające te kosmiczne obiekty nad najbardziej rozpoznawalnymi budynkami Warszawy, Krakowa, Poznania, Wrocławia, Gdańska i Lublina.

Twórcy spotu wyraźnie nawiązują w jego stylistyce do znanych filmów i seriali science-fiction: wyłaniający się z kłębiących i burzących się obłoków Spodek wygląda jak nadlatujący nad Nowy Jork statek kosmiczny z filmu *Dzień Niepodległości* (reż. Roland Emmerich), a widok ogromnego ekranu na spodzie Spodka, na którym wyświetlane są wypowiedzi Artura Rojka i Irka Dudka, do złudzenia przypomina oświadczenie przywódczyni obcej cywilizacji w serialu „V”, wyświetlane na podobnym okrągłym ekranie na jej statku.

Fikcyjna relacja zawiera także nagrania przedstawiające scenę porwania na statek przechodniów prosto na ulicy za pomocą wpływających na nich z góry wiązek światła, co prezenter komentuje słowami „Nie wpadajcie w panikę, dajcie się porwać i wpadajcie do Katowic!”.

Starania i pomysły

Oprócz spotu, kampanię reklamują plakaty i wielkoformatowa reklama zewnętrzna, przy tworzeniu których zastosowano geotargetowanie – metodę polegającą na regionalizowaniu reklam i ich dostosowaniu do konkretnej grupy docelowej. Mieszkańcy sześciu wspomnianych wcześniej miast Polski na outdoorach mogą oglądać katowicki Spodek nad znaną sobie panoramą swojego miasta.

Ponadto, organizatorzy zapowiedzieli cykl eventów czy też „miejskich akcji” nawiązujących do słynnej audycji radiowej z 1938 roku *Wojna Światów* (opartej na książce H.G. Wellsa) – zapowiedziana tu została przede wszystkim akcja w sieci sklepów SATURN, gdzie na wszystkich telewizorach program zostanie przerwany przez spot kampanii Katowic. Nie obejdzie się tu oczywiście także bez reklamy w internecie – promocję „Inwazji Kultury” wesprą serwisy: Onet.pl, WP.pl, O.pl, Ultramarina i GoldenLine.pl.

W ramach „Inwazji Kultury” promowanych będzie sześć wydarzeń kulturalnych: Rawa Blues Festival, Biennale Plakatu Polskiego, OFF Festival, Międzynarodowy Festiwal Producentów Filmowych Regio Fun, Letni Ogród Teatralny oraz Tauron Nowa Muzyka. Jak zauważyli na konferencji prasowej nt. kampanii dziennikarze, organizatorzy pomijają mniejsze wydarzenia, skupiając się wyłącznie na dużych i znanych już imprezach, co nie służy równomiernej pro-

racji sfery katowickiej kultury. Organizatorzy bronią jednak swojego pomysłu. Waldemar Bojarun, naczelnik Wydziału Promocji katowickiego magistratu, tłumaczył na konferencji, że w kampanii chodzi o promowanie Katowic przez pryzmat tych imprez, a nie o promowanie samych imprez i stwierdził, że starano się wybrać wydarzenia jak najbardziej różnorodne. Mateusz Zmysłony, dyrektor kreatywny Grupy Eskadra, dodał otwarcie, że podczas selekcji decydujące były dwa aspekty: znana marka oraz rozpoznawalny patron-gwiazda imprezy.

Oceń efekty

Jak bywa zwykle w sytuacji, kiedy trzeba ocenić efekt wydania publicznych pieniędzy (koszt kampanii to ok. 1,5 mln zł, z czego połowę stanowi dofinansowanie unijne), jedni chwalą, inni krytykują. Chwalony jest przede wszystkim pomysł profesjonalnego promowania miasta na ogólnokrajową skalę. Obok głosów lokalnych patriotów popierających kampanię na internetowych forach pojawiają się jednak także negatywne opinie.

Krytykowany jest sposób realizacji pomysłu.

„Jak dla mnie porażka” – pisze na forum portalu GoldenLine.pl w wątku o spocie absolwentka socjologii na UŚ, Magdalena Urbanowicz. Na blogu Bunclok.pl można przeczytać z kolei taką opinię: „Moim zdaniem kampania ma swoje wady. Na pewno nie jest zbyt przebojowa i błyskotliwa. Jednak jeszcze kilka lat temu można było tylko marzyć o jakiegokolwiek promocji Katowic. Od czegoś trzeba zacząć”. Na stronie portalu naszemiast.pl znajdujemy podobny komentarz: „Fajnie, trzeba promować nasze miasto :) Tylko ten film, trochę wiocha... Już słyszę te komentarze Warsiawiaków, ehhhh...”.

Na forach pojawiło się kilka oburzonych głosów internautów, którzy uważają inspirację serialem „V” za „zbyt silną” oraz głosy krytyki względem twórców kampanii za korzystanie z gotowych materiałów dostępnych w sieci (np. za muzykę użytą w spocie, którą podobno można ściągnąć z internetu za 8 dolarów). Równocześnie pojawiły się sugestie, że zatrudnienie do stworzenia kampanii studentów i absolwentów lokalnej uczelni nie tylko zmniejszyłoby koszt kampanii, ale mogłoby także zaowocować świeższym

(mniej „zgrany”) pomysłem i z pewnością bardziej nowatorską formą spotu promocyjnego. Pomocni mogliby tu być np. studenci Wydziału Radia i Telewizji UŚ czy Wydziału Artystycznego UŚ w Cieszynie.

W internecie pojawiły się także uwagi dotyczące geotargetowania – na stronie portalu wirtualnemedi.pl pod spotem „Inwazji Kultury” można przeczytać taki komentarz: „W Krakowie nietrafione. Spodek robi nalot na miasto kultury, czyli Spodek ma symbolizować Inwazję Kultury? Czy raczej inwazję na kulturę”.

Przeprowadzając research w sieci nie trudno dostrzec, że kampania „Inwazja Kultury” nie wywołała jednak jakiegось szczególnej lawiny komentarzy – w zasadzie jest to tylko kilkanaście wpisów zamieszczonych na kilku forach, co sugeruje raczej nieduże zainteresowanie internautów tym tematem. Zdaje się to potwierdzać niewielka liczba 12 tys. odsłon spotu promocyjnego na YouTube.

Liczne próby zwycięstwa

Warto porównać najnowszą kampanię Ka-

Zróbmy wielki zagłębiowski festiwal

Wszyscy widzimy co dzieje się po drugiej stronie Brynicy; czujemy, że śląskość to coś innego niż bycie Zagłębiakiem i wielu z nas pyta – kim jestem. Na pewno Polakiem, ale czy Ślązakiem, jak piszą w ogólnokrajowych mediach, czy Zagłębiakiem czy może Małopolaninem? A może tylko Polakiem? Każdy, kto chodzi czy jeździ po kulturalnym Zagłębiu musi to czuć – PRZYSZŁA PORA NA ZMIANY. Ale jakie zmiany?

Niewątpliwie wiele się już dzieje. Na tym tle wielką i piękną inicjatywą jest najnowszy pomysł Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego – utworzenie WikiZagłębie, naszej przyszłej lokalnej zagłębiowskiej encyklopedii. Gratuluję! I pisząc na ten temat proponuję jeszcze rozszerzenie tej gigantycznej przyszłej platformy o kolejny element, Słownik Gwary Zagłębiowskiej.

Z kolei my, Redakcja Nowego Zagłębia w tym właśnie świątecznym numerze rozpoczynamy dywagacje o naszych lokalnych symbolach, rozproszonym zagłębiowskim Stonehenge, z którego tylko Brynica jest dziś chyba bezdyskusyjna. Wypowiadają się lokalne autorytety, pasjonaci, artyści. Nikt nie wie, co z tego pozostanie w zagłębiowskiej świadomości na kolejne lata, ale też nie ma niczego

cenniejszego niż szeroka dyskusja w tej sprawie.

Ale marzenia są zawsze najpiękniejsze, zróbmy coś więcej! Zbudujmy (stworzmy) też zagłębiowskie studio telewizyjne z dwoma podstawowymi obszarami jego działalności – bieżącą oraz, bodaj ważniejszą, etnograficzną. Zupełnie niedawno Zdzisław Szostak, wybitny zagłębiowski (i polski) kompozytor i dyrygent z którym rozmawiałem przy okazji festiwalu im. M. Spisaka opowiadał mi, jak zaraz po wojnie wraz z Karolem Stryją objeżdżali małe śląskie wsie i notowali odchodzące w niepamięć ludowe śląskie utwory. Zbierzmy i usystematyzujmy resztki rodzimej zagłębiowskiej kultury.

I wreszcie ostatnia na dziś sprawa, ale bodaj najważniejsza. Jestem przekonany, że przyszła pora na stworzenie wielkiego ogólnozagłębiowskiego festiwalu kulturalnego. Imprezy zupełnie innej, niż coroczne Dni Zagłębia, bo choć adresowanej również do społeczności zagłębiowskiej, to jednak przez tę samą społeczność wytworzonej. Niewątpliwie musi to być festiwal działający się w każdym z miast. Czy będą to „Artystyczne Ulice Zagłębia” czy „Judaica Zagłębiowska” czy „Festiwal Przemysłu i Brynicy” czy „Zagłębie Fest” oparte o realizowany od czterech lat pomysł „Kiepusa Fest” Grześka Majzla, czy „Zagłębie Off

Festiwal” – to obojętne. Powinno to być jednak święto artystyczne, klasyczne i ultranowoczesne równocześnie w swojej strukturze. Tak, by z jednej strony przyciągnęło twórców zrzeszonych w kilkudziesięciu lokalnych stowarzyszeniach, a z drugiej stworzyło przestrzeń dla Hyde Parków i performance’u, gry obrazem i dźwiękiem na poziomie jeśli nie europejskim, to chociaż krajowym.

Gdyby do realizacji tak pomyślanego festiwalu wykorzystać przestrzenie zamkniętych dla samochodów ciągów zagłębiowskich ulic (ul. Modrzejska i Warszawska w Sosnowcu, ul. 3 Maja w Dąbrowie Górniczej, Rynek w Czeladzi, ul. Małachowskiego i plac 3 Maja w Będzinie) a festiwal zorganizować wczesną jesienią, mógłby on też mieć pewien wymiar komercyjny, bo zarówno restauratorzy, jak i sklepikarze mieliby z niego korzyści. Z pewnością powstałaby też możliwość wygospodarowania dodatkowych przestrzeni handlowych i usługowych.

Wybory pokazały, że nie lubimy spadochroniarzy, że nikt nas „z urzędu” nie uszczęśliwi. Musimy wziąć sprawy w swoje ręce. Zapraszam do dyskusji o tym, co i jak można zrobić, aby lepiej – ciekawiej i fajniej żyło się nam w Zagłębiu. Ale pamiętajcie – na początek Wielki Zagłębiowski Festiwal!

Krzysztof M. Macha

towic z dotychczasowymi akcjami i projektami, mającymi promować stolicę naszego województwa.

Na stronie forum.gwk24 internauta uważa: „W porównaniu z 'Jadymy na Bogato' to nowy spot całkiem znośny w swojej prostocie”. „Jadymy na bogato” to powstały w połowie tego roku teledysk promujący cechy mieszkańców Śląska, stworzony jako odpowiedź na podobne projekty powstałe w Warszawie („Projekt Warszawiak”) oraz w Trójmieście („Projekt Trójzab”).

Adrian Grad, jeden z pomysłodawców „Projektu Ślązak” tak wypowiedział się w imieniu twórców: „Chcemy pokazać województwo śląskie z tej tradycyjnej i nowoczesnej strony, żeby Śląsk nie kojarzył się tylko z górnikami, ale także z biznesem, dobrą zabawą i rozrywką”. Twórcy zaznaczyli, że nie bali się przy tym grać na stereotypach, co pomogło podkreślić humorystyczny klimat teledysku.

Niestety, mimo dobrych chęci i gościnnego udziału znanych osób ze Śląska (w teledysku zagrali: reżyser Kazimierz Kutz, raper Grub-Son i Kabaret Młodych Panów) klip zebrał sporo negatywnych komentarzy w sieci. Na kanale projektu na YouTube pojawiły się np. takie wpisy: „jestem ze Śląska i z bólem serca muszę stwierdzić, że kicha ;C”, „wstyd mi”, „oo, oo, ooo, 145 sponsorów i na koniec taka lipa”, „trzeba nie mieć wstydu, żeby takie coś na yt wrzucić”, „żenada”. Mimo wszystko, widać tu jednak przynajmniej duże zainteresowanie internautów, na co wskazuje blisko

pół miliona odsłon teledysku na YT.

Mówiąc o promocji Katowic nie można nie wspomnieć o kandydaturze miasta do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Najważniejsze elementy akcji stanowiły: slogan „Miasto Ogrodów”, cenne działania Biura ESK animującego życie kulturalne miasta, liczne imprezy towarzyszące i pozytywne zmiany na ulicach Katowic. Choć miasto nie zdobyło tytułu, udało mu się zakwalifikować do finałowej piątki (razem z Warszawą, Wrocławiem, Gdańskiem i Lublinem), a tym samym rozślawić swój dorobek kulturalny w całej Polsce. Była to, jak do tej pory, największa i najbardziej udana (i doceniona przez mieszkańców regionu) kampania promocyjna Katowic, zakrojona na tak szeroką skalę, że trudno znaleźć osoby, które by akcji nie kojarzyły.

Jedynym minusem, według niektórych zainteresowanych tematem, były samodzielne działania Katowic, zamiast próby stworzenia grupy miast z Metropolii Silesia wspierających czynnie Katowice we wszystkich etapach trwania konkursu.

Innym, wartym wspomnienia, przedsięwzięciem jest trwająca od 2009 roku kampania „Promocja inwestycyjna Miasta Katowice – warto tu zainwestować”, której celem jest wykreowanie pozytywnego wizerunku miasta, a także przyciągnięcie do niego inwestorów. Źródłem finansowania jest w tym przypadku Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego.

15 listopada w internecie oraz w stacjach

CNN i TVN24 premierę miał spot reklamowy, będący elementem 2. edycji kampanii. Spot zachęca informacjami o mieście ujętymi w liczbach: „Jeden niepowtarzalny symbol. Trzy pasażerskie lotniska w promieniu 110 km. Sześć europejskich stolic na wyciągnięcie ręki. 45% powierzchni miasta to tereny zielone. 130 tysięcy studentów ze wszystkich dziedzin nauki. 2 miliony mieszkańców aglomeracji”, a także informacjami istotnymi dla różnego rodzaju inwestorów: „Przestrzenie biurowe, rozrywka, najlepsza w kraju infrastruktura. Nieskończona liczba możliwości!”. Choć spot adresowany jest raczej do odbiorców instytucjonalnych, czas zapewne pokaże jak został oceniony przez samych mieszkańców miasta.

Cenna sąsiedzka lekcja (?)

Warto skorzystać z doświadczenia naszego sąsiada zza Brynicy i przeanalizować przygotowywane przez niego akcje mające na celu własną promocję. Warto bowiem zbadać pokonane przez innych ścieżki, by dowiedzieć się, którą drogę powinniśmy sami obrać, a która jest raczej drogą donikąd...

Być może w przyszłości któreś z miast Zagłębia Dąbrowskiego podejmie kroki mające na celu przeprowadzenie podobnej promocji, tym razem naszego regionu. Być może miasta Zagłębia stworzą konglomerat i przystąpią do realizacji tej misji wspólnie. Być może...

Ewa M. Walewska



Orientuj się na szlaku!

Wydany przez Śląską Organizację Turystyczną przewodnik „Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego” został wyróżniony trzecim miejscem w kategorii Informatory krajoznawcze i foldery w organizowanym przez PTTK XVIII Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Krajoznawczej i Turystycznej. Sam Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego prezentowaliśmy już kilkakrotnie, ostatnio w związku z dołączeniem do Szlaku nowych obiektów z terenu Zagłębia. Szlak tętni życiem – nie tak dawno odbyła się największa impreza nazywana Świętem Szlaku, czyli Industriada, stale organizowane są imprezy w różnych jego częściach (obok prezentujemy materiał z Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeldzi). Więcej informacji na temat obiektów znajdą Państwo na stronie: www.zabytkitechniki.pl

Polecamy także stronę Śląskiej Organizacji Turystycznej: <http://www.silesia-sot.pl>. Prezentowane zdjęcia pochodzą ze zbiorów ŚOT.

UWAGA! KONKURS!

Prosimy o odpowiedź na pytanie: W którym roku powstała Śląska Organizacja Turystyczna?

Odpowiedzi prosimy przesyłać wyłącznie pocztą tradycyjną na adres redakcji do końca stycznia 2012 r. Nagrodę, zestaw przewodników wydawanych przez ŚOT wylosujemy spośród prawidłowych odpowiedzi.



For arch. ŚOT



Bronisław Chromy

Prezentowane prace prof. Bronisława Chromego można było obejrzeć na wystawie malarstwa w **Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeladzi**. Zorganizowało ją Stowarzyszenie Inicjatyw Kulturalnych w Czeladzi we współpracy z Fundacją Bronisław Chromy Art w Krakowie i Miastem Czeladź. Jak dotąd, prof. Bronisław Chromy nie miał wystawy indywidualnej w naszym regionie – poza wystawą w gmachu Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, w czasie jego pracy w pracowni rzeźby i w galerii Teatru Małego w Tychach – w latach 80., natomiast swoje rzeźby prezentował w 2008 roku, podczas zorganizowanej również przez nasze Stowarzyszenie, wystawy rzeźb artystów związanych ze Śląskiem.



Galeria Sztuki Współczesnej „Elektrownia”

Wpisanie Elektrowni na Szlak Zabytków Techniki – to jedno z najważniejszych wydarzeń mijającego roku, ale oczywiście nie jedyne ważne. W czerwcu miasto uzyskało bezzwrotne dofinansowanie ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego w kwocie 10.247.634,00 zł na rewitalizację Elektrowni. Był to efekt 6-letniej działalności Stowarzyszenia Inicjatyw Kulturalnych. Wpisanie na Szlak oznaczało możliwość udziału w kolejnych ważnych wydarzeniach: w Industriadzie – święcie Szlaku Zabytków Techniki. Odbędzie się całodzienna impreza w Galerii z finałową wystawą Grafiki Tomasza i Katarzyny Chudzików, degustacją kuchni robotniczej przygotowanej przez Pana Pierzaka z Akademii Kulinarnej „Anmark” w Czeladzi, koncertem muzyki amerykańskiej lat 50., konkursem plastycznym dla dzieci. Zorganizowano cztery wystawy, w tym malarstwa Bronisława Chromego. Do końca listopada obiekt odwiedziło **2700 osób**. W listopadzie Stowarzyszenie zostało uhonorowane przez Burmistrza Miasta nagrodą „Pierścienie Saturna” za swą działalność w 2010 i 2011 roku na terenie Galerii Elektrownia. Wśród wydarzeń, które należy zapisać „na minus” są stałe wizyty „złomiarzy” na terenie obiektów pokopalnianych (z wyjątkiem budynku Elektrowni), które spowodowały poważne zniszczenia zabytkowych maszyn przeniesionych ze zlikwidowanej kopalni „Czeladź” i składowanych pod zadaszeniem oraz maszyn wyciągowych kopalni „Saturn”. „Złomiarze” to nie jest zjawisko ostatniego roku. Jest to problem od czasu zamknięcia kopalni, szczególnie widoczny po uruchomieniu działalności Galerii Elektrownia. Jest to stały problem wszystkich obiektów poprzemysłowych w całym województwie.

Rozmawiamy z panem **Janem Powalką**, prezesem Stowarzyszenia Inicjatyw Kulturalnych w Czeladzi.

Czym są Państwo w tej chwili najbardziej zajęci?
Pracujemy nad szlakiem zabytków techniki powiatu będzińskiego oraz Zagłę-

bia jako subszlakiem Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego. Początkiem tej idei była konferencja zorganizowana przez Stowarzyszenie Inicjatyw Kulturalnych wraz z Wydziałem Promocji Śląskiego Urzędu Marszałkowskiego, Miastem Czeladź i Powiatem Będzin w czerwcu 2011 roku w Czeladzi. W roku 2012 chcemy wraz z Powiatem Będzin opracować mapę powiatu z zaznaczonymi obiektami po przemysłowymi godnymi uwagi oraz ich opisem. Uwagę koncentrujemy także na tym, aby w trakcie planowanego na lata 2012-2013 remontu, Elektrownia funkcjonowała w społecznym obiegu jako miejsce kultury i tradycji górniczej naszego miasta. Aby nie straciła dotychczasowego dorobku oraz znaczenia.

Co może okazać się problemem w przyszłości, a z czym wiąże Państwo nadzieje?

Naszym zdaniem, czyli Stowarzyszenia powstał pewien problem związany z rewitalizacją Elektrowni. W ramach przyjętego do realizacji programu „Rozwój Społeczeństwa Informacyjnego w Czeladzi” miasto postanowiło umiejscowić w budynku Elektrowni tzw. Telecentrum, czyli wielofunkcyjny ośrodek, wyposażony przede wszystkim w stanowiska komputerowe z łączem internetowym, który pierwotnie miał powstać w innym punkcie Czeladzi. Proponowana na dzień dzisiejszy lokalizacja telecentrum wewnątrz budynku elektrowni zakłóci zabytkowe wnętrza obiektu i skutkuje wycięciem części urządzeń – tzw. transformatorowni z lat 60. Zdaniem woj. konserwatora nie są to obiekty zabytkowe i ewentualnie można je usunąć. Stanowią one jednak integralną część wnętrza obiektu i są elementem dziedzictwa poprzemysłowego miasta. Za lat dziesięć, dwadzieścia będą takim samym zabytkiem jak maszyny z początku XX w. stojące obok nich.

Wycinanie czegokolwiek w zabytkowym obiekcie jest nienajlepszym pomysłem. Trzeba chronić wszystko co pozostało dla potomnych. Tym bardziej że miasto zapłaciło za zachowanie transformatorowni poprzedniemu właścici-

elowi konkretne pieniądze.

Naszym zdaniem można znaleźć inne miejsce na terenie Elektrowni na umiejscowienie Telecentrum bez konieczności niszczenia czegokolwiek. Myślę, że jest to tylko kwestia rozmów i rozważenia alternatyw przez władze miasta. Nadzieje wiążemy z całorocznym funkcjonowaniem Elektrowni po zakończeniu rewitalizacji, jego adaptacją na cele Galerii Sztuki Współczesnej, dostosowaniem obiektu do współczesnych standardów funkcjonalnych, bezpieczeństwa, sanitarnych, z zachowaniem przemysłowego charakteru budynku.

Wymieniłbym jeszcze zaadaptowanie pomieszczeń na ekspozycje, magazyny, warsztaty artystyczne, salę multimedialną, informację turystyczną oraz zaplecze. A także przystosowanie obiektu do potrzeb osób niepełnosprawnych oraz zaplanowanie przez władze miasta rozbudowy infrastruktury około turystycznej przy obiektach kopalni, parkingów, małej architektury.

oprac. P. Sarna

Jan Powalka, prezes Stowarzyszenia Inicjatyw Kulturalnych w Czeladzi
Fot. R. Garstka





Fot. R. Garstka

Elektrownia





Wiosna 2012 w Expo Silesia

exposilesia

Nowoczesne centrum wystawiennicze
w aglomeracji śląskiej



W programie targów m. in.

- | | |
|---|---|
| 13 – 15 stycznia
• EXPOGołębie
5. Międzynarodowe Targi Gołębi Pocztowych | 21 – 22 marca
• SilesiaKOMUNIKACJA
4. Targi Transportu Publicznego |
| 17 – 19 lutego
• INTOUREX
5. Międzynarodowe Targi Turystyki, Rekreacji i Wypoczynku | 30 marca – 1 kwietnia
• EXPOHunting
3. Międzynarodowe Targi Łowieckie |
| • BOAT EXPO
Targi Sprzętu Pływającego i Sportów Wodnych | 17 – 18 kwietnia
• SilesiaTSL EXPO
Targi Transportu, Spedycji i Logistyki |
| 24 – 26 lutego
• SIBEX
5. Targi Budowlane Silesia Building Expo | 24 – 25 kwietnia
• ExpoCABLE
Targi Technologii, Wykorzystania Kabli i Przewodów w Przemysle |
| • Silesia INTERIOR
Targi Wyposażenia Wnętrz | 18 – 20 maja
• AUTO MOTO SHOW
Targi Motoryzacyjne |
| • SILTERM – INSTAL
Salon Techniki Grzewczej i Instalacyjnej | |
| • Targi Mieszkaniowo-Developerskie | |



Sosnowiec

Expo Silesia Sp. z o.o., ul. Braci Mieroszewskich 124, 41-219 Sosnowiec, tel. +48 32 78 87 500, fax +48 32 78 87 502, e-mail: exposilesia@exposilesia.pl

Pełny program targów www.exposilesia.pl



O ekonomii w Pałacu Schoena

We wtorek 15 listopada w Pałacu Schoena w Sosnowcu została zorganizowana konferencja dotycząca aktualnych zagadnień gospodarczych, w tym problemów finansowych w dobie zagrożenia tzw. drugą falą kryzysu. Obecni byli na niej lokalni przedsiębiorcy i ekonomiści przybyli z miast Zagłębia. Honorowym gościem był Prezydent Miasta Sosnowca, Kazimierz Górski. Patronem konferencji był Bank BGŻ, Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie oraz firma Aegon. Centralnym punktem spotkania był wykład wygłoszony przez Dariusza Winek, głównego ekonomistę Banku BGŻ. Dariusz Winek jest cenionym autorytetem w dziedzinie ekonomii i bankowości, autorem publikacji naukowych oraz artykułów w prasie i czasopismach ekonomicznych, a także opracowań dla instytucji publicznych. Spotkanie zostało dodatkowo uhono-

rowane obecnością Prezydenta Miasta, Kazimierza Górskiego. Na konferencji obecni byli także pracownicy Oddziału Operacyjnego Banku BGŻw Sosnowcu, m.in. Dyrektor Oddziału – Pani Izabela Paprotna oraz Pani Bogusława Niewęgłowska – kierownik do spraw Bankowości Instytucjonalnej.

Wygłoszony wykład nosił tytuł: Perspektywy dla gospodarki światowej i polskiej w obliczu kryzysu zadłużeniowego w strefie euro. Ekonomista rozpoczął od prognoz dotyczących gospodarki światowej. Podkreślał, że uległy one znacznemu pogorszeniu wówczas, gdy wyczerpały się narzędzia polityki gospodarczej podtrzymujące wzrost ekonomiczny. Przewodnim tematem był kryzys finansowy w Europie, który wywołał kryzys zadłużeniowy, a ten z kolei może przerodzić się w kryzys sektora bankowego. Najbardziej zagrożone są kraje peryferyjne strefy euro, jednak przedstawiona analiza wskazała, że ich wyjście ze strefy euro nie jest dla nich ratunkiem. Co do konsekwencji kryzysu dla Polski, Dariusz Winek zwró-

cił uwagę, że w ostatnich miesiącach mamy do czynienia z dużą niepewnością odnośnie rozwoju sytuacji, a prognozy wzrostu gospodarczego są korygowane w dół. Ekonomista zauważył ponadto, że obserwowana od sierpnia br. silna deprecjacja złotego wywołuje przejściowy wzrost presji inflacyjnej, jednak w średnim okresie postępujące spowolnienie gospodarcze powinno ją skutecznie stłumić. Dariusz Winek uspokajał jednak, że obecne osłabienie złotego ma raczej charakter przejściowy, a na przełomie roku oczekiwana jest częściowa aprecjacja waluty krajowej. Nie zmienia to faktu, że w pierwszej połowie 2012 roku złoty może nadal pozostać dość słaby i podlegać silnym wahaniom.

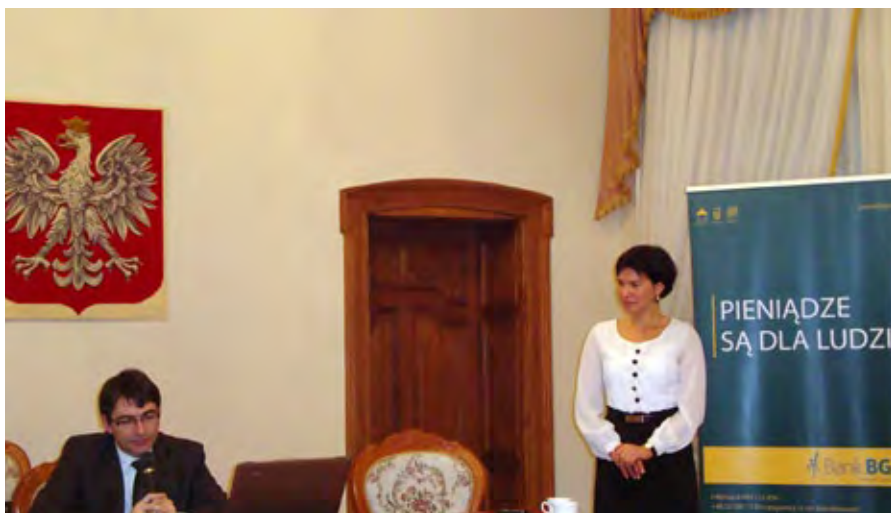
Joanna Wójcik

Na pytania Redakcji odpowiada główny ekonomista Banku BGŻ Dariusz Winek

Czy system bankowy jest winny kryzysowi gospodarczemu? A jeśli tak, to czy polskie banki również miały w tym udział?

Kryzys gospodarczy rozpoczął się bezpośrednio w Stanach Zjednoczonych. To tam przede wszystkim, została wygenerowana nadmierna ilość pieniądza kredytowego. Wywołało to pierwszą fazę kryzysu, czyli kryzysu na rynku kredytów hipotecznych o niskim standardzie (z ang. subprime). W tym kontekście można powiedzieć, że kryzys na rynku amerykańskim był bezpośrednim powodem do wybuchu obecnego kry-

Główny ekonomista Banku BGŻ Dariusz Winek oraz dyrektor BGŻ Oddział w Sosnowcu Izabela Paprotna. Fot. J. Wójcik



zysu, z którym mamy do czynienia z przerwami od 2008 roku. Na początku dziewiętnastego stulecia powstały opracowania naukowe pokazujące, że sektor finansowy kreuje nadmierną akcję kredytową, co wywołuje kryzys. Hyman P. Minsky, czy też przedstawiciele tzw. szkoły austriackiej są przedstawicielami nurtu w teorii ekonomii, zgodnie z którym jednym z powodów niestabilności gospodarczej jest zachowanie sektora finansowego. Istnieją jednak też i inne teorie wskazujące, że niekoniecznie jest to reguła odnosząca się do każdego kryzysu. Mieliliśmy bowiem do czynienia z kryzysami wywołanymi z innych powodów. Wystarczy wspomnieć o kryzysie lat 70. XX wieku, kiedy kryzys był konsekwencją wzrostu cen ropy naftowej. W związku z tym obarczanie każdorazowo sektora finansowego winą za wywołanie kryzysu jest za daleko idące, ale tym razem faktycznie amerykański sektor finansowy był za to bezpośrednio odpowiedzialny. Trudno jednak mówić o odpowiedzialności polskiego sektora bankowego za obecny kryzys.

Czy klienci banków w Polsce ponoszą straty finansowe związane z upadkiem kolejnych dużych banków na świecie?

Dotychczas, szczęśliwie nie dochodzi do upadków dużych banków na świecie oprócz banku Lehman Brothers oczywiście. Jego upadek we wrześniu 2008 roku wywołał pierwszą falę kryzysu, która miała skalę globalną. Należy przy tym wspomnieć, że w Polsce – w ostatnich pięciu latach – nie było upadku żadnego banku. W tym sensie Polski sektor bankowy był odporny na kryzys światowy. Również i dziś, wizja upadków banków w Polsce wydaje się dość mało prawdopodobna. Jeśli mówimy o zagrożeniach to wynikają one raczej z tego, że blisko 80% aktywów sektora bankowego w Polsce jest własnością kapitału zagranicznego. W związku z tym, potencjalnym zagrożeniem jest eskalacja kryzysu w jakimś kraju, z którego wywodzi się bank zagraniczny będący właścicielem banku działającego na terenie Polski. Jeśli ten bank macierzysty upadłby, może to spowodować upadek banku działającego w naszym kraju. Jak na razie, wyda-

je się to jednak dość mało prawdopodobne. Klienci indywidualni banków nie muszą się również nadmiernie obawiać o swoje depozyty, bo są one objęte gwarancjami Bankowego Funduszu Gwarancyjnego do kwoty 100 tys. euro. Gwarancjami nie są jednak objęte depozyty o wyższym nominale, a zatem na ryzyko są narażone podmioty instytucjonalne. Dlatego przedsiębiorstwa powinny zastanowić się, czy obsługujący je bank można uważać za bezpieczny. W przypadku potencjalnego jego upadku firma mogłaby nie odzyskać swoich pieniędzy.

To ryzyko istniało przecież zawsze, tylko teraz się częściej o tym przypomina.

Tak, dlatego należy zachować roztropność w wyborze banku, w którym depozuje się pieniądze. Pomimo tego, że banki są instytucjami zaufania publicznego i istnieją odpowiednie regulacje, które muszą one przestrzegać, a dodatkowo kontroluje je Komisja Nadzoru Finansowego, to bank jest takim samym kontrahentem, jak każdy inny.

Czy BGŻ wycofa się z finansowania przedsiębiorstw w sytuacji kryzysu?

To musiałaby być naprawdę ostateczność. Bank ma silne wsparcie ze strony partnera strategicznego, czyli Rabobanku, po drugie, jest stabilny, bezpieczny, ma strategię nastawioną na rozwój, a nie na kurczenie się. Mamy konkretne plany pozyskiwania środków depozytowych, które pozwalają na finansowanie akcji kredytowej, czyli – mówiąc kolokwialnie – BGŻ nie związa interesu, ale go rozszerza.

Czy orientuje się Pan w jakich regionach kraju jaki nazwijmy to „produkt” (oferta) banku ma największy popyt?

Jeśli chodzi o analizę popytu na produkty i usługi bankowe to owszem, różne regiony mają różny potencjał. Determinuje go zamożność społeczeństw i poziom rozwoju gospodarczego danego regionu. Natomiast wcale nie oznacza to, że największe depozytów, czy największe zyski z działalności bankowej będą tam, gdzie jest najbogatszy region. Na rynku bankowym, jak na każdym innym, trzeba uwzględnić stopień lokalnej konkurencji. Może być tak, że w

dużych miejscowościach jest dużo banków i one silnie konkurują ze sobą. Dlatego strategia naszego banku jest taka, że staramy się lokować swoje placówki w miejscowościach mniejszych, powiatowych, gdzie nadal potencjał do działalności bankowej jest nie w pełni wykorzystany.

W jakiej walucie obecnie jest najkorzystniej zaciągać kredyty hipoteczne?

Należy pamiętać, że kredyt hipoteczny w innej walucie, niż w tej, w której się zarabia, oznacza podwyższone ryzyko. Jeśli ktoś słabo orientuje się w tematyce ekonomicznych i finansowych, nie śledzi na bieżąco tego, co się dzieje w gospodarce i rynkach finansowych, jest wrażliwy na wielkość zadłużenia w stosunku do swoich dochodów, to raczej nie powinien podejmować tego ryzyka i zdecydować się na kredyt złotowy. Oczywiście w przypadku kredytów walutowych można też próbować ubezpieczyć się przed spadkiem wartości złotego, czyli zabezpieczyć się przed ryzykiem kursowym. Jednak wówczas, opłacalność kredytu walutowego w stosunku do złotowego będzie istotnie mniejsza.

Czy dziś można powiedzieć, że polski złoty jest stabilną walutą, czy raczej nadal nie?

Polski złoty jest walutą kraju uznawanego przez inwestorów za wschodzący, co oznacza, że jego kurs jest podatny na wahania wywołane międzynarodowymi przepływami kapitału pod wpływem zmieniających się nastrojów. Zatem trudno jeszcze mówić o tym, że złoty jest walutą stabilną. Na pewno możemy jednak powiedzieć, że kryzys sprawił, że inwestorzy bardziej racjonalnie oceniają fundamenty gospodarek i w tym kontekście Polska wyróżnia się pozytywnie. Dlatego choć obserwujemy deprecjację, to jednak jej skala nie była tak silna, jak w innych krajach regionu. Oznacza to, że wyraźnie poprawia się percepcja inwestorów co do oceny Polski. Coraz bliżej jest nam do krajów, których waluty utrzymują się w miarę stabilnie i nie reagują z dużą nerwowością na wzrost globalnych zagrożeń.

Dziękujemy za rozmowę.

Joanna Wójcik,
współpraca Paweł Sarna

Karty do gry przewidziały przyszłość?

Wiele kart w tej grze, jak się z czasem okazało, miało charakter iście proroczy. Najsłynniejsze są szczególnie dwie karty przedstawiające płonące wieże World Trade Center oraz Pentagon. Rysunki do złudzenia przypominają obrazy z ataków z 11 września 2001 roku. Nie wskazują co prawda, jak do tych zamachów doszło, jednak sam fakt, że ataki zostały przewidziane daje do myślenia.

Gry karciane należą chyba do najpopularniejszych gier ludzkości. Jednak oprócz czystej rozrywki od dawna towarzyszyło im coś więcej, coś na pograniczu magii i mistyki. Być może było to związane z tym, że tak wiele w grach karcianych zależy od losu, nad którym nie mamy zupełnie kontroli. Pochożące z Chin karty zyskały ogromną popularność w Europie, gdzie również powstało wiele rodzajów zabaw wykorzystujących talie kart. Osobną historię mają słynne karty tarota, które we wprawnych rękach pozwalają przewidzieć przyszłość, odpowiedzieć na pytania dotyczące zarówno śmierci, jak i miłości, ale też wiążą się z ryzykiem, gdyż są igraszką z nieznanymi siłami, które nieostrożnego gracza mogą kosztować duszę.

W drugiej połowie XX wieku karty zyskały jeszcze jedno oblicze. Wraz z rosnącą popularnością gier RPG wielkim powodzeniem zaczęły się cieszyć gry karciane, które pozwalały wykorzystać potencjał fantastycznych światów. Wyobrażenia dwudziestowiecznych pisarzy oraz twórców systemów RPG musiała też, siłą rzeczy, powędrować w stronę wykorzystania krążących wśród ludzi podań, tajemnic i spisków.

Tę fascynację tłumaczą słowa H.P. Lovecrafta, który stwierdził, że: „Najstarszą i najsilniejszą emocją towarzyszącą rodzajowi ludzkiemu jest strach, zaś najstarszym i najsilniejszym rodzajem strachu jest strach przed nieznanym.”

Fascynacja strachem przyniosła wkrótce owoce. Zaczęły pojawiać się gry, takie jak popularny na przełomie lat 80. i 90. system „Wampir: Maskarada”, w którym fani mogli dotknąć drugiego dna rzeczywistości, gdzie pod cienką warstwą ludzkiej cywilizacji zażarty bój toczą ze sobą krwiożercze istoty, które od tysiącleci sprawują rzeczywistą władzę nad światem.

Największą jednak tajemnicę i najwięcej kontrowersji budzi przykład wydanej na początku lat 80. gry „Illuminati – the card game”.

W sieci można znaleźć informacje, jakoby jeszcze podczas przygotowań do wydania tej gry do siedziby jej twórcy – firmy Steve'a Jacksona, wtargnęło CIA i skonfiskowało cały jej nakład. Dopiero w wyniku wygranego procesu sądowego Jackson odzyskał możliwość jej wydania. Tego typu informacje krążą po sieci, ciężko je jednak jednoznacznie potwierdzić. Być może jest to chwyt marketingowy przygotowany przez wydawców gry, by zainteresować nią szerszą publiczność? Z samą grą wiąże się jednak o wiele większa tajemnica, którą ciężko wytłumaczyć zwykłym marketingiem.

Twórcy gry całymi garściami czerpali z różnego rodzaju „teorii spiskowych”, wszystko to podlewając najróżniejszymi legendami i literaturą fantastyczną. W ten sposób wśród organizacji, którymi mógł zarządzać gracz, są nie tylko Illuminati, ale również UFO bądź też „Służalcy Cthulhu” („The Servants of Cthulhu”, zakon wyznawców pradawnych bóstw pochodzących z mitologii stworzonej przez wspomnianego już H.P. Lovecrafta). Cała gra miała od początku funkcjonować z lek-



kim przymrużeniem oka i zapewne jej popularność nie wyszłaby poza środowisko fanów gier karcianych i RPG, gdyby nie jedna rzecz...

Otóż wiele kart w tej grze, jak się z czasem okazało, miało charakter iście proroczy. Najsłynniejsze są szczególnie dwie karty przedstawiające płonące wieże World Trade Center oraz Pentagon. Rysunki do złudzenia przypominają obrazy z ataków z 11 września

2001 roku. Nie wskazują co prawda, jak do tych zamachów doszło, jednak sam fakt, że ataki zostały przewidziane daje do myślenia.

Nie są to zresztą jedyne kontrowersyjne karty. Na innej karcie możemy zobaczyć trupią czaszkę unoszącą się nad miastem z podpisem „Redukcja populacji” („Population reduction”) – wszystkich, którzy znają zagadnienie „chemtrails”, czyli chmur zawierających toksyczne związki rozpylane na niebie podobieństwo nasunie się od razu. Wybuchające co jakiś czas, a podkreślane przez media historie związane z kolejną mutacją tej lub innej grypy, wszędybyłskie szczepionki – to również można znaleźć wśród kart Illuminati – „Centrum ds. kontroli chorób” („Center for Disease Control”).

Jeszcze ciekawiej musi się prezentować spojrzenie na galerię kart w kontekście ostatnich wydarzeń na świecie. Nie brakuje w nich odniesień choćby do kryzysu wywołanego cenami nieruchomości („Savings and loan scam”, „Savings and loans”), sztucznego ratowania gospodarek, a nawet pożerania kolejnych walut przez rosnący kryzys. Wielka ryba zjadająca kolejno jena, funta, w końcu dolara to wciąż kwestia przyszłości, ale czy faktycznie aż tak odległa? Do tego warto wymienić także kartę „Sterowanie rynkiem” („Market manipulation”) pokazującą kontrolę świata finansów nad budżetami państw. Wystarczy włączyć telewizor i posłuchać, jak grecki kryzys wpływa na decyzje pozostałych państw strefy euro, by przekonać się, że również ta karta okazała się być proroczą.

Ostatnio głośno stały się karty dotyczące tegorocznych wydarzeń. Na karcie „Fala przypływu” („Tidal wave”) wielka fala tsunami zalewająca ogromne miasto przypomina nam o skutkach wielkiego trzęsienia ziemi z 11 marca w Japonii. Jeszcze większe podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń można dostrzec spoglądając na kartę zatytułowaną „Połączone katastrofy” („Combined disasters”), gdzie widać spadającą wieżę zegarową. Wielu interpretatorów do marca bieżącego roku podejrzewało, że przedstawiają one jakąś wielką katastrofę, jaka dotknie Londynu, a szczególnie angielski House of Parliament i Big Bena. Dopiero po tragedii jaka dotknęła Japonię zauważono, że zegar na karcie do złudzenia przypomina ten jaki znajdował się do niedawna w Tokio. Oczywiście oficjalne doniesienia podają, że trzęsienie ziemi na Pacyfiku i powstała w jego skutku ogromna fala tsunami były zjawiskami jak najbardziej naturalnymi, jednak wielu badaczy, w tym

między innymi Benjamin Fulford twierdzą, że trzęsienie zostało wywołane sztucznie poprzez użycie HAARP, nowego rodzaju broni, umożliwiającej wywoływać trzęsienia ziemi przy użyciu pola magnetycznego.

Na koniec warto wskazać na inne karty, które przedstawiają tak znajome nam tematy, jak wszczepianie pod skórę czipów czy wszechobecne kamery. Oczywiście istnieje również tak zwany ruch oporu („Resistance”), wśród których możemy zobaczyć między innymi hakerów. Gdy przypomnimy sobie o utworzonej przez „hakerów” stronie WikiLeaks oraz aktywnej ostatnio grupie „Anonymous”, możemy czuć się zaskoczeni.

Gra „Illuminati: the Card Game”, chociaż w założeniu miała mieć przede wszystkim charakter rozrywkowy i jej celem było raczej wyszydzenie wielu tak zwanych teorii spiskowych, to jednak jak się finalnie okazało, sama stała się ich częścią. Największą tajemnicą jest to, w jaki sposób autorzy tak trafnie przewidzieli wydarzenia, które miały miejsce dopiero kilka lat po wydaniu gry. Oczywiście pewnych rzeczy można było się domyślić, w jakiś sposób przewidzieć, ale czy na taką skalę i do tego tak trafnie? Najwyraźniej autorzy musieli się wcześniej wyposażać w niezwykle dobrą szklaną kulę, że bez problemu mogli przewidzieć zdarzenia z przyszłości.

Oczywiście może być też inne wytłumaczenie. Gra Illuminati mówi nam: „wiecie co planujemy, ale nic z tym nie możecie zrobić”. Może mało to optymistyczne, ale wiele obecnych na kartach przepowiedni wciąż czeka na realizację. Czy jednak tego właśnie chcemy?

Victor Orwellsky



Młotkiem w łeb



Odprujcie kaptury!

Czy wprowadzeniu zakazu zasłaniania twarzy przez uczestników wszelkich zgromadzeń publicznych nie powinien towarzyszyć zakaz używania pseudonimów (tzw. nicków) w internecie? Przecież internet też jest przestrzenią publiczną... a pseudonim specyficzną maską... Jednak nie zawsze ukrywanie tożsamości jest złem. I nie zawsze zasłanianie twarzy ma na celu uniknięcie odpowiedzialności za czyny nieczne i kryminalne. Słynne weneckie maski służyły w karnawale przede wszystkim zachowaniom frywolnym, choć bywało – co z upodobaniem wykorzystywały powieści płaszcza i szpady – że posługiwali się nimi zwykli nikczemnicy dla osiągnięcia swych paskudnych celów.

Maska jest takim samym narzędziem jak każde inne. Na przykład nóż może kroić chleb, by wszystkich równo nakarmić, ale może też kroić czyjs (pusty lub pełny) brzuch. Nie nóż winien, a ręka która nim włada, więc nie maska winna, ale twarz, którą skrywa, lub brak tej twarzy... Bo przecież kto używa maski w celach niegodnych, tak zakrywa się, że traci twarz, czyli honor. Przestaje być osobą, personą, jest już tylko zakalą, wyklucza się poza społeczność. Zazwyczaj na zawsze, choć chrześcijański humanizm (nie ma innego!) przewiduje nawet dla zatwardziałych grzeszników szansę powrotu (resocjalizacji) przez poddanie się pokucie (i karze).

Może nazbyt ulegnę tutaj pokusie dyskursu filozoficznego, gdyż martwi mnie przyczyna tych rozważań, czyli ów zakaz zasłaniania twarzy. Dotąd zamaskowane gęby były dla mnie – na ulicy – wczesnym sygnałem, żeby uważać bądź rejterować. Maski (i specyficzne kaptury, skrywające twarze w mroku) ostrzegały: idą źli, idą gnoje. Może nie wszyscy... Ale niestety: kaptury są obecnie manife-

stacją wyznawania antywartości, popierania tych najgorszych zachowań, ślepej przemocy, pogardy dla wolności (skoro każda wolność jednostkowa kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność kogoś drugiego; ergo: jakiegokolwiek naruszenie tej granicy znosi też wolność naruszającego).

Właśnie: zawsze decyduje kontekst, intencja użycia tego narzędzia (maski, kaptura). Kto oglądał westerny, pamięta, że kowboje w trakcie spędów bydlą zasłaniali nosy i usta charakterystycznymi chustami, chroniąc w ten sposób drogi oddechowe przed tumanami kurzu wzbijanymi przez pędzone stado. Niektórzy z nich, gdy stawiali się bandytami, wykorzystywali owe chusty dla ukrycia swej tożsamości, gdy napadali na dyliżanse, banki, czy pociągi.

Maska jest zwykłym kłamstwem. W tym nick internetowy od niej się niczym nie różni. I znowu: część internautów używa go w celach godnych pochwały, lub po prostu chroniąc swoją prywatność, swe prywatne poglądy przed retorsjami, np. w miejscu ich nauki lub pracy, część, aby móc – według swego mniemania anonimowo, więc bezkarnie – opłuwać innych swoimi wpisami na forach netowych.

Jednak niekiedy czynienie dobra wymaga przywdziania maski wobec np. jakiejś tyranii, dysponującej przemocą niesprawiedliwości. W kulturze popularnej takim zamaskowanym bohaterem jest np. Zorro. I jeszcze kilku by się znalazło mu podobnych. Choć wydaje się, że w polskiej tradycji maska (kaptur) przypisany był jedynie katom. Nawet – de facto – zwykli bandyci jak Janosik, czy śląski Ondraszek twarzy nie ukrywali, a do tego nie nazywali się górnolotnie, tylko właśnie zbójnikami.

Maski w przestrzeni publicznej, czy jest to sytuacja karnawałowa, polityczna czy sportowa sygnalizują: zmieniamy reguły społecznych zachowań. Dlatego wart rozważenia jest apel – choćby był daremny – do kibiców, by odrzucili, a nawet odpruli kaptury. Ci z nich, którzy by tego nie zrobili, ujawniliby się jako tzw. kibole, czyli po prostu zwykli bandyci. Jakże byłoby interesująco – z perspektywy naszych zagłębiowskich opłotków, ale nie tylko – gdyby to kibice Zagłębia Sosnowiec pierwszy podjęli to nie tylko symboliczne działanie. Gdyby od nich zaczęła się moda na nienoszenie kapturów. Ale cóż, trudno wymagać od jakiegokolwiek środowiska, także od kibiców, zachowań idealistycznych, samodzielnego i świadomego ostracyzmu wobec gorszej części tego środowiska. Splot różnych wspólnych interesów i zwykłych towarzy-

skich powiązań oraz zwyczajów jest zbyt silny. Cóż, mimo wszystko próbować można, więc to napiszę: Kibice Zagłębia Sosnowiec, odprujcie kaptury!

Tłum – a podobnie internet – daje złudne poczucie anonimowości. O wynikających z tego zachowaniach tłumy wiele pisali socjologowie, również badania nad psychologią tłumy przyniosły bardzo ciekawe rozpoznania. W pierwszej kolejności warto tu sięgnąć do monumentalnego dzieła noblisty Eliasza Canettiego „Masa i władza”. Na apelowanie pozytywne, nie ukierunkowane, ogólne (np.: „Bądźcie spokojni”) tłum nie reaguje, co najwyżej tłamsi tych, którzy w jego obrębie chcą się zachować inaczej. Natomiast łatwo rzuca się na – wykreowanego przez jego przywódców lub umieszczonych w nim prowokatorów, względnie stworzonego przez sytuację – wroga. Jako całość nie może być sam wobec siebie wrogiem, ulec pozytywnej dekompozycji. Co nie znaczy, że każdy tłum jest zły: skupiony wokół pozytywnej idei, wokół pozytywnego przywództwa zachowuje się spokojnie, nie dokonuje destrukcji. Ba, staje się nawet dość mocno impregnowany na prowokację.

Tłum kibicowski może być zorientowany pozytywnie, kibicowanie (popieranie) swoich nie musi degenerować się w ksenofobię. Tę wywołują nie barwy klubowe, ale na przykład owe kaptury (i wszelkie maski), często i nieświadomie używane nie dla zachowania anonimowości, ale skrycia frustracji i własnej słabości. Poczucia mniejszej wartości przecież nie jedynie z powodu przegranej meczu. Stąd tak łatwo wynaturza się część tych środowisk. Z braku poczucia, że żadna przegrana (także w życiu codziennym) nie godzi przecież w naszą osobistą godność. Dlatego kto odrzuca kaptur, przestaje chodzić przygarbiony, prostuje się, ogląda świat z wyższej perspektywy, przejmuje nad nim kontrolę.

Warto zauważyć, że niektóre zachowania, charakterystyczne dla tłumy przenoszone są do internetu, a te z internetu – praktykowane są też w tzw. realu. Te dwie formy uczestnictwa w życiu publicznym wzmacniają się. Niestety zbyt często negatywnie. Choć przykładów wzmocnień pozytywnych też znajdziemy wiele. Większość przypominających happeningi flashmobów, zwoływanych przez internet, jest tego przykładem. Ostatnio trochę wyszły z mody, ale może ktoś u nas zaczyna taką akcję: Odprujcie kaptury, wyprostujcie się!

Jerzy Suchanek

Zaciskanie pasa

Święta Bożego Narodzenia już za progiem, a my musimy zacząć oszczędzać. Każdy, kto wysłuchał expose Premiera, zaczyna robić „rachunek sumienia”. Niby wiemy, że w całej Europie jest kryzys, ale przecież wszystkie media informują, że Polska jest w dobrej sytuacji. Zagrożone są Grecja, Włochy, Węgry, ale Polska ma dodatnie tempo wzrostu gospodarczego i prognozy również są pozytywne. Skąd potrzeba „zaciskania pasa”?

O ile tempo wzrostu PKB stawia nas w czołówce krajów UE, o tyle sytuacja finansów publicznych jest zła i tutaj zajmujemy końcowe miejsce, tuż, tuż za krajami zagrożonymi. Mamy wprowadzić prawie 4-procentowy wzrost gospodarczy, ale jednocześnie prawie 8-procentowy deficyt finansów publicznych. Wydatki naszego państwa wynoszą 46,0 proc. PKB i są w ponad 70 proc. sztywne. Dlatego w kryzysie łatwiej będzie podwyższyć podatki, niż obniżyć wydatki. Bardzo niekorzystna jest struktura wydatków z polskiego budżetu. Za rozwojowe uznaje się wydatki na edukację (37 mld zł), szkolnictwo wyższe (11 mld zł), naukę (4 mld zł.). Tradycyjne wydatki to: wsparcie wypłat emerytur (72 mld) i obsługa długu publicznego (38 mld). Każdy z nas płaci rocznie 1000 zł za samą obsługę długu publicznego. Dlatego Komisja Europejska wymienia Polskę na „krótkiej liście” krajów zagrożonych kryzysem (obok Belgii, Cypru i Malty.)

Nie ma wyjścia, trzeba ciąć i to właśnie konkretne oszczędności przedstawił premier w swoim expose. Największe oszczędności ma przynieść podniesienie składki rentowej po stronie pracodawców. Jednak – jak mówią doświadczeni ludzie – „każdy kij ma dwa końce” – koszty pracy wzrosną, wówczas ceny produktów, usług również, co wpłynie na zmniejszenie konkurencyjności polskich produktów na europejskim rynku. Poza tym każda podwyżka kosztów pracy to więcej umów śmieciowych, więcej osób zatrudnionych na umowę o dzieło, a więc mniej wpływów z podatków. Nie będzie ulgi internetowej, do budżetu wpłynie corocznie 0,4 mld złotych. No, ale jak to, przecież budujemy gospodarkę opartą na wiedzy, każdy pierwszoklasista miał dostać laptopa, a teraz zabierzemy ulgę na Internet, przecież dostęp do Internetu jest jedną z miar rozwoju gospodarczego i spo-

łecznego kraju. W ramach rozwoju „gospodarki opartej na wiedzy” rząd ograniczy przywilej odliczania 50-procentowych kosztów uzyskania przychodów dla twórców, naukowców, których zarobki przekraczają 85 tys. złotych. Janosik też zabierał bogatym i rozdawał biednym. Tylko tych bogatych w naszym kraju nadal jest niewiele i bez kapitalistów – kapitalizmu albo ładniej gospodarki rynkowej się nie zbuduje. Premier w expose wyraźnie powiedział, że koszty kryzysu przerzuci na lepiej zarabiających. Działania te dotkną tych, którzy codzienną pracą i uczciwie płaconymi podatkami z trudem przekraczają 85 tysięcy rocznie – to mniej niż 2,0% społeczeństwa, ale to ta grupa wpłaca do budżetu prawie 23,0% wpływów podatkowych. To są m.in. rodzice, którzy nie oszczędzają na edukacji swoich dzieci i dlatego premier postanawia odebrać im ulgę rodzinną. (Chyba, że będą mieli dwoje i więcej dzieci).

Od lutego 2012 roku rząd zamierza obłożyć składką zdrowotną rolników – właścicieli ziemi powyżej 6 ha. I to akurat ma sens. Bowiem czym różni się właściciel dużego gospodarstwa rolnego od właściciela firmy, który tą składkę zawsze płacił.

W zakresie działań długoterminowych rząd zamierza wydłużyć wiek emerytalny i zrównać go dla kobiet i mężczyzn do 67 lat. Myślę, że może to i dobry pomysł, tylko nie wiem, czy analitycy rządowi obliczyli, jak wpłynie on na bezrobocie. Stopa bezrobocia sięga 12,0 proc. Czy pozostanie grupy „potencjalnych” emerytów na rynku pracy nie zabierze miejsc pracy absolwentom szkół wyższych i ponadgimnazjalnych?

Premier zapowiedział również zmiany w opodatkowaniu kopalni. Podatek od srebra i miedzi może być wprowadzony po I kwartale 2012 roku. Budżet uzyska 2-3 mld zł. Szacuje się, że wpływy z podatku od łupków gazowych mogą się pojawić najszybciej za trzy lata. Obecnie firmy prowadzą dopiero prace poszukiwawcze, a faktyczna eksploatacja planowana jest na rok 2014.

Profesor Jan Czekaj uważa, że dla oceny realności planowanego zmniejszenia deficytu sektora finansów publicznych konieczne jest przeanalizowanie pozostałych jego elementów – funduszy celowych i finansów samorządowych. Niestety w wystąpieniu premiera nie było informacji, w jaki sposób ograniczony zostanie defi-

cyt tych elementów sektora, które generują około 2/3 deficytu sektora finansów publicznych.

Można dyskutować z wieloma propozycjami, uważać je za niewystarczające, proponować uzupełnienie, jednak jasno należy stwierdzić, iż przedstawione przez premiera propozycje zmian długookresowych, które mają zapewnić bezpieczeństwo ekonomiczne kraju zasługują na pozytywną ocenę. Wydłużenie i zrównanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn, reforma emerytur mundurowych oraz KRUS, ograniczenie przywilejów emerytalnych wpłyną na pewno na poprawę finansów publicznych. Problem jest jeden – należy wprowadzić je w życie. Samo przedstawienie planu działań rządu nie wystarczy. Konieczne są ustawy, które zostaną skierowane do Sejmu. Liczymy na determinację rządzących, tym bardziej że są to zmiany wywołujące poważne konsekwencje społeczne i wprowadzenie ich nie będzie łatwe.

Zmiany te nie będą dla nas przyjemne, ale wyjścia nie ma. Nie pozostaje nam nic innego, jak z nimi się pogodzić i żyć z okazji zbliżających się Świąt i Nowego Roku – nowemu rządowi determinacji. Wówczas w krótkim okresie będzie gorzej, ale w długiej perspektywie, tzn. nam na emeryturze, a naszym dzieciom i wnukom wcześniej, mam nadzieję będzie żyło się lepiej i bezpieczniej, czego niepoprawna optymistka z okazji Świąt Bożego Narodzenia Państwu i sobie życzy.

Jadwiga Gierczycka



Hokej

Czekając na cud

Znów głośno o hokeistach Zagłębia Sosnowiec! Szkoda tylko, że nie z racji sportowych sukcesów, bo w ligowej rywalizacji wloką się w ogonie tabeli. Trzeba być jednak sprawiedliwym i odnotować fakt, że potrafią sprawić sensację – chociażby wygrywając w Tychach z tamtejszym GKS-em 6:3. Ci co oglądali tam słynne 10 minut w wykonaniu sosnowiczian, w czasie których strzelili wszystkie gole, stwierdzili, że gdyby

sosnowieckich hokeistów w rozgrywkach PLH, zanim ta trafiła do założonej w tym roku spółki. Dlaczego Centralne Biuro Antykorupcyjne poproszono, na wniosek prokuratury w Dąbrowie Górniczej, o sprawdzenie sytuacji w stowarzyszeniu? „Stowarzyszenie otrzymało dotację na szkolenie dzieci i młodzieży i nie rozliczyło się z niej. Urząd miejski w Sosnowcu został wprowadzony w błąd przez złą dokumentację. Klub posiadał zadłużenie względem ZUS i Urzędu Skarbowego, część pieniędzy przekazanych przez gminę została przejęta przez komornika, a pozostała trafiła na konta zawodników. Rozpatrujemy wątek w sprawie złe wykorzystanej dotacji, gdyż pieniądze nie zostały prze-



Fot. M. Wasik

ci grali tak w każdym meczu i przez trzy tercje, to „na bank” mielibyśmy mistrza. To tylko jednak marzenie, bo Zagłębiu przyjdzie grać tylko o utrzymanie. Cóż, mistrzami – i to pięciokrotnymi – sosnowieccy wirtuozi krążka byli; a czy jeszcze będą? Może, jeżeli znajdą się miliony złotych w budżecie klubu...

Skoro nie ma sportowych sukcesów, to dlaczego o hokejowym Zagłębiu jest głośno? Powodów jest aż nadto. Pierwszy ma charakter niemalże kryminalny, bo związany z CBA. Otóż ta antykorupcyjna instytucja zainteresowała się działalnością Stowarzyszenia KH Zagłębie, które prowadziło drużynę

znaczone na szkolenie dzieci i młodzieży” – wyjaśnił portalowi „Sportowe Zagłębie” prokurator Zbigniew Zięba. Czyżby korupcja? A może nieuczciwe wyprowadzenie pieniędzy? Żądnych sensacji studzi prezes kontrolowanego przez CBA Stowarzyszenia KH Zagłębie, Adam Bernat. „Rozliczyliśmy się z tych pieniędzy, jednak z powodów formalnych nie zostało ono przyjęte. Ze spokojem czekam na rozwój wypadków. Nikogo nie oszukaliśmy, robiliśmy wszystko, żeby ratować klub, któremu groziła likwidacja”. Czy ratując go za wszelką cenę, można stosować wszelkie środki? Cóż, wyjaśni to prokurator. Rozwój wypadków u hokeistów jest nad-

zwyczaj dynamiczny i na dodatek z nie-
zwykłymi zwrotami. Niczym podczas
meczu na tafli lodowej, kiedy czasami
trudno nadążyć za tym co się dzieje.
Jak już wspomnieliśmy, stowarzysze-
nie kierowane przez prezesa Bernata
przekazało seniorów i miejsce w Pol-
skiej Lidze Hokeja powołanej przez
Gminę Sosnowiec spółce. Ta, już z no-
wym prezesem, którym nieoczekiwa-
nie został Marcin Fall, którego nikt nie
znał, przejęła większą część zadłużenia
i miała szybko wyjść na prostą. To wy-
chodzenie – nie do końca pomyślne –
trwa do dziś. Zdaniem wielu, dlatego,
że w roli prezesa nie sprawdził się po-
chodzący z Krakowa Fall. Zarzucano
mu, że nie działał w hokeju, tylko w ko-
szykówce i nie zna realiów. Inna rzecz,
że nie mógł liczyć na szerokie wspar-
cie, przeciwnie – na każdym kroku był
krytykowany.

Być może byłoby inaczej, gdyby ho-
kejowa spółka mogła liczyć na znacznie
większe finansowe wsparcie ze strony
miasta. Ale z drugiej strony, rolą preze-
sa było szukanie też innych źródeł do-
chodów. Wytykał to były prezes Bernat,
wspierany przez sympatyzujących z nim
radnych. Ci prezesowi Fallowi zrobili
na listopadowym posiedzeniu Komisji
Budżetowej niemalże komisję śledczą.
Pytano go dlaczego rzadko bywał w So-
snowcu, jak rozliczał przejazdy prywat-
nym samochodem, dlaczego na koszt
spółki kupował bilety na mecze piłkar-
zy Wisły Kraków... Prezes się bronił,
ale widać było, że jego dni jako prezesa
są raczej policzone. Na dodatek nie po-
trafił dojść do porozumienia z Uczniow-
skim Klubem Sportowym Sielec. Tre-
nerzy i rodzice młodych zawodników
uważali, że wchłonięcie go w struktu-
ry spółki grozi po prostu jego likwida-
cją. I pisano protesty do prezydenta,
radnych, żądając stanowczych kroków.

Prezydent Kazimierz Górski, choć
sprawiedliwie oceniał pracę prezesa
Falla, który przecież pospłacał część
długów i wprowadził oszczędności
w spółce, to jednak musiał się rozgła-
dać za jego następcą. Tym bardziej że
opozycyjni radni wykorzystywali każ-
dą okazję, żeby atakować władze mia-
sta za brak kontroli nad tym co dzieje
się w spółce. Ich zdaniem w hokejowym
Zagłębiu musi dojść do zmian, a przede

wszystkim zmiany podejścia do osób
od lat związanych z sosnowieckim ho-
kejem, które zostały odsunięte. „Klub
musi zacząć współpracować ze środo-
wiskiem, bo będzie źle. To są ludzie,
który zrobili dużo dobrego dla hoke-
ja, szukali sponsorów. Odsunięcie ich
to nie jest błąd, to jest grzech śmier-
telny. Warto mieć wsparcie ludzi, któ-
rzy zjedli zęby na hokeju” – zacytujmy
znów za „Sportowym Zagłębiem” opi-
nię radnego Macieja Adamca.

No i do zmian doszło. Rada nadzor-
cza hokejowej spółki mając rekomen-
dację prezydenta Sosnowca przyjęła
rezygnację Marcina Falla, powołując
w jego miejsce (na razie jako pełniące-
go obowiązki) Zbigniewa Drązkiewicza.
I tu kolejna ciekawa sytuacja, o której
głośno mówi się w sportowym środowi-
sku. Albowiem Zbigniew Drązkiewicz
zostając prezesem przesiadł się z fote-
la dyrektora sosnowieckiego MOSIR-
u na ten należący do zastępcy dyrekto-
ra i na dodatek w dalszym ciągu będzie
dyrektorem hokejowej Szkoły Mistrzo-
stwa Sportowego. Czy to jest recepta na
sukces? Pożyjemy, zobaczymy.

A co z tymi ludźmi, którzy „na ho-
keju zjedli zęby”? Czy znajdzie się dla
nich godne miejsce, żeby wykorzystać
ich doświadczenie? Nowy prezes spółki
twierdzi, że głównym celem w najbliż-
szej perspektywie jest doprowadzenie
do normalności i wyciszenie konfliktów.
Cel szczytny, ciekawe tylko jak to osią-
gnąć jeżeli pieniędzy ciągle będzie za
mało. Może jednak dojdzie do cudu i na-
stąpi pojednanie wszystkich z wszyst-
kimi, a my doczekamy znów powtór-
ki z historii, kiedy to stolica polskiego
hokeja była w Sosnowcu.

Andrzej Wasik



Pan i pani o ortografii

Narrator – Pan przyszedł wzburzony do
domu, trzasnął mocno drzwiami i z po-
nurą miną, niezwykle powoli zaczął zde-
mować płaszcz, pieczołowicie położył na
stoliku teczkę z niewątpliwie niezwyklej
wagi dokumentami, usadził wytwornie
tylną część ciała na krześle i począł zzu-
wać buty. Pani wychyliła się zza drzwi,
szeroko otworzyła przerażone widokiem
pana oczy i znikła, by po niezwykle krót-
kiej chwili wrócić. Ręce trzymała za sobą.

Pani – Coś nie poszło, najdroższy?

Pan spojrzał ponuro, pokiwał smutno
głową i wrócił do rozwiązywania sznuro-
wadeł. Szło mu nad wyraz opornie, jakby
zapomniał tej prostej umiejętności, któ-
rą opanowują dzieci już w wieku przed-
szkolnym. Pani przyglądała się zaniepoko-
jona, machając bamboszkami, które panu
przyniosła, by nie przeziębził sobie stóp na
chłodnej podłodze.

Pani – Powiedz, mój miły, cóż takie-
go okropnego dotknęło cię do żywego?

Pan – Och, gdybym i ja tak potrafił wier-
szem opowiadać o moich problemach, jak
ty pytać wierszem, byłbym stworzył naj-
tragiczniejszy poemat świata. Szekspi-
rowskie tragedie poszłyby w ką, lamentsy
Jeremiasza zadźwięczałyby pusto, nawet
klęski rozbiorów, tak dramatycznie opie-
wane przez romantycznych poetów, sta-
łyby się niczym cymbał brzęmiący, albo
miedź brzęcząca.

Pani – Ukochany mój mężu, drzę cała
z przerażenia na samą myśl, że coś ktoś
skrzywdzić cię ośmielił się bezecnie. Gdy
mój pan się tak fatalnie czuje, że zmartwie-
nia nie rymuje. Jednak, dla swojej gołębi-
cy uchył rąbka tajemnicy.

Narrator – Zapadła cisza, przerywana
tylko dopływającą z głębi apartamentu
uwerturą Muzyki sztucznych ogni Geo-
rga Friedricha Haendla, bowiem pani
właśnie korzystała z dobrodziejstwa re-
laksujących dźwięków muzyki baroko-
wej, oddając się równocześnie niezwykle
intensywnym ćwiczeniom intelektual-
nym w trakcie rozwiązywania krzyżów-
ki z popularnego miesięcznika dla pań.
Pan zastygł w niemej rozpacz niczym
żona Lota zamieniona w słup soli, z któ-
rego powstało według popularnej legen-
dy Al-Bahr al-Majit zwane również Jam
haMelach przez profanów nazywane Mo-

rzem Martwym. Wreszcie przemówił głę-
boki głosem, w którym słysząc było bez-
denną rozpacz.

Pan – Szeff wykazał mi, że popełniłem
błąd ortograficzny.

Pani – Jakże się to stało, mój kochany,
że popełniłeś błąd tak niesłychany?

Pan – Zaproponował dyktando, które
miało stać się podstawą do awansu.

Pani – A awans, mam nadzieję, wiąże
się z podniesieniem uposażenia ewentu-
alnie gratyfikacją.

Pan – To się rozumie samo przez się,
więc bynajmniej nie o to chodzi.

Pani – Powiedzmy.

Pan – Dobrze, powiem. Podyktował za-
ledwie jedno zdanie.

Pani – Powiedz kochany, z chęcią po-
słuchamy.

Pan – Paręnaście staj od billboardu z re-
klamą Polskiego Koncernu Naftowego Or-
len SA, tuż-tuż koło Głubczyc, barzanka
zachwycała się wczesnoromantycznymi
poezjami Novalisa, gdy niepostrzeżenie
sfrunął owadożerny kobczyk, przysiadł
na bufce, potem na mufce.

Pani – Banalne. I ty popełniłeś błąd?
Niesłychane. Jak się to stało, mój niedo-
uczony panie?

Pan – Napisałem Novalis przez w, za-
miast przez v.

Pani – Koszmar. Wstyd mi za ciebie,
mój miły. Co twoje dzieci będą mówi-
ły, gdy ojciec błędy paskudne robi, chy-
ba uciec nam przyjdzie hen, do Nairobi.

Pan – Ale właściwie, no powiedz. Jakie
ma to znaczenie?

Pani – Ależ kochanie! Ortografia to samo
życie. Chyba nie powiesz, że to samo zna-
czy mieć i miedź. Co innego znaczy, gdy
cię ukarze i gdy ci coś ukaże. Nie zawsze
Bug jest rzeką, czasem rośnie niedaleko.

Pan – Ja to wiem wszystko, ale moja
miła, przecież gdy mówię, błędów orto-
graficznych nie słysząc, a przecież wiem
kiedy buk, kiedy Bóg, a kiedy Bug. Cała
ta ortografia to bzdura wierutna, której
jedynym celem jest upokorzyć człowie-
ka. Kilku mędrków decyduje, że który pi-
szemy przez Ó, a bury przez U. A biedni
ludzie muszą się tego uczyć i pokutować,
kiedy napiszą źle.

Pani – Czy to znaczy, że nie dostałeś
awansu?

Pan – A jakie to ma znaczenie?

Pani – No, wiesz?

Narrator – Nagle rozległ się grzmot!

To niebo wyraziło dezaprobatę wobec
niefrasobliwości pana, dla którego za-
sady ortografii polskiej stały się niczym
zgoła, gdyż popełnił fatalny błąd, jakie-
go wstydziłby się lada gimnazjalista. Pio-
runy huczały po niebie jeszcze wówczas,
gdy z ociąganiem się, nieśmiało stanęła
przed obliczem rodziców swoich ich na-
stoletnia pociecha, uczennica II klasy Ze-
społu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 im.
Kazimierza Wielkiego, od września mies-
zczącego się pod nowym adresem przy ul.
Północnej 9a. Weszła niby wiosna, świeża
niby wiosenny ogród, nic więc dziwnego,
że popłynęła ukochana przez panią mu-
zyka Vialdiego, precudne cantabile z Flu-
te Concerto in Di major „Il Gardinello”.

Pan – Cóż cię sprowadza, precudny
kwiecie moich lędźwi? Widok twój za-
piera dech w piersi nawet tak oswojone-
go z pięknem człowieka jak ja.

Córka – Mamo, tato! Jezdem w ciąży!

Pan – O nieszczęsna!

Pani – O zgryzoto!

Pan – O hańbo naszego domu. Jakże to,
ty, wzorowa uczennica II klasy.... Zespołu
Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 im. Kazi-
mierza Wielkiego, od września mieszcza-
cego się pod nowym adresem przy ul. Pół-
nocnej 9a, powiadasz „Jezdem”!?

Pani – To straszne.

Pan – Tak się nie godzi!

Pani – Wyrzekamy się ciebie!

Pan – A awans dostałem. Inni popeł-
nili znacznie więcej błędów.

Pani – Córko, przebaczam ci.

Pan – I ja tobie przebaczam, ale nie
mów tak więcej!

Zbigniew Adamczyk



Architektura Zagłębia – kompendium

Najnowsza publikacja Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu jest pokłosiem ubiegłorocznej Sesji Zagłębiowskiej poświęconej architekturze Zagłębia Dąbrowskiego. Książka ukazuje się w serii pod redakcją prof. Mariana Kisiela i dra Pawła Majerskiego. Jest ona adresowana do szerokiego grona odbiorców, miłośników kultury zagłębiowskiej. Artykuły, które złożyły się na tę interesującą pozycję, skupiają się na tematyce regionalnej. Niedoceniane zabytki architektoniczne okolicznych miast, pamięć przeszłości zaklęta w budynkach, agresja nowoczesności widoczna w architekturze i urbanistyce Zagłębia - to tylko część zagadnień analizowanych przez autorów szkiców. W skład publikacji weszły następujące teksty: Tomasz Taczewski: *Architektura społeczeństwa wiedzy – Muzeum Ziemi w dolinie Czarnej Przemyszy*; Dariusz Rozmus: *O znaczeniu ołowiu w budownictwie. Kilka uwag w świetle ostatnich odkryć średniowiecznych hut srebra i ołowiu na terenie Zagłębia*; Damian Adamczak: *Drewniana architektura z Zagłębia Dąbrowskiego w skansenie chorzowskim*; Ewa Chmielewska: *Osiedla patronackie – czynnik pejzażu Sosnowca*; Włodzimierz Wójcik: *Moje wspomnienia o zagłębiowskich „domowych progach”, zagrodach i sanktuariach*; Jacek Owczarek: *O konserwacji zabytków w Zagłębiu Dąbrowskim*; Katarzyna Zawadzka, Ryszard Szymonowicz: *Dzieje konserwacji Pałacu Dietla w Sosnowcu*; Irena Kontny: *„Kościoły miast zagłębiowskich do 1914 roku (Będzin, Czeladź, Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec)*; Jarosław Krajniewski: *Zamki nad Przemysą*; Anna Syska, Agnieszka Woźniakowska: *Osiedle robotnicze Czeladź-Piaski*.

„Architektura Zagłębia - Materiały IX Sesji Zagłębiowskiej, Sosnowiec 16-17 września 2010 roku” pod red. Mariana Kisiela i Pawła Majerskiego. Sosnowiec 2011.



Kim jesteś, Panie Orwellsky?!

Gdy medycyna zaakceptowała fakt, że niektóre schorzenia mogą mieć charakter psychosomatyczny, lista tego typu chorób zaczęła w szybkim tempie rosnąć. W trakcie postępów nauki dowiedziano jednak, że wiele z tych chorób ma podłoże biologiczne i wiązanie ich z działaniem psychiki było bezzasadne. To, co dla medyków pierwszej połowy XX wieku było niewytłumaczalne, w XXI znajduje uzasadnienie. Jak to się ma do *Kodu władzy*? A tak, że naturą człowieka jest gromadzenie faktów, uporczywe poszukiwanie ich wytłumaczenia, nawet jeśli nie dysponuje on wystarczającą ilością przesłanek, aby móc je zrozumieć. Zaś im mniej przesłanek, tym bardziej fantastyczne i nieprawdopodobne teorie. Ten mechanizm w swojej debiutanckiej książce skutecznie wykorzystuje Victor Orwellsky.

O czym jest ta książka, możemy dowiedzieć się w zarysie ze ściągawki przygotowanej przez wydawcę: „Na rękach papieża w Watykanie ginie w zamachu wpływowy kardynał. By nie wywołać skandalu władze Kościoła tuszują sprawę, równocześnie jednak rozpoczynając śledztwo mające wykryć sprawców. Z misją ich znalezienia wysłany zostaje młody ksiądz. W trakcie poszukiwań trafia na Mazury, gdzie poznaje dwójkę dziennikarzy niemieckiego, wpływowego dziennika, zwabionych tajemniczymi lądowaniami nieoznakowanych samolotów na lotnisku w Szymanach. Razem wpadają na trop spisku o światowym zasięgu. Tajemnicza organizacja, której korzenie sięgają zamierzchłej przeszłości skupia najbardziej wpływowych ludzi na ziemi, starając się manipulować światową polityką”. Spisek goni spisek. Swoją drogą interesujące jest już to, że o Orwellskim stało się głośno, jeszcze przed ukazaniem się „Kodu”. Jego artykuły publikowane na blogu oraz głównych stronach największych w Polsce portali – takich jak Onet czy Interia, przeczytało ponad 2 miliony internautów. Orwellsky został także laureatem pierwszego miejsca w międzynarodowym konkursie dziennikarstwa obywatelskiego organizowanym przez portal Interia w kategorii: najlepszy debiut dziennikarski 2010/2011. Przy tym pytanie – kim jest Orwellsky pozostaje nadal zagadką. W trakcie tegorocznych Targów Książki autor obecny był... wirtualnie, można było z nim porozmawiać poprzez komunikator. Tożsamość autora jest – jakże by inaczej! – tematem jeśli

jeszcze nie teorii spiskowej, to plotki mającej coraz większy zasięg. Na kilku różnych blogach można przeczytać, że pod tym pseudonimem ukrył się jeden z głównych polskich polityków, który woli zachować anonimowość. Zapewne już pojawiły się pierwsze nazwiska. Nie będę ich przytaczała ani też sama nie obstawię. Nie wiem, na ile jest to prawda, ale jeśli jest to zabieg zastosowany przez sztab marketingowców, to trzeba im pogratulować skuteczności.

Przeczytałam i książkę, i jej recenzje, które w większości są zaskakująco bezrefleksyjne. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że recenzenci dali wpuścić się w maliny, co niezbyt dobrze o nich świadczy, za to jak najlepiej o autorze. Recenzenci rzeczywiście zaczęli wierzyć w istnienie spisku, który mógłby tłumaczyć wiadomości ze świata polityki. Co więcej, zaczynają wietrzyć spisek skierowany przeciw książce i obawiają o wycofanie nakładu. Trudno sobie wyobrazić lepszą reklamę.

Na tym też polega siła książki – fakty miesza się z mitami na tyle sprawnie, że w pewnym momencie nie sposób odróżnić jednych od drugich. Co więcej, są ze sobą splecione na tyle logicznie, że na niektórych mogą sprawiać wrażenie literatury faktu. Pomysł na książkę był jak najbardziej udany, pomimo że jest to przecież kolejna książka oparta na teoriach spiskowych. Nie umniejsza to jednak przyjemności z czytania, co więcej sprawia, że czytamy coraz szybciej żeby poznać zakończenie. A przy ostatnich kilkunastu słowach zwalniamy, bo trochę żal, że książka się już kończy. Nie, nie zdradzę jak, nie chcę odbierać przyjemności. Smaczku przydają niewątpliwie polskie realia, bo w zalewie literatury anglojęzycznej, brakowało na naszym rynku właśnie takiej pozycji.

Nie sposób uniknąć porównań do *Kodu Leonarda da Vinci*, a *Kod władzy* nawiązuje do niego nie tylko w tytule. Podobnie jak w przypadku dzieła Dana Browna fabuła obfituje w wydarzenia z życia Kościoła, świata polityki, miejscami ocieka seksem (i to w bardzo podobnej relacji mistrz – uczennica). Nie pokusiłabym się jednak o nazwanie *Kodu władzy* polskim odpowiednikiem *Kodu Leonarda*, Orwellsky znalazł chyba własną drogę.

W kategorii „ambitne czytadło” książkę oceniam wysoko. Zdecydowanie na polskim rynku wydawniczym brakuje pozycji dedykowanych czytelnikowi, który chętnie poczyta

coś do poduszki. Nie będzie zawiedziony jeśli tym czymś będzie *Kod władzy*. Nie gwarantuję natomiast, że noc nie będzie zarwana – książka niewątpliwie wciąga. Polecam zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Dla tych ostatnich będzie ciekawą alternatywą dla tzw. literatury kobiecej modnej w ostatnich latach, ale w mojej opinii przede wszystkim nudnej, bardzo sztampowej i obrażającej naszą inteligencję. *Kod władzy* sprawdzi się jako dobry prezent pod choinkę – długie zimowe wieczory pozwolą na przeczytanie książki „na raz”, bo naprawdę nie chce się jej odkładać.

Na koniec łyżka dziegciu. Osobiście drażnią mnie imiona głównych bohaterów. Monique pisana fonetycznie doprowadzała mnie do szału i odwracała uwagę od treści, Poul aż się prosił o to, żeby być Paulem. W związku z tym, że książka na poziomie językowym jest bardzo udana wątpię aby było to przeoczenie redakcji i korekty. Rozumiem zatem, że to celowy zabieg autora, niemniej nieudany. Jeśli w książce powinno coś poruszać, drażnić, powodować dysonans – to na pewno nie imiona bohaterów.

Jestem bardzo ciekawa kolejnych książek tego autora – dobre pomysły, talent narratorski, umiejętność tworzenia nieoczywistych powiązań, które sprawiają wrażenie logicznych, własny barwny styl stanowią świetną bazę. Zatem autor ma wszelkie szanse, by stać się gorącym nazwiskiem na rynku wydawniczym. Z tego, co mi wiadomo, książkę można kupić tylko poprzez stronę: <http://orwellsky.com>

Paulina Żmuda



Sosnowiecka układanka

Na rynku wydawniczym pojawiła się przed paroma tygodniami powieść, której bohaterem jest miasto. Nie byłoby w tym nic poruszającego (wszak znamy takie przypadki – choćby całkiem świeże kryminały Krajewskiego), gdyby nie fakt, iż owym miastem jest Sosnowiec. Zastanawiające, że „Korzeniec” Zbigniewa Białasa, bo o nim mowa, jest pierwszą książką przybliżającą nam w tak wciągającej fabule ten tygiel kultur i obyczajów.

Podczas lektury pierwszych stron powieści możemy nabrać złudnego wrażenia, że trafił w nasze ręce kryminał w stylu retro. Nie jest to jednak prawda. Szybkie uśmiercenie tytułowego bohatera, Alojzego Korzeńca, toczące się w związku z jego zaginioną głową śledztwo i polityczna afera, stanowią tylko fabularny pretekst dla przedstawienia czytelnikom historyczno-obyczajowego obrazu Sosnowca w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej. A jest co przedstawiać, w końcu w tym miejscu spotykały się niegdyś granice trzech mocarstw.

Nie tylko różnice narodowościowe (mamy tu Polaków, Niemców, Żydów, Rosjan, a nawet Finkę), stanowią o różnorodności bohaterów. Spotkamy całą galerię oryginałów od wdowy-grafomanki, poprzez niegrzeszącego odwagą i nieco oderwanego od rzeczywistości redaktora lokalnej gazety, do pruskiego kapitana zakochanego w bonie. Fabrykanci, pogranicznicy, przemysłowcy, konspiratorzy, czeladnicy, artyści – dają autorowi szerokie pole do popisu na gruncie psychologicznym, a przede wszystkim socjologicznym. Co też z wdziękiem wykorzystuje, serwując nam rzetelny obraz wzburzających napięć społecznych, niuansów obyczajowych i rozgrywek politycznych obleczonych w zgrabną fikcję literacką.

Zbigniew Białas jest profesorem nauk humanistycznych, literaturoznawcą-anglistą, autorem publikacji naukowych i tłumaczem literatury anglojęzycznej, kierownikiem Zakładu Literatur Podróżniczych i Studiów Postkolonialnych w Instytucie Kultury i Literatur Anglojęzycznych Uniwersytetu Śląskiego.

Nie można mu odmówić naukowej cierpliwości i rzetelności w poszukiwaniu źródeł koniecznych do odtworzenia topografii miasta sprzed niemal stu lat (akcja powieści rozpoczyna się 28 czerwca 1913, kończy – 28 czerwca 1914). Jak czytamy w posłowniu, znakomita większość adresów, nazwisk, ogłoszeń prasowych, czy nazw ulic jest zgodna z ówczesną rzeczywistością. Stąd, świetną zabawą może być odnajdywanie niegdysiejszych gabinetów dentystycznych, sklepów i kamienic.



Aż dziw, że wśród tak wielu postaci i wątków udaje się prof. Białasowi zrećnić doprowadzić czytelnika do rozwiązania intrygi (zostawiając mu jednak miejsce na domysły). Nawet liczne dygresje i zabawy stylistyczne, odbiegające od dzisiejszej, internetowej normy krótkiego, prostego przekazu, nie zniechęcają do dalszej lektury. Potoczna narracja i wyjątkowy dowcip powieści nie pozwalają ani przez chwilę się nudzić. Widoczna na pierwszy rzut oka, ciężka praca i niewątpliwy talent zaczynają już procentować. *Korzeniec* zdobył nagrodę internautów „Najlepsza książka na jesień” w konkursie portalu literackiego granice.pl. Od 28 listopada Program 2 Polskiego Radia prezentować będzie fragmenty powieści w interpretacji Mariana Opani. Wszystko wskazuje na to, że ma ona szanse zaistnieć nie tylko w Zagłębiu.

Pozostaje nam czekać na rozwój sytuacji i kolejne odsłony sosnowieckiej historii. „Korzeniec” jest bowiem początkiem planowanego przez autora cyklu. Drugi tom zapowiadany jest jako kontynuacja przygód znanych nam bohaterów rozgrywająca się w latach 1918-1919. Spodziewać się go możemy z końcem przyszłego roku.

Olga Kujawińska-Kostro

Zbigniew Białas: *Korzeniec*, Wydawnictwo MG 2011.

Monografia w stulecie OSP w Bobrownikach

Ochotnicza Straż Pożarna w Bobrownikach była pierwszą organizacją społeczną w tej miejscowości. Powstała w roku 1911 i w tym roku obchodzi swój

jubileusz. Z ową rocznicą związane jest wydanie, finansowanej przez Gminę Bobrowniki, monografii „100 lat Ochotniczej Straży Pożarnej w Bobrownikach” autorstwa Haliny Gajdzik.

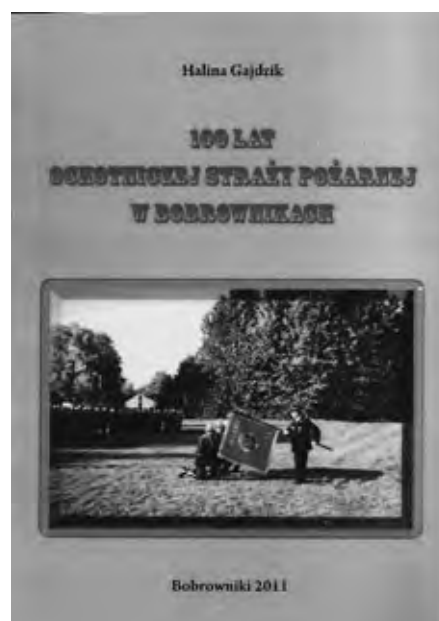
W publikacji znajdziemy obszernie informacje dotyczące historii i działalności organizacji. Dowiemy się z niej m.in., że powstała dzięki wsparciu ks. Marcina Rykowskiego. Pierwsza ochotnicza drużyna pożarnicza borykała się początkowo z dużymi trudnościami wynikającymi z braku sprzętu i strażnicy. Organizacja weszła w skład, powołanego w 1916 r., Związku Floriańskiego. Budowę remizy rozpoczęto, decyzją gminy w 1928 r. i z udziałem strażaków zakończono w 1932. W obliczu drugiej wojny światowej, w roku 1938 jednostka przygotowywała się do obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej. Utworzono także żeńską drużynę sanitarną „Samarytanki”, przeszkoloną do udzielania pierwszej pomocy.

Wielu druhów zostało w tym okresie powołanych i brało udział w kampanii wrześniowej. Po wojnie OSP podjęła ponownie działalność. Dzięki ciężkiej pracy strażaków oraz wsparciu społecznemu i instytucjonalnemu, udało się znacznie poszerzyć zasoby OSP.

Dziś jednostka pod zarządem prezesa Włodzimierza Koźmińskiego, dysponuje m.in. dwoma samochodami, agregatami prądowtórcozowymi, pompami i sprzętem ratownictwa przedlekarskiego, szkoli Młodzieżowe Drużyny Pożarnicze, stanowiące jej przyszłe zaplecze kadrowe i ciesząc się uznaniem społeczności lokalnej, może świętować swoje stulecie.

Olga Kujawińska-Kostro

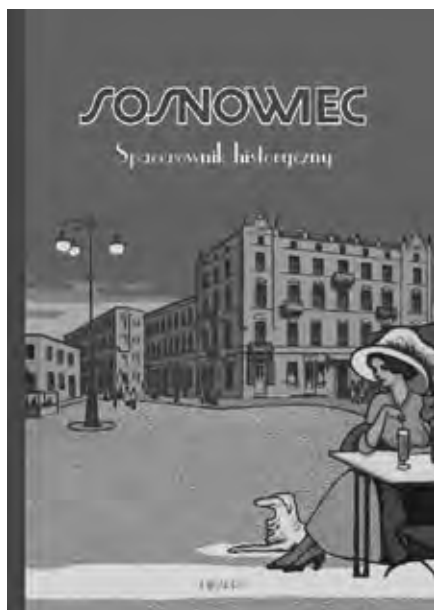
H. Gajdzik: 100 lat Ochotniczej straży Pożarnej w Bobrownikach, Bobrowniki 2011.



Na książkę składa się ponad dwadzieścia szkiców, interpretacji, esejów. Ich autorami są krytycy, badacze literatury, sami poeci, którzy – jak pisze redaktor zbioru, prof. Marian Kisiel – „musieli zmierzyć się z niepokojącą poezją, o której można powiedzieć tyle, że jednocześnie stwarza świat w języku i chce ten świat językiem zburzyć”.



W obszernym, bo liczącym ponad 360 stron opracowaniu *Sosnowiec. Spacerownik historyczny* „prezentowany jest bardzo bogaty zbiór starych widokówek, zdjęć, ulotek oraz innych dokumentów z przeszłości miasta. Książka jest efektem wieloletniej pasji kolekcjonerskiej autora książki i jej wydawcy Dariusza Kmiołka. Wydanie zbioru zbiega się ze 110. rocznicą nadania Sosnowcowi praw miejskich oraz 20. rocznicą istnienia wydawnictwa Dikappa.



Stulecie urodzin Czesława Miłosza

Poezja znad Issy cz. 1

Włodzimierz Wójcik

Odległość pomiędzy Szetejniami, gdzie Miłosz się urodził 30 czerwca 1911, a Krakowem, gdzie zakończył życie 14 sierpnia 2004 roku, wynosi kilkaset kilometrów. Długość odbytych przez niego podróży określamy natomiast setkami tysięcy kilometrów czy też mil. Można powiedzieć, że był globtroterem. Mieszkał na dwóch kontynentach. Z Wilna, gdzie pracował w Polskim Radio, i gdzie był duszą grupy literackiej „Żagary”, przeniósł się w roku 1937 do Warszawy. Po okresie tułaczki wojennej wrócił w 1940 do stolicy by działać w konspiracji. Po powstaniu warszawskim krótko przebywał w Krakowie. W latach 1945–1950 pracował w dyplomacji jako przedstawiciel Polski w Nowym Jorku, Waszyngtonie i w Paryżu. Od 1951 zostaje w Paryżu emigrantem politycznym. Przeżywa stany depresyjne. Doznaje jednak opieki Jerzego Giedroycia, redaktora „Kultury” oraz jego współpracowników. W 1960 roku Miłosz wraz z rodziną na stałe osiadł w Stanach Zjednoczonych, w Berkeley w Kalifornii, gdzie jako profesor wykładał literaturę polską. Mimo to czuł się człowiekiem w pewnym sensie bezdomnym. Po otrzymaniu Nagrody Nobla w roku 1980, po przemianach demokratycznych w Polsce, został w 1993 honorowym obywatelem miasta Krakowa. W tym królewskim mieście zamieszkał na stałe.

Trzeba jednocześnie zdać sobie z tego sprawę, że = Miłosz-globtroter – jako człowiek pióra, artysta i intelektualista autor *Roku myśliwego* i *Zniewolonego umysłu* (zresztą przez wielu czytelników przyjmowanego z mieszanymi uczuciami), podróżował także w czasie. Obejmował myślą i wyobraźnią tysiąclecia ludzkiej cywilizacji oraz przestrzenie nie mieszczące się po prostu w głowie. Pochodził z polskiej rodziny pieczętującej się herbem Lubicz, ale nad jego kolebką ciążyły kajdany niewoli ze strony trzech zaborców.

Jednak doczekał się Polski Niepodległej, potem Trzeciej Rzeczypospolitej. Po twórczym życiu, po przeżyciu 93 lat, spoczął w chwale w krypcie zasłużonych Po-

laków na Skałce. Sąsiedztwo ma niezwykle godne. W krypcie Klasztoru Paulinów, w tej dziedzinie biskupa Stanisława-Męczennika, leżą w sarkofagach: Jan Długosz, Wincenty Pol, Lucjan Siemieński, Józef Ignacy Kraszewski, Teofil Lenartowicz, Adam Asnyk, Henryk Siemiradzki, Stanisław Wyspiański, Jacek Malczewski, Karol Szymanowski, Ludwik Solski, Tadeusz Banachiewicz.

Wychowywał się pod ciśnieniem racjonalizmu idącego z tradycji Śniadeckich, i romantyzmu spod znaku Mickiewicza, filomatów i filaretów. Czymś cennym dla Miłosza było życie w wielokulturowości. On Polak poznawał kulturę i obyczajowość Litwinów, Żydów, Rosjan, Białorusinów, Tatarów. Katolicyzm, prawosławie, judaizm, muzułmanizm nie pozostawały bez wpływu na młodego studenta Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, który najpierw studiował polonistykę, a potem prawo. Najbardziej płodnym „fakultetem” była materia życia regionu, którą poznawał i której doznawał wszystkimi zmysłami. Na całe dość długie życie w jego osobowości zostały zawarte obrazy lasów, pól, łąk, zagajników, starych leśniczówek, kapliczek i krzyży przydrożnych, dziwaków i mędrców ludowych, przydomowej i dzikiej zwierzyny. Żyły w jego pamięci obyczaje „miejscowych”, których treść i kształt wyznaczały święta oraz rytmy pór roku.

Zaczął pisać na początku lat trzydziestych w nerwowym klimacie zbliżającej się drugiej wojny światowej, nic więc dziwnego, że jego wiersze przepojone są pełną rozmachem i rytmicznością metaforą katastroficzną i duchem katastrofizmu. Ma to związek z szerzącym się po pierwszej wojnie światowej przekonaniem, że wiek XX będzie wiekiem niepokojów społecznych i rewolucji. Pisał o tym Oswald Spengler w dziele pod wymownym tytułem *Zmierzch Zachodu*. Dowodził, że świat kultury i cywilizacji zachodniej przeżywa totalny kryzys, a jego moce vitalne są na wyczerpaniu. Miłosz, podobnie jak wielu polskich (Józef Czechowicz) i eu-

ropejskich twórców daje artystyczny wyraz w swej poezji. Raz po raz pojawiają się u niego wizje apokaliptyczne. Widać je w wierszu Roki napisanym w roku 1936:

*Wszystko minione, wszystko zapomniane,
tylko na ziemi dym, umarłe chmury,
i nad rzekami z popiołu tlejące
skrzydła i cofa się zatrute słońce,
a potępienia brzask wychodzi z mórz.*

*Wszystko minione, wszystko zapomniane,
więc pora, żebyś ty powstał i biegł,
choć ty nie wiesz, gdzie jest cel i brzeg,
ty widzisz tylko, że ogień świat pali.*

*I nienawidzić pora, co kochałeś,
kochać to, co znenawidziłeś,
twarze deptać tych, którzy milczącą
piękność wybrali.*

*Pustką, aleją, wąwozami niemych
– gdzie wiatr na szepty każdy głos zamienia
albo w sen twardy z odrzuconą głową –
iść. Wtedy... Wtedy wszystko we mnie było
krzykiem i wołaniem. Krzykiem i wołaniem
ruń czarnych wiosen rozdzierała mnie.
Dosyć. Dosyć. Nic się przecie nie śniło.
Nikt nic o tobie nie wie. To wiatr tak
w drutach dmie.*

*Więc pora. Ja tę ziemię tak kochałem,
jak, nie potrafi nikt w lepszej epoce,
kiedy są dni szczęśliwe i pogodne noce,
kiedy pod łukiem powietrza, pod bramą
obłoków, rośnie to wielkie przymierze
wiary i siły.*

*Teraz ty musisz ciasno oczy mrużyć,
bo góry, miasta i wody się spiętrzą,
to, co przygniecione trwało – naprzód runie,
co naprzód szło – upadnie wstecz.
Tak, tylko ten, co krew od innych miał gorętszą,
Na cwałującym złotym głów tabunie
z krzykiem w dół obróci ostry miecz.*

*Minione, minione, nikt nie pamięta win,
tylko drzewa jak w niebo rzucone kotwice,
stada spływają z gór, zasłały ulice,
kręcą się szprychy, oplata nas dym.*

Łatwo zauważyć, że utwór ten przedstawia wstrząsającą wizję totalnej zagłady świata („Wszystko”) . Rozpad wartości materialnych, destrukcję struktur społecznych i niwelowanie dotychczas jasno określanych wartości duchowych.

Słońce jest zatrute, rzeki są pełne ognia i popiołu, chmury okazują się „umarłe”, świat pełen „dymu”. Zewsząd wieje „pustką”. Wobec perfidii losu, gdy trzeba nienawidzić wszystko, co dotychczas było kochane, a kochać dotychczas nienawidzone, rodzi się bunt i sprzeciw podmiotu lirycznego manifestowany słowami: „Ja tę ziemię tak kochałem...” To on, mający „gorętszą krew”, stanie na czele przymierza zbawczej „wiary i siły”, które przemo-gą wszechobecną katastrofę.



Dwa lata wcześniej Miłosz też ten temat poruszał w sugestywnym wierszu mającym formę nie stroficzną, lecz styliczną. Oto wiersz pod tytułem

O książce:

*W czasach dziwnych i wrogich żyliśmy,
wspaniałych,
nad głowami naszymi pociski śpiewały
i lata nie mniej groźne od rwących szrapneli
nauczały wielkości tych, co nie widzieli
wojny. W pożarze sucho płonących tygodni
pracowaliśmy ciężko i byliśmy głodni
chleba, cudów niezemskich zjawionych na ziemi
i często, spać nie mogąc, nagle zasmuceni
patrzyliśmy przez okna, czy nad noc sine
nie przyplwają znowu stada zeppelinów,
czy nie wybucha sygnał nowy kontynentom,
i sprawdzaliśmy w lustrze, czy na czole piętno
nie wyrosło, na znak, żeśmy już skazani.
W tych czasach nie dość było zawodzić słowami
czystymi, nad patosem świata wiekuistym,
była epoka burzy, dzień apokalipsy,
państwa dawne zburzono, stolice wrzcionem
kręciły się pijane pod niebem spienionem.*

*Gdzież jest miejsce dla ciebie w tym wieku zamętu,
książko mądra, spokojna, stopie elementów
pogodzonych na wieki spojrzeniem artysty?
Już nam z twoich kart nigdy nie zaświeci mglisty
wieczór na cichych wodach, jak w prozie Conrada,
ani chórem Faustowskim niebo nie zagada
i czoła zapomniany dawno śpiew Hafisa
chłodem swoim nie dotknie, głów nie ukolysze,
ani Norwid surowe nam odkryje prawa
dziejów, które czerwona przesłania kurzawa.
My niespokojni, ślepi i epoce wierni,
gdzieś daleko idziemy, nad nami październik
szumi liściem, jak tamten łopotał sztandarem.
Wawrzyn jest niedostępny nam, świadomym kary,
jaką czas tym wyznacza, którzy pokochali
doczesność, ogłuszoną hałasem metali.
Więc sławę nam znaczone stworzyć – bezimienną,
jak okrzyk pożegnalny odchodzących – w ciemność.*

Poeta zdaje się dowodzić, że zagłada materialnych form cywilizacyjnych jest bardzo groźna, ale wielokrotnie dotkliwsza jest zagłada wartości kultury duchowej symbolizowanej przez KSIĄŻKĘ.

Czas okupacji, którą Miłosz – jak już powiedzieliśmy – spędził głównie w Warszawie zaangażowany w działalność konspiracyjną, przyniósł zdecydowane zmiany warsztatu twórczego poety. Teraz nie było już mowy o „nastrojach” katastroficznych. Katastrofa spełniona objawiała się łapaniami ulicznymi, wywózką do niemieckich obozów śmierci, holocaustem, masowymi egzekucjami. Coraz wyraziściej zaznaczył się w wierszach poety surowy konkret i ton jednoznacznego potępienia zła. Ale równie ważna była próba odpowiedzi na pytanie o stopień wrażliwości przeciętnego człowieka na cierpienie człowieka i ludzką krzywdę. Temu pytaniu poświęcony jest wiersz Miłosza CAMPO DI FIORI

*W Rzymie na Campo di Fiori
Kosze oliwek i cytryn,
Bruk opryskany winem
I odłatkami kwiatów.
Różowe owoce morza
Sypią na stoły przekupnie,
Naręcza ciemnych winogron
Padają na puch brzoskwini.
Tu na tym właśnie placu
Spalono Giordana Bruna,
Kat płomień stosu zażegnał
W kole ciekawej gawiedzi.
A ledwo płomień przygasnął,*

*Znów pełne były tawerny,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli przekupnie na głowach.*

*Wspomniałem Campo di Fiori
W Warszawie przy karuzeli,
W pogodny wieczór wiosenny,
Przy dźwiękach skocznej muzyki.
Salwy za murem getta
Głuszyła skoczna melodia
I wzlatywały pary
Wysoko w pogodne niebo.*

*Czasem wiatr z domów płonących
Przynosił czarne latawce,
Łapali skrawki w powietrzu
Jadący na karuzeli.
Rozwiewał suknie dziewczynom
Ten wiatr od domów płonących,
Śmiały się tłumy wesołe
W czas pięknej warszawskiej niedzieli.*

*Morał ktoś może wyczyta,
Że lud warszawski czy rzymski
Handluje, bawi się, kocha
Mijając męczeńskie stopy.
Inny ktoś morał wyczyta
O rzeczy ludzkich mijaniu,
O zapomnieniu, co rośnie,
Nim jeszcze płomień przygasnął.*

*Ja jednak wtedy myślałem
O samotności ginących.
O tym, że kiedy Giordano
Wstępował na rusztowanie,
Nie znalazł w ludzkim języku
Ani jednego wyrazu,
Aby nim ludzkość pożegnać,
Tę ludzkość, która zostaje.*

*Już biegli wychylać wino,
Sprzedawać białe rozgwiazdy,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli w wesołym gwarze.
I był już od nich odległy,
Jakby minęły wieki,
A oni chwilę czekali
Na jego odlot w pożarze.*

*I ci ginący, samotni,
Już zapomniani od świata,
Język nasz stał się im obcy
Jak język dawnej planety.
Aż wszystko będzie legendą
I wtedy po wielu latach
Na nowym Campo di Fiori
Bunt wznieci słowo poety.*

Poeta wyraźnie określił okoliczności powstania tego wiersza: Warszawa – Wielkanoc, 1943. Wskazując na konkretne wydarzenia historyczne związane z dramatem Żydów podejmujących z Niemcami nierówną walkę, stawiał pytania o wymiarze uniwersalnym. Z bólem stwierdzał, że zarówno przed wiekami, jak i współcześnie działo się i nadal się dzieje zło trudne do wyobrażenia, a ludzie zwykle zamykają oczy, aby tego nie widzieć. Skwapliwie porządkują miejsce bestialskich działań oprawców. Pejzaż musi być estetyczny, choć ludzie okazują się nieetyczni. Poeta nie krzyczy, krzyczą obrazy przez niego kreowane. Wiersz finalizuje mniemaniem, że znajduje się ktoś, kto odpomni ofiary inkwizycji, okupacji, holocaustu. Tym KIMŚ będzie człowiek pióra, poeta.

Wierszem tym Czesław Miłosz wpiśnywał się w szeroki nurt literackich rozrachunków z „czasami pogardy” i „epoki pieców”, nurt reprezentowany przez wielu poetów i prozaików. Do czołowych należeli: Tadeusz Borowski, Zofia Nałkowska, Adolf Rudnicki, Tadeusz Różewicz, Wanda Półtawska w motto *Medalionów* stwierdzała, że to „ludzie ludziom zgotowali ten los”, los okrutny. To nie zrządzenie sił pozaziemskich. Skoro ludzie konkretni, określani ufundowali człowiekowi poniżenie, cierpienie i śmierć, więc i oni powinni ponosić odpowiedzialność. Tę kwestię porusza Miłosz w wierszu pod tytułem KTÓRY SKRZYWDZIŁEŚ. Tym razem osądza kategorycznie i wyrokuje:

*Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,*

*Choćby przed tobą wszyscy się skłonili
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi że jeszcze jeden dzień przeżyli,*

*Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.*

*Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy
I sznur i gałąź pod ciężarem zgjęta.*

Washington D.C., 1950

W Stanach Zjednoczonych Miłosz odnosił sukcesy jako artysta, poeta, a także jako profesor polskiej literatury. Mimo stabilizacji materialnej, czuł się wciąż człowiekiem miotanym po świecie przez wydarzenia historyczno-polityczne. Szukał duchowego oparcia. Wydaje się, że znalazł je w świecie polskiej literatury, w polskiej ojczystej mowie. Wyraził to w przepięknym wierszu MOJA WIERNA MOWO:

*Moja wierna mowa,
służyłem tobie.*

*Co noc stawiałem przed tobą miseczki z kolorami,
żebyś miała i brzozę i konika polnego i gila
zachowanych w mojej pamięci.*

Trwało to dużo lat.

*Byłaś moją ojczyzną bo zabrakło innej.
Myślałem że będziesz także pośredniczką
pomiędzy mną i dobrymi ludźmi,
choćby ich było dwudziestu, dziesięciu,
albo nie urodzili się jeszcze.*

Teraz przyznaję się do zwątpienia.

*Są chwile kiedy wydaje się, że
zmarnowałem życie.*

*Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może od innych narodów,
mową konfidentów,
mową pomieszanych,
chorych na własną niewinność.*

Ale bez ciebie kim jestem.

*Tylko szkolarzem gdzieś w odległym kraju,
a success, bez lęku i poniżeń.
No tak, kim jestem bez ciebie.
Filozofem takim jak każdy.*

*Rozumiem, to ma być moje wychowanie:
gloria indywidualności odjęta,
Grzesznikowi z moralitetu
czerwony dywan podściela Wielki Chwał,
a w tym samym czasie latarnia magiczna
rzuca na płótno obrazy ludzkiej i boskiej udręki.*

*Moja wierna mowa,
może to jednak ja muszę ciebie ratować.
Więc będę dalej stawiać przed tobą
miseczki z kolorami
jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,
bo w nieszczęściu potrzebny jakiś ład czy piękno.*

Berkeley, 1968

Co znaczą 3 gramy kokainy wobec kilkudziesięciu kilogramów tego narkotyku? Ale te trzy gramy wystarczą, by umrzeć. Tam, gdzie gra idzie o duże pieniądze, śmierć narkomana czy narkomanki jest rzeczą tak prozaiczną, jak zjedzenie kromki chleba. Narkotykowe mafie w zastraszającym tempie rozszerzają swoją działalność. Polska również znalazła się w orbicie zainteresowania handlarzy białą śmiercią jako kraj docelowy ich sprzedaży oraz kraj tranzytowy do przerzutu narkotyków do europejskich państw zachodnich.

Kurierzy białej śmierci

Koko-dolary

Liczący obecnie 62 lata Waldemar B. posiada podwójne obywatelstwo – polskie i amerykańskie. Chociaż z zawodu był mechanikiem samochodowym prowadził działalność gospodarczą nie związaną z „czterema kółkami”. Na Mazurach uruchomił gospodarstwo rybackie, w którym hodował pstrągi, co przynosiło mu rocznie na czysto 40 tys. zł zysku. Dla jednych to duże pieniądze, dla innych zaś – nie. W przypadku pana Waldeka mającego amerykański paszport i amerykańskie aspiracje na wielki szmal liczony w dolarach, polski zarobek w złotówkach był dla niego nie do przyjęcia.

W USA na własne oczy widział ile można zarobić działając w branży narkotykowej. Z kolei będąc w Polsce widział, że rynek jest chłonny i można – oczywiście mając kontakty, a najlepiej własną sieć odbiorców – zarobić wcale nie mniejsze pieniądze. Za oceanem nawiązał odpowiednie znajomości z dostawcami narkotyków z Ameryki Południowej, a konkretnie z Brazylii. Pomogli mu w tym niektórzy członkowie miejscowej Polonii tzn. ci, którzy robili różne ciemne interesy w obu Amerykach z przedstawicielami tamtejszych gangów narkotykowych. Przygotowania trwały niemalże przez cały 1995 r. Dość powiedzieć, że otwarcie koko-dolarowego interesu nastąpiło w styczniu 1996 r.

Drugim ważnym „bohaterem” tej historii jest 44-letni mieszkaniec Łodzi – Andrzej P. Już w 1994 r. zauważył on, iż handel narkotykami daje niezłe profity. W tym celu nawiązał kontakty z mafią tallińską i udzielił jej pomocy w zorganizowaniu handlu kokainą na terenie Estonii. Jako rezydent siatki dostarczał z Łodzi do Tallina specjalne ampułki do porcjowania narkotyku.

Pan Andrzej był także częstym gościem największej w Polsce giełdy odzieżowej w Tuszynie. Wiadomo zresztą, że

dla niektórych jest ona doskonałą przykrywką do robienia zgoła innych interesów niż sprzedawanie i kupowanie ciuchów. Właśnie na giełdzie doszło do spotkania Waldemara B. i Andrzeja P. Oczywiście nie było ono zupełnie przypadkowe. Po prostu skontaktowano ich, a pośrednikami byli ludzie z branży narkotykowej. Panowie szybko doszli do porozumienia i wyznaczyli ramy współpracy. Z racji, iż Waldemar B. miał nagranych dostawców w Ameryce Południowej, on został hersztem przemytników. Sam szmugiel miał się odbywać pomiędzy Brazylią a Polską. Jedynym problemem, z którym mieli największe kłopoty, to wybór drogi przemytu. Początkowo nie mogli się zdecydować czy szmuglować narkotyki drogą morską czy też powietrzną. W końcu zdecydowali się na tę ostatnią. Przy podjęciu tej decyzji zaważyły względy czysto ekonomiczne. Po prostu widzieli w tym sposobie szybszą możliwość zdobycia gotówki z uwagi na czas transportu.

Przed uruchomieniem mostu powietrznego musieli jeszcze znaleźć przynajmniej dwie osoby zdecydowane wejść do tego narkobiznesu. Oczywiście musieli być – jak to mówią grypsujący – charakterni. Znaleźli takich. Jednym z nich był obywatel Białorusi, mieszkaniec Mińska Igor M., a drugim Tomasz N., który miał wykonać najtrudniejszą część zadania – przewieźć trefny towar.

Kurier z Rio

Styczeń w Rio de Janeiro jest ciepły, ba, upalny. Styczeń to także pora słynnego na cały świat karnawału. Właśnie w tym czasie szajka postanowiła dokonać pierwszego przerzutu. Zakładali, iż zwiększona ilość turystów, którzy odwiedzają w czasie karnawału Rio de Janeiro sprawia, że brazylijskie służby celne skracają do minimum czas odprawy, a przy okazji są mniej czujne.

Tymczasem na drugiej półkuli, w Warszawie, do drogi za ocean szykował się Tomasz N. Za ryzykowny kurs miał otrzymać 2 tys. dolarów, co dla niego stanowiło wielką ilość pieniędzy. Na warszawskie Okęcie przywiózł go Igor M.

Wiem, że u nas jest zima i trzyma mróz, ale ubrałeś się jak głupek. Mówiłem ci, że o tej porze w Brazylii jest grubo ponad 25 st. C. Zabrałeś ze sobą chociaż letnie ciuchy. Może tam na miejscu trzeba będzie poczekać kilka dni – mówił Białorusin.

Ciuchy zabrałem, a jak będzie mi za gorąco to przebiorę się na lotnisku. Nie jestem frajerem, a i za granicą się bywało – odpowiedział lekko poddenerwowany Tomasz N.

Po tej wymianie zdań skierowali swoje kroki do kawiarni i tu oczekiwali na zapowiedź rejsu. Gdy usłyszeli komunikat proszący pasażerów do odprawy celno-pasportowej, pożegnali się uściskiem dłoni. Tomasz N. udał się do bramki, w której odprawiano rejs do Rio de Janeiro. Natomiast Igor M. pobiegł na taras, by zobaczyć jak wsiada na pokład samolotu linii lotniczych IATA. Gdy maszyna wystartowała jeszcze z lotniska zatelefonował do Rio i powiadomił Waldemara B., że kurier jest już w drodze.

Po kilkunastu godzinach lotu Tomasz N. Wylądował na lotnisku Santos Dumont w Rio de Janeiro. W letni „uniform” przebrał się w toalecie. Później – jak wielu innych pasażerów samolotu – w Duty Free Shopie zakupił dużą butelkę coca-coli i wyszedł z dworca lotniczego. To, co od razu rzuciło mu się w oczy, to odbłask światła tętniącego życiem i zabawą miasta, mimo że pora była późna, 3.20 w nocy. Z tego krótkiego oczarowania widokiem miasta wyrwał go głos mówiący po polsku: nareszcie jesteś!

Przed przybyciem z Polski stanął Waldemar B. Po krótkiej rozmowie mężczyźni skierowali się w stronę postoju taxi. Tu wsiedli do jednej z nich. Zamówili kurs do dzielnicy Copacabana, gdzie mieli wynajęty pokój w jednym z licznych hoteli. Następnego dnia w tym samym hotelu zameldował się kolejny członek szajki – Andrzej P. Razem rozpoczęli przygotowania do przerzutu kokainy, którą mieli już w hotelu. Ich plan zakładał, że narkotyk ukryją w specjalnych skrytkach w podeszwach obuwia oraz pakunkach umieszczonych pod pachami kuriera. Gdy koka znalazła

się już w swoich kryjówkach wymyli do kładnie podeszwy obuwia w nafcie. To na wypadek użycia przez celników specjalnie szkolonych psów do wyszukiwania narkotyków. Natomiast pakunki ukryte pod pachami obficie skropiono dezodorantem. Tak przygotowany Tomasz N. został odwieziony przez kolegów na lotnisko skąd via Rzym odleciał do Polski i wylądował na Okęciu. Tu, po odprawie, odebrał go Igor M. Do kraju kurier przywiózł 1 kg białej śmierci wartości 22 tys. dolarów.

Udany przerzut pozwolił szajce wysnuć wniosek, że kanał, jaki i sposób jest bezpieczny. Postanowili dokonać następnego w marcu. W międzyczasie do grupy zwerbowani zostali jeszcze Robert A., Ryszard G., Krzysztof B. oraz Izabela P. – konkubina Waldemara B. To właśnie ona nadzorowała wspólnie z Andrzejem P. i Igozem M., interesy szajki w Polsce.

To właśnie do Andrzeja P. zgłosił się członek mafii z Estonii i zamówił 1,2 kg kokainy. Zamówienie zostało zrealizowane na początku marca. Tym razem kurierem był Robert A., który w grupie zaczął odgrywać coraz większą rolę. On również bezpiecznie wystartował z Rio i również bezpiecznie wylądował na Okęciu. Es-tończyk zapłacił za prochy 12 tys. dolarów. W tym miejscu należy podkreślić, że herszt nie chciał kusić losu i po tym prze-rzucie zamknął aż do odwołania kanał powietrzny. Rozszerzył natomiast swoją działalność na terenie Brazylii o handel fałszywymi dolarami. Oczywiście oczkiem uwagi były narkotyki.

Marynarze

Dla pozostających na terenie Brazylii członków grupy marzec 1997 r. był bardzo pracowitym miesiącem. Herszt mając układy w amerykańskim środowisku przestępczym i wśród polonijnych gangów, mających z kolei kontakty z szajkami latynoskimi, przystąpił do szmuglowania podrobionych dolarów. Pierwszą partię w ilości 12 tysięcy przewiózł z USA do Rio de Janeiro sam szef i Robert A. Miało to miejsce w pierwszych dniach marca. Po tej operacji grupa postanowiła przenieść swoją działalność do Kurytyby. Wykorzystując wcześniej nawiązane znajomości z lokalnym środowiskiem przestępczym dokonali zakupu 10 kg kokainy za 24 tys. dolarów, co na ówczesny przelicznik dawało sumę 96 tys. złotych. Kupili także kilka tysięcy

sztuk kapsulek z tworzywa sztucznego. W nich miał być konfekcjonowany narkotyk. Kapsułki następnie ukryto w rurek-wiklinowych mebli, które drogą morską popłynęły jako cargo do jednego z portów w Europie, a stamtąd koleją do Mińska na Białorusi. Odbiorcę nagrał Igor M.

Białoruski kontrahent był zadowolony z jakości dostarczonego towaru, gdyż zamówił kolejną jego partię. Tym razem dostawa miała być ekspresowa. Waldemar B. wywiązał się z tego zamówienia „grając” na chrześcijańskich uczuciach brazylijskich celników. Kokainę ukrył w rzeźbie Chrystusa i pocztą lotniczą wysłał przesyłkę do Igora M., który nadzorował czasowo ich interesy w Mińsku. Rzeźba bez przeszkód dotarła na miejsce. Dzięki temu szajka zorientowała się, że ten sposób przemytu będzie mogła wykorzystać w przyszłości zmniejszając ryzyko osobistego przewozu.

Członkowie przestępczej grupy dbali nie tylko o swój biznes. W wolnym czasie stawali się hedonistami i rozkoszowali się życiem w zalanej słońcem Kurytybie. Nocne lokale, wino tinto i brazylijskie dziewczyny to główne ich rozrywki. Balandzi odsypiali w klimatyzowanych hotelowych pokojach, a kaca leczyli popijając piwo na leżaku w podmiejskich kurortach nad Atlantykiem. Właśnie podczas pobytu na plaży Waldemar B. powiedział do swoich kolegów: musimy wykorzystać drogę morską.

A jak to sobie wyobrażasz – zapytał Andrzej P.

Normalnie. Musimy zwerbować marynarzy na polskich statkach. Za odpowiednią zapłatą przemycą towar i to w większej ilości niż przewozimy samolotami – odpowiedział „Waldi” (krywa szefa)/.

Zadanie werbunku przypadło Andrzejowi P. i Robertowi A. W tym celu udali się do Rio de Janeiro, gdzie mieściło się przedstawicielstwo armatorskie Polskiej Żeglugi Morskiej. Tu dowiedzieli się o polskich statkach, które w najbliższym czasie ruszą w rejs powrotny do kraju. Zapytali także o możliwość podróży lub zamustrowania się na statku w charakterze marynarza. Uzyskawszy wszystkie interesujące ich informacje wrócili do Kurytyby. Tu odbyła się narada. Wszyscy biorący w niej udział byli zgodni, że oto nadarza im się okazja do uruchomienia nowego kanału przerzutowego i postanowili dobrze

go przygotować. Znając port, do którego miał przyletnąć m/s „Belchatów” zdecydowali, że do Sepetiby pojedzie Robert A. Nim to nastąpiło jeszcze w maju 1997 r. zdołał załatwić wszystkie niezbędne formalności w biurze armatora PŻM w Rio de Janeiro. Mając pozwolenie zamustrowania, na początku czerwca tegoż roku, zjawił się w porcie, gdzie przy nabrzeżu cumował polski statek. Ze skierowaniem zameldował się u kapitana i po wpisaniu na listę załogi dostał zakres obowiązków podczas rejsu oraz kabinę.

Podczas postoju statku w porcie wachty załogi są zgoła inne niż w czasie rejsu. Po 8 godzinach pracy, czyli pospolitej dniówce na lądzie, załoga ma wolne i każdy robi co chce. Jedni byczą się w swoich kojach, inni zaś idą „w miasto”, by maksymalnie odreagować stres po odbytym właśnie rejsie i przed kolejnym, wielodniowym, pobytem na morzu. Postanowił wykorzystać to do swoich celów Robert A.

Na drugi dzień po wachcie oparty o reeling obserwował trap. Widział schodzących na ląd członków załogi. Spośród nich wytypował dwóch i podążył za nimi. Marynarze weszli do tawerny w portowej części miasta. Śledzący ich odczekał parę minut i także wszedł do środka. Zamówił piwo i usiadł przy wolnym stoliku vis a vis telewizora, na którego ekranie wyświetlano z magnetowidu film porno. Gdy w kufiu pokazało się dno zamówił kolejne, ale tym razem trzy kufle. Dosiadł się z nimi do stolika, przy którym popijali dwaj marynarze z „Belchatowa”.

Traktujcie to jako mój aport. Nikogo na statku nie znam – powiedział Robert A.

Teraz już znasz. Siadaj!

Nie trzeba być jasnowidzem żeby się nie domyśleć co było dalej. Robert A. dysponując sporym funduszem reprezentacyjnym jaki dostał od „Waldiego”, na zwerbowanie do swoich celów marynarzy, stawiał kolejne piwa i wódkę. Placąc rachunki starał się to robić tak, by uczestnicy tej biesiady widzieli grubą plik dolarów i cruzeiro. Wiedział, że pieniądze zrobią na nich wrażenie. Na końcu zafundował burdel, w którym zresztą wylądowali wszyscy. Późną nocą wrócili na statek.

Kiedy wysłannik urabiał „grunt” w Sepetibie, Waldemar B., Krzysztof B., Izabela P. i Andrzej P. finalizowali w Kurytybie zakup 4,6 kg super czystej pasty kokainowej, za którą zapłacili 130 tys. dolarów. Na-

stępnie ukryli ją w opakowaniach słodczy i talku kosmetycznego. Na dwa dni przed odpłynięciem statku do kraju dostarczyli przesyłkę Robertowi A. On z kolei miał dużo czasu, by zorientować się, gdzie na statku najlepiej schować kokainę. Do wyboru miał dużo miejsc, od dziobu aż do rufy i od żęzy aż po top. Schówek przygotował podczas pełnienia wachty. Wtedy mógł bez żadnych podejrzeń ze strony innych członków załogi przebywać w różnych pomieszczeniach jednostki. W dogodnym dla siebie momencie ukrył przesyłkę dbając, by nie zostawić na niej śladów linii papilarnych. Wiedział, że nawet po znalezieniu przez celników lub straż graniczną paczki, nikt mu nie udowodni, iż jest ona jego własnością.

W drugiej połowie czerwca m/s „Bełchatów” opuścił port w Sepetibie i obrał kurs do Świnoujścia. W czasie jego trwania Robert A. jeszcze bardziej zbliżył się do poznanych w tawernie marynarzy – Józefa P. i Zdzisława Z. W wolnych chwilach po wachcie dużo czasu spędzali ze sobą i przy piwie zakupionym u ochmistrza rozmawiali na przeróżne tematy. Gdy rozmowy przenosili z masy w zacisze kajuty i zamiast piwa zaczęli spożywać mocniejszy trunk, dyskusja dotyczyła tylko jednego tematu – jak zarobić więcej pieniędzy podczas rejsu.

Wiesz Robek! Minęły już te czasy, gdy marynarze przywozili atrakcyjne towary, których w Polsce nie było. Teraz jest wszystko i nawet jak coś przywieziesz, to na halach dostaniesz za to gówniane pieniądze – narzekał Józef P.

Trzeba więc przewozić takie rzeczy, które dają duży szmal. Ryzyko wpadki jest prawie żadne. Nawet jak znajdą to nie udowodnią, że to jest twoje – odpowiedział.

Już wiem o czym myślisz, ale to nie takie proste. Jak znaleźć dostawców, którzy sprzedadzą ci towar. Pierwszemu lepszemu z ulicy tego nie zrobią – stwierdził drugi marynarz, Zdzisław Z.

Ja w Brazylii mam dojścia do takich ludzi. Zależy im na przerzucie narkotyków do Polski. Jak chcecie to was skontaktuję, ale musicie się już teraz zdecydować czy wchodzić w ten interes – odpowiedział Robert A.

Skuszeni wizją dużego zarobku bez żadnych przeszkód wyrazili zgodę. Na tym skończyli rozmawiać na ten temat. Robert A. nie powiedział im, że podczas

tego rejsu sam szmugluje pastę kokainową. Planował to zrobić tuż przed wypłynięciem do Świnoujścia.

Laboratorium

Jeszcze przed wspomnianym pierwszym rejsiem Waldemar B. zdawał sobie sprawę z tego, że w kraju będzie zmuszony zrobić pastę na czystą kokainę. Do tego celu potrzebny był mu zaufany chemik i miejsce na laboratorium. Zdecydował, że zorganizuje je w swojej posiadłości w Karbonie na Mazurach, gdzie prowadził hodowlę pstrągów. Lokalizacja była dobra i nie wzbudzała podejrzeń. Gorzej sprawa przedstawiała się z chemikiem. Ponownie na wysokości zadania stanął Robert A. To właśnie on dotarł do niego tylko znanymi ścieżkami do czasowo przebywającego w Polsce Czecha, Emila C. Z wykształcenia był najprawdziwszym chemikiem i znał proces rafinacji pasty, by uzyskać czysty narkotyk. Bez zbędnych ceregieli przystał na ofertę i od razu wszedł do ścisłego grona szajki. On też zlecił zakup niezbędnych środków do procesu technologicznego i sam urządził laboratorium.

M/s „Bełchatów” zacumował w Świnoujściu na początku lipca 1997 r. Jeszcze stojąc na redzie portu Robert A. powiedział swoim znajomym marynarzom, że przewozi kokainę i będą musieli mu pomóc w jej wyniesieniu ze statku. Za przysługę obiecał ich sownie wynagrodzić. Celnicy nie znaleźli żadnej kontrabandy i kiedy zeszli z pokładu Robert A. przystąpił do realizacji planu. W specjalnie przystosowanym plecaku przy pomocy Józefa P. i Zdzisława Z. wyniósł z portu pastę i dostarczył ją do Karbonu. Tu, w laboratorium Emila C. wyprodukował z niej 8,5 kg czystej kokainy wartości 170 tys. dolarów lub jak kto woli 680 tys. zł.

Białą śmierć porcjowali w działki po 200 gram każda i sprzedawali je obywatelom ówczesnej Wspólnoty Niepodległych Państw w Białymstoku i Suwałkach. Za 200-gramowe działki brali po 4.400 dolarów. Szajka postanowiła nie dzielić się pieniędzmi z nikim. Sami produkowali i sami sprzedawali.

Na przełomie października i listopada 1997 r. wtajemniczeni w cały proceder Józef P. i Zdzisław Z. przemycili na pokładzie m/s „Bełchatów” 0,7 kg kokainy wartości 27 tys. dolarów. Ukryli ją w tal-

ku kosmetycznym i brazylijskiej kawie. W Świnoujściu odebrał ją Krzysztof B. i – jak zwykle – dostarczył do centrali w Karbonie, gdzie narkotyk porcjowano, a następnie sprzedawano obywatelom WNP.

Waldemar B. handlował również na terenie Brazylii. Tak było m.in. późną jesienią 1997 r. w Rio de Janeiro. Odbiorcę „nagrał” Andrzej P. Przy okazji sprzedali swój patent na przemysł kokainy w podszwach butów. Patent kupił wysłannik estońskiej mafii wraz z 2 kilogramami brazylijskiej koki.

Sylwestra 1997 r. herszt postanowił spędzić w kraju. Po hucznej zabawie w gronie swoich znajomych postanowił rozszerzyć asortyment branży środków odurzających o tabletki ekstazy, która w państwach Europy zachodniej robiła coraz większą furorę. W tym celu na początku 1998 r. wybrał się wraz z trzema członkami szajki do Amsterdamu. Tu kupili 1000 tabletek i przez Niemcy przemieśli jego własnym samochodem Fordem Merkur do Polski. Skrytkę przygotowali w karoserii, tuż przy przedniej szybie. Po tej eskapadzie Waldemar B. na jakiś czas wycofał się z narkobiznesu, chociaż czujnym okiem nadal przyglądał się pozostałym członkom swojej szajki. Po prostu zaczął działać z doskoku. Wykorzystał to numer drugi w grupie – Andrzej P.

Operacja „Neron”

Do jednych z najcięższych kategorii przestępstw – oczywiście oprócz zabójstwa – zalicza się w USA fałszowanie narodowego środka płatniczego. Amerykański dolar od momentu pojawienia się w obiegu jest ściśle chroniony. I to nie tylko na rynku wewnętrznym, ale również na rynku międzynarodowym. Gdziekolwiek pojawiają się fałszyfikaty natychmiast do akcji wkraczają agenci Federalnego Biura Śledczego. Właśnie handel fałszywymi dolarami był początkiem końca grupy Waldemara B. i jego zastępcy – Andrzeja P.

FBI „namierzyło” ich jeszcze w marcu 1997 r. Wtedy to właśnie po raz pierwszy zajęli się handlem podróbkami. W Stanach Zjednoczonych kupili od szajki fałszerzy 12 tys. dolarów i przemycili je do Rio de Janeiro. Amerykańska grupa była już pod obserwacją biura. Wiedząc już, że w handel zamieszani są Polacy powiadomiono Krajowe Biuro Interpolu w Warszawie oraz Ministerstwo Spraw

Wewnętrznych i Administracji. Policyjna współpraca dała początek operacji pod kryptonimem „Neron”. Głównym jej celem była likwidacja handlarzy oraz producentów fałszywych dolarów. Nim to nastąpiło polska szajka działała nadal z dużym powodzeniem.

Wykorzystując czasową beczynność herszta Andrzej P. wziął sprawę przemytu kokainy w swoje ręce. Pomagali mu w tym Robert A., Jarosław S., Artur J., Zbigniew G. oraz inne osoby. Określał je mianem płotek. Taką płótkę znalazł w Częstochowie. Na jej adres w maju 1998 r. nadana była w Brazylii paczka zawierająca ozdobne motyle. W drewnianej obudowie ukryte było 4 kg kokainy wartości 120 tys. dolarów. Udaający entomologa mieszkaniec Częstochowy odebrał paczkę i przekazał szajce, a ta wprowadziła, oczywiście ze znacznym zyskiem, narkotyk na polski rynek.

Pod koniec sierpnia tegoż roku Andrzej P. i Robert A. ponownie udają się do Rio, a stamtąd do graniczącej z Boliwią Corumbi. Na miejscu kupują 6 kg kokainy płacąc 180 tys. dolarów. Taką ilość postanawiają przemyć do kraju drogą morską. Ponownie chcą wykorzystać m/s „Bełchatów”. W biurze przedstawiciela armatora dowiadują się, że statek zawinie do portu w Salvador pod koniec września, a w rejs powrotny do Szczecina wyruszy na początku października. W oczekiwaniu na statek umilają sobie czas wolny spędzając go w ulubiony dla siebie sposób – w knajpach, burdelach i na plaży. Gdy zbliża się termin przerzutu przenoszą się do Salvador i czekają na swój statek. Niestety, jednostka Józefa P. i Zdzisława Z. z przyczyn technicznych zmuszona była do pozostania w porcie. Andrzej P. i na to znalazł radę. Dowiedział się, że do Szczecina wypływa inny polski frachtowiec – m/s „Budowlani”.

Szajka powieliła działanie werbunku kolejnych dwóch marynarzy. Dokonuje tego oczywiście Robert A., który zamustrował się na tym statku. Narkotyki ukrył w schowkach w pobliżu maszynowni. Rejs powrotny do kraju minął bez żadnych niespodzianek i pod koniec października m/s „Budowlani” wszedł do szczecińskiego portu. Po odprawie celnej załoga zeszła na ląd, w tym Robert A. Szajka przeczekala rozładunek. W tym czasie do portu w Świnoujściu zawinął m/s

„Bełchatów”. Józef P. na stałe zatrudniony w PŻM mógł bez przeszkód wchodzić na pokłady innych jednostek i odwiedzać kolegów marynarzy. Postanowili to wykorzystać, by wynieść narkotyki. W tym celu przygotowali specjalny pas, w którym Józef P. wyniósł 6 kg kokainy.

Biała śmierć trafiła następnie do meliny, gdzie odbywało się jej porcjowanie na „działki”, a te z kolei sprzedawane były na polskim rynku przez zaufanych ludzi. Biznes kręcił się znakomicie i przynosił ogromne dochody. Część szła do podziału w ścisłym kierownictwie szajki, część na opłacenie płotek, a reszta na logistykę, czyli na zakup kokainy, przeloty, hotele oraz inne wydatki związane z działalnością grupy.

Sam Andrzej P. szukał również innych sposobów przemytu narkotyków do kraju. W tym celu w dzielnicach, a raczej slumsach Rio wyszukiwał kobiety, które za ustaloną stawkę przemycały narkotyki drogą lotniczą na Okęcie. W samym tylko 1999 r. skorzystał z tej metody (metoda na pochwę) kilkanaście razy. Była to jednak metoda kosztowna. Każda kurierka za kurs dostawała po 2 tys. dolarów, a przewożone ilości nie gwarantowały wielkich zysków. Także ryzyko wpadki było większe. Z tego też powodu wspólnie z Robertem A. postanowili dokonać większego transportu koki do Polski. Przygotowania trwały kilka miesięcy, ale wymagała tego zaplanowana operacja.

W maju 2000 r. Andrzej P., Robert A. oraz inni członkowie grupy oddzielnymi rejsami via Rzym przylecieli do Rio. Na terenie Brazylii zakupili 20 kg kokainy wartości 600 tys. dolarów, którą następnie drogą morską dostarczyli do kraju. Taka ilość narkotyku pozwoliła im pracować na terenie Polski przez rok bez konieczności martwienia się o towar do porcjowania.

W połowie maja 2001 roku grupa skierowała swoje zainteresowanie na rynek szwedzki. Andrzej P., Andrzej T. i Józef P. postanowili zająć się przemytem amfetaminy do Szwecji. W tym celu dokonali niezbędnego rozpoznania najlepszych kanałów przerzutu. Doszli do wniosku, że najlepiej będzie tego dokonać przy pomocy kierowcy TIR-a. Znaleźli takiego na terenie Łodzi. Kursował najczęściej na trasie do Ystad lub innych miast Szwecji pokonując część drogi na promie. Aby

ukryć amfetaminę wykorzystali do tego celu gaśnicę samochodową.

Pierwszy transport 3 kg amfetaminy wartości 90 tys. zł dotarł do Ystad w drugiej dekadzie maja 2001 r. Później jeszcze wielokrotnie korzystali z tego kanału. Były to już jednak ostatnie sukcesy narkotykowej grupy. Międzynarodowa operacja policyjna pod kryptonimem „Neron” wchodziła w swoją decydującą fazę.

Agenci dokonali dwukrotnego zakupu od grupy Andrzeja P. fałszywych dolarów. Łącznie zakupili 883 „podróbki” banknotów o nominale 100 USD. Zgromadzony materiał dowodowy w ramach akcji specjalnej oraz zeznania świadka „incognito” pozwoliły ustalić stan faktyczny.

Pierwsze zatrzymania członków grupy nastąpiły już w drugiej połowie 2001 r. Jedynie szef szefów – Waldemar B. miał szczęście cieszyć się wolnością do 20 maja 2003 r. Akt oskarżenia sformułowany przez Prokuraturę Okręgową Wydział d/s Przestępczości Zorganizowanej w Katowicach 14 grudnia 2004 r. obejmuje łącznie 33 osoby, których sprawa rozpatrywana była w XVI Wydziale Karnym Sądu Okręgowego w Katowicach. Członkowie grupy zostali skazani na wieloletnie więzienie. Niektórzy są już na wolności, ale to były „płotki” w przestępczym procederze.

Postscriptum

W roku 1860 z liści krzewu kokainowego wyekstrahowano kokainę. Bardzo szybko stała się ona popularnym lekiem przeciwbólowym. I dopiero wtedy zaczęło się nieszczęście. Co prawda z używania kokainy w medycynie zrezygnowano natychmiast, gdy tylko okazało się, że szybko prowadzi ona do uzależnienia, ale mnóstwo ludzi na całym świecie już się do niej przyzwyczaiło i żądało coraz większych dawek.

Wprowadzenie narkotyków do powszechnego użytku stało się przekleństwem dla milionów ludzi na całym świecie. Sprowadziło na nich nędzę, wyniszczyło organizmy, uczyniło niewolnikami nałogu. Czy światowa batalia przeciwko narkotykowym mafiom przyniesie spodziewane rezultaty? Na to zasadnicze pytanie niestety nikt nie potrafi jednoznacznie odpowiedzieć.

Henryk Kocot



Gazeta samorządowa w Gminie Psary wydawana jest od 1994 roku, kiedy ukazał się pierwszy numer „Echa Gminy Psary”, w 2004 zmieniono jej tytuł na funkcjonujący do dzisiaj „Głos Gminy Psary”. Pierwszym redaktorem naczelnym pisma był obecny Przewodniczący Rady Gminy Psary Jacenty Kubica. Decyzję o założeniu czasopisma samorządowego podjął zarząd gminy. Pierwsze egzemplarze były składane metodą chałupniczą, maszynopisy sklejały w całość i kserowano.

Obecnie funkcję redaktora naczelnego pełni Milena Sobieraj. Artykuły, które znajdują się w gazecie, dotyczą ważnych wydarzeń w gminie: takich jak wykonywane i planowane inwestycje, wydarze-

nia kulturalne czy artykuły informacyjne usprawniające funkcjonowanie gminy. Nakład wynosi 1800 egzemplarzy, a gazeta dostępna jest nie tylko w wersji drukowanej, ale również w cyfrowej na stronie internetowej gminy, dzięki czemu mieszkańcy mają do niej stały dostęp. Tutaj również można znaleźć poprzednie numery archiwalne z tego roku. Gazeta jest bezpłatna, trafia do mieszkańców w trzecim tygodniu każdego miesiąca, można ją dostać w miejscach najczęściej uczęszczanych przez mieszkańców takich jak sklepy, przychodnie lekarskie, ośrodki kultury.

Tematy poruszane w gazecie są często przekazywane do redakcji przez mieszkańców działających w stowarzyszeniach

społecznych czy tych, którzy po prostu chcą podzielić się jakąś ważną informacją. Od początku 2011 roku w „Głosie Gminy Psary” pojawia się coraz więcej tekstów dotyczących zmian zachodzących w gminie oraz planów związanych z jej rewitalizacją oraz zwiększeniem aktywności mieszkańców. W najbliższych miesiącach w gminie zostaną wybudowane kompleksy sportowe, a oferta zajęć kulturalnych i sportowych dla mieszkańców w każdym wieku jest stale poszerzana. W tym roku na stałe wprowadzono dodatek do gazety „Głos Szkolny”. Jest to czterostronicowa wkładka, którą redagują uczniowie z gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Psarach, a znajdując się w niej artykuły pisane przez uczniów szkół podstawowych oraz gimnazjalnych. Dzięki temu młodzież ma okazję kształcić swój warsztat dziennikarski, poznać tajniki edycji oraz składu gazety.

Mieszkańcy gminy są zgodni co do tego, że takie pismo powinno się ukazywać, bo dzięki niemu są na bieżąco z najważniejszymi wydarzeniami w gminie.

„Nowe Zagłębie” poleca – Kino w Bibliotece z Lechem Majewskim

„Kino w Bibliotece” to najnowszy projekt Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu mający na celu ożywienie i integrację sosnowieckich czytelników oraz popularyzację wartościowego kina wśród mieszkańców miasta. Cotygodniowe projekcje, odbywające się w wygodnej Auli Biblioteki Głównej przy ul. Kościelnej 11, skupiają rzesze zainteresowanych kinematografią polską i światową. Spotkania w ramach cyklu odbywają się w sali audytoryjnej pełniącej funkcję kina, w miejscu szczególnym dla rzeszy sosnowieckich humanistów, ze względu na tradycję spotkań sprzed lat, w ramach zajęć i imprez organizowanych przez Uniwersytet Śląski.

Największym do tej pory wydarzeniem była retrospektywa filmów Lecha Majewskiego (6.10-1.12.2011), obejmująca 9 dzieł cenionego w kraju i na świecie reżysera, scenarzysty, kompozytora i malarza pochodzącego z Katowic.

W repertuarze przeglądu znalazły się następujące filmy: *Rycerz*, *Lot świerkowej*

gęsi, *Więzień Rio*, *Ewangelia według Harry'ego*, *Pokój saren*, *Wojaczek*, *Angelus*, *Ogród rozkoszy ziemskich*, *Szklane usta*.

Projekcjom towarzyszyły krótkie wykłady dra Piotra Zawojskiego – filmoznawcy z Uniwersytetu Śląskiego, prywatnie wieloletniego przyjaciela Lecha Majewskiego. Prelekcje wprowadzające w problematykę prezentowanego filmu oraz wtajemniczające widzów w arkanę sztuki filmowej, odsłaniały publiczności kolejne oblicza głównego bohatera przeglądu – Majewskiego artysty, Majewskiego kosmopolity, Majewskiego Ślązaka. W trwającej ponad dwa miesiące imprezie udział wzięło ponad 1200 osób.

Organizatorzy zapewniają, że retrospektywa filmów Lecha Majewskiego była jedynie rozgrzewką w bibliotecznym kinie. W 2012 roku oferta kulturalna Biblioteki nie zapomni o miłośnikach X muzy. Już dziś planowane są kolejne przeglądy, retrospektywy i wykłady, angażujące przedstawicieli środowisk naukowych Zagłębia i Śląska oraz, przede wszystkim, stałych czytelników, tak chętnie biorących udział w projekcjach organizowanych w ramach Kina w Bibliotece.

Oprac. red.

Piękna Italia na święta

W poniedziałek 19 grudnia 2011 r. o godz. 18:00 zapraszamy serdecznie do Auli Biblioteki Głównej przy ul. Kościelnej 11 na drugie spotkanie z nowego cyklu edukacyjnego sosnowieckiej Książnicy pt.: „Bella Italia”. Grudniowy wykład „Boże Narodzenie po włosku. Tradycja a współczesność” wygłosi ponownie w języku włoskim prezes Società Dante Alighieri – Guido Lauro Parisi (wykład będzie tłumaczony). Wstęp wolny!



Spotkanie z Jankiem Melą

W środę 10 listopada grupa uczniów Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1 im. Kazimierza Wielkiego w Jaworznie wzięła udział w spotkaniu z niezwykłym, młodym człowiekiem. Na zaproszenie księdza Mirosława Toszy w ośrodku Betlejem na Dąbrowie Narodowej mogliśmy spotkać się z Jankiem Melą. Zdobywca obydwu bie-



Fot. arch.

gunów, Kilimandżaro, Elbrusa i autor wielu innych jeszcze niezwykłych wyczynów jest 22 – letnim młodym człowiekiem, potrafiącym swoim optymizmem зараzić otoczenie. Jego niezwykłość podkreśla fakt, zapewne znany wielu czytelnikom, że Janek, nie ma nogi i ręki i porusza się na protezie. Janek Mela w dzieciństwie stracił rodzinny dom, który strawił pożar. Następnie w wieku kilku lat był świadkiem śmierci swojego brata, który się utopił. W wieku 13 lat poraził go prąd kilku tysięcy woltów, w wyniku czego musiano mu amputować rękę i nogę. Życie w szpitalu przez kilka miesięcy było zmaganiem się z bólem, który mógł znieść tylko dzięki morfinie. Osoby, które szczerze wypełniły kaplicę w Betlejem zapewne spodziewały się, że tematem spotkania będą w większości relacje z podróży Janka. Spotkanie miało jednak zupełnie inny charakter. Zdjęcia z wypraw owszem były ale gość księdza Toszy ich zupełnie nie komentował. Tym o czym nam opowiadał, a była to opowieść doświadczonego przez życie i mądrego człowieka była jego działalność w fundacji „Poza horyzontem” zajmująca się zbieraniem funduszy na zakup protez dla młodych ludzi. Jego refleksje na temat cierpienia, sensu życia wiary, pomocy innym ludziom, spotkaniach z niezwykłymi ludźmi, którzy wpłynęli na jego życie, były tematami, o których Janek mówił przez półtorej godziny. W jego opowieści pojawiły się nazwiska znanych osób – Anny Dymnej i Marka Kamińskiego, lecz przede wszystkim wielu nieznanymi ludzi, w większości inwalidów, niewidomych, którzy albo pomogli Jankowi, albo którym on

pomógł. Osób niezwykłych, ludzi pełnych optymizmu, od których można uczyć się radości i pasji życia, stanowczości w pokonywaniu przeszkód, zdawałoby się nie do pokonania, ludzi, którzy choć niewidomi lub poruszający się na wózkach inwalidzkich potrafili zdobyć Kilimandżaro, Spotkanie wywarło niewątpliwie wielki wpływ na zebranych. Janek pokazał własnym przykładem, jak godnie i dobrze żyć, jak szukać sensu nawet w cierpieniu, które nas dotyka. Wskazał, że wiele nic nieznaczących rzeczy wpływa na nasze życie, że często nie umiemy szukać sensu życia, że przeciwności, które nie zabi-

ją, rzeczywiście potrafią wzmocnić. Wydaje mi się, że wielu z uczestników spotkania zupełnie inaczej spojrzy na swoje dotychczasowe życie. Ja dostrzegłem, jak wiele mam, choć wydawało mi się, że to niewiele... Po spotkaniu mieliśmy niewątpliwą radość porozmawiać z Jankiem w gronie naszych uczniów, po czym nasz gość podpisał nam książkę która będzie nagrodą w Jaworznickim Przeglądzie Humoru „Śmieć się pan z tego” organizowanym już po raz jedenasty przez Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1 imienia Kazimierza Wielkiego wspólnie z Młodzieżowym Domem Kultury.

Andrzej Woźniak

Mikołajki na wesoło

6 grudnia Miejski Dom Kultury w Kazimierzu Górniczym był miejscem spotkania Mikołaja z dziećmi z Integracyjnej Szkoły Podstawowej nr 33, Szkoły Podstawowej nr 35, Zespołu Opiekuńczo-Wychowawczego nr 2 z terenu Sosnowca oraz dzieci z najuboższych rodzin górniczych KWK „Kazimierz – Juliusz”. Zabawa, w której uczestniczyła łącznie setka maluchów, rozpoczęła się o godz. 10. Do chwili przybycia Mikołaja dzieci śpiewały i tańczyły, a wspaniałe prowadzenie liderki grupy Passionis Roksanę Rogali, studentki Szkoły Aktorskiej Machulskich z War-



Fot. H. Kocot

szawy, wyzwoiliło wśród młodych uczestników spotkania wielką radość.

Czy byliście grzeczne w tym roku – takim pytaniem powitał dzieci przyby-

ły wreszcie Mikołaj, który z racji braku śniegu musiał korzystać ze środków komunikacji miejskiej. Gromkie taaaak z sali utwierdziło go w przekonaniu, iż zabawa może trwać dalej. Do pomocy Mikołajowi przybył policyjny Szupek, w asyście aspiranta Arkadiusza Barana z Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Miejskiej Policji w Sosnowcu oraz poszukiwany w rzeckach na terenie Zagłębia bór.

W trakcie zabawy odbyły się dwa konkursy – ekologiczny i ze znajomości przepisów ruchu drogowego. Po wspaniałym poczęstunku dzieci odebrały od Mikołaja i jego świty w osobach 4 Śnieżynek paczki. Zabawę zakończył wspólny taniec.

Organizatorzy Mikołajek: Wydawnictwo Regiony, Związek Zagłębiowski i Zagłębiowskie Stowarzyszenie Turystyczno-Kulturalne serdecznie dziękują sponsorom, bez których to spotkanie byłoby niemożliwe.

Imprezę sponsorowali: PKM Sosnowiec Sp. z o.o., Remondis Sp. z o.o. Oddział w Sosnowcu, Bank BGŻ Oddział Operacyjny Sosnowiec, First Recycling Katowice Sp. z o.o., „Sklep pod ręką” Sosnowiec, Szopienice, DINOZATORLAND sp. z o.o. z Warszawy, P.P.H „Aksam” z Osieka.

Henryk Kocot

Bank BGŻ



REMONDIS®



Zagłębiowskie
Stowarzyszenie
Turystyczno-Kulturalne



Sezon artystyczny 2011/2012 w Teatrze Dzieci Zagłębia w Będzinie

Niedawno, na deskach Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie miała miejsce inauguracja działalności Sceny Inicjatyw Twórczych, rozszerzającej dotychczasową linię repertuarową Teatru o spektakle dla dorosłych i młodzieży. Spektakl inauguracyjny – inscenizacja sztuki „Emigranci” Sławomira Mrożka – to reżyserski debiut Michała Kuształa (grającego postać AA), aktora związanego z Teatrem Dzieci Zagłębia od 2010 roku. W spektaklu partneruje mu Jacek Piotrowski, grający postać XX. Z kolei 14 października scena SIT-u zaprezentowała premierę „Kartote-



Fot. TDZ

ki” Różewicza (także w reżyserii Kuształa) w ramach zainicjowanych przez TDZ obchodów 90. urodzin Tadeusza Różewicza.

Wraz z nadejściem nowego roku Teatr uruchomi kolejną nową scenę, dla jeszcze młodszych, niż do tej pory, widzów. Baby Scena oferować będzie interaktywne widowiska dla dzieci w wieku od 6 miesięcy do 3 lat. Czym charakteryzować się będą te spektakle? Specjalnie na ich potrzeby zostanie stworzona kameralna, przyjazna dzieciom przestrzeń i scenografia, a także kostiumy i muzyka dostosowane do percepcji małego widza. Widowiska będą miały charakter wspólnej zabawy na scenie dzieci, ich rodziców i aktorów, animowanej oczywiście przez tych ostatnich. Pierwszy spektakl – prapremiera „Bajki z jajka” – Teatr planuje wystawić 8 stycznia.

Wśród najciekawszych wydarzeń zaplanowanych na sezon artystyczny 2011/2012 znajdują się także spektakle plenerowe na scenie miejskiej, na Zamku Królewskim oraz na scenie TDZ, przygotowane specjalnie na dni Będzina. Ponadto, odbędzie się „Międzynarodowy Festiwal Sztuki Autorskiej - Dorman Festiwal”, podczas którego zostanie przygotowany szereg działań artystycznych w przestrzeni miejskiej oraz happeningowych w środkach masowego przekazu. Z tej okazji do Będzina zostaną zaproszone zespoły teatralne z całej Polski i spoza kraju, wśród których zostanie wyłoniony zdobywca statuetki „Dorman Fe-

stiwal”. Celem festiwalu jest zapoznanie widzów z ciekawymi i niepowtarzalnymi autorskimi pomysłami osób związanych z różnymi formami teatralnymi.

TDZ nadal podtrzymuje tradycję organizacji „Ferii w Teatrze” (30.01-12.02) oraz „Lata w Teatrze”, a także wręczania nagród „Anioły Teatralne”, przyznawanych co roku z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru osobom szczególnie zasłużonym dla instytucji. Ponadto, na lipiec i sierpień zaplanowano letnie warsztaty teatralne dla dzieci.

Oczywiście, zgodnie ze statutem, Teatr realizuje swoje działania także gościnnie, na deskach teatrów profesjonalnych, ośrodków i domów kultury w województwie śląskim, łódzkim oraz w wybranych miastach Polski południowej. Planowany jest także udział Teatru w Festiwalach Teatrów Lalkowych oraz podczas Metropolitalnej Nocy Teatrów.

Fot. TDZ



W najbliższym czasie TDZ serdecznie zaprasza do obejrzenia najnowszego spektaklu dla dzieci od 4 lat, „Tomcia Paluszka” w reżyserii Henryka Adamka (listopadowa premiera) oraz do zwiedzenia wystawy „Jan Dorman 1912-2012”, która wkrótce zostanie uzupełniona o nowe materiały fotograficzne. A już w nowym roku Teatr zaprasza na premiery planowanych spektakli „Rozalinda”, „Brzydkie Kaczątko” i „Wielkomilud”.

Oczywiście polecamy także aktualne widowiska, np. „Dzikie labędzie”, „W Dolinie Muminów”, „Zwierzęta Doktora Dolittle” czy „Przygody Rozbójnika Rumcajsa”.

Na koniec, gości Teatru informujemy, że w jubileuszowym roku 60-lecia powstania Teatru planowane jest rozpoczęcie remontu jego budynku i stworzenie sceny miejskiej. Nowe frontowe wejście, ozdobione placykiem zieleni, ma zostać umieszczone od strony Alei Kółkującej, ponadto zmienione zostanie elewacja, a foyer wyremontowane.

Ewa M. Walewska



Barwy soli Europy

Miło nam zawiadomić, że nasz redakcyjny kolega Robert Garstka zdobył trzecią nagrodę w międzynarodowym konkursie fotograficznym „Barwy soli Europy”.

Międzynarodowy Konkurs Fotograficzny „Barwy soli Europy” został rozstrzygnięty 18 listopada. Wręczenie nagród oraz otwarcie wystawy fotograficznej nastąpiło w Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka na III poziomie kopalni soli.

Wpłynęło 165 prac wykonanych przez 37 fotografów pokazujących sól z 24 miejsc w 14 państwach Europy: Austrii, Bułgarii, Chorwacji, na Cyprze, Danii, Francji, Irlandii, Niemczech, Polsce, Portugalii, Rumunii, Słowacji, Słowenii i Włoszech.

Jego celem jest ukazanie piękna, bogactwa i różnorodności odmian soli, występujących w Polsce i w krajach Unii Europejskiej. Sól, znana ze względu na swą wartość i wielorakie zastosowanie potrafi także zachwycić swym pięknem. Prace prezentowały zarówno sól kamienną wydobywaną w kopalniach, jak i efektowne formy wtórnych krystalizacji wytrącające się z solanki czy kompozycje złożone z kryształów powstałych w czasie procesu warzenia w panwiach lub morskich ogrodach.

Wystawę można oglądać w Wieliczce do 31 marca 2012 r., po tym terminie ekspozycja będzie w innych miejscach w Polsce i za granicą. Pod koniec tego roku ukaże się album z najlepszymi pracami pokonkursowymi.



Stowarzyszenie Dzieciom Będzina

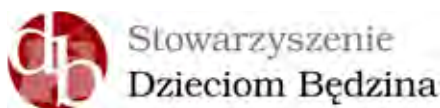
Powstanie Stowarzyszenia Dzieciom Będzina zainicjowała jego obecna prezes Halina Rybak-Gredka, dyrektor Miejskiego Zespołu Szkół nr 4 w Będzinie. W ciągu siedmiu lat działalności Stowarzyszenia piętnastoosobowa grupa znacznie urosła w siłę, aby dziś móc pochwalić się reprezentacją pięćdziesięciu członków. Znajdziemy wśród nich nauczycieli, lekarzy, poetów, muzyków, działaczy społecznych i politycznych, ludzi którzy swój czas i entuzjazm postanowili poświęcić pomocy dzieciom.



Wśród działań podejmowanych przez Stowarzyszenie znajdziemy takie projekty jak Ośrodek „Jesteśmy razem” – oferujący zajęcia socjoterapeutyczne, wycieczki, organizację udziału w imprezach kulturalnych czy rozmaitych konkursach; Bank Podręczników – mieszczący się w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Będzinie, zaopatrzony w ponad 3000 pozycji spośród szerokiej oferty szkolnych podręczników i zeszytów ćwiczeń, co roku nieodpłatnie wypożyczanych potrzebującym dzieciom oraz Brygada Koszykowa dostarczająca przedświąteczny prowiant dla dzieci z rodzin w trudnej sytuacji materialnej. Dużą popularnością cieszył się „Całus i kopniak” – wydany w przez stowarzyszenie w 2009 roku zbiór wywiadów z przedstawicielami kultury regionu.

To tylko część spośród realizowanych projektów. Podejmowanych działań z każdym rokiem przybywa, rośnie także zapotrzebowanie na wsparcie. Działalność Stowarzyszenia Dzieciom Będzina, poznamy dokładniej wchodząc na jego stronę internetową www.dzieciombedzina.info.

Olga Kujawińska-Kostro



Mistrzostwa Ortograficzne Jaworzna

Sukces dyktanda, którym Polaków zaraziła pani Krystyna Bochenek, nie tylko trwa, lecz także rozprzestrzenia się po świecie. Jaworzno ma swoje Mistrzostwa Ortografii, które już po raz dziewiąty przeprowadzono w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 im. Kazimierza Wielkiego. Przewodnicząca jury, p. Barbara Chuderska usprawiedliwiła złąkanych ortograficznie: W tegorocznym dyktandzie błędów było wyjątkowo dużo, ale jesteście usprawiedliwieni, bo poziom jego trudności był szczególnie wysoki. Gdybym to ja miała dzisiaj zasiąść do pisania tej klasów-

ki, sama miałabym spore problemy, mimo że na co dzień zajmuję się tą dziedziną. Zatem wszyscy możecie czuć się zwycięzcami. Poczuli się nimi z pewnością ci, którzy napisali w swoich kategoriach wiekowych najlepiej: W kategorii szkoły gimnazjalne: Monika Stępień (nr 9), Gabriela Pacek (nr 7), Mateusz Frenchowicz (nr 10); szkoły ponadgimnazjalne: Marta Konieczny (I LO), Joanna Pędzikiewicz (III LO), Mateusz Jamróz (ZSP 1); dorośli: Marta Mazur, Lidia Szpakowska, Wojciech Kowalczyk.

Z.A.

„Przedsiębiorstwo FAIR PLAY”. Pierwsze miejsce dla Agencji Rozwoju Lokalnego S.A. w Sosnowcu

2 grudnia 2011 r. w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie odbyło się uroczyste wręczenie nagród i certyfikatów laureatom XIV edycji Programu promocji Kultury Przedsiębiorczości „Przedsiębiorstwo FAIR PLAY”. Organizatorem programu jest Instytut Badań nad Demokracją i Przedsiębiorstwem Prywatnym, a afiliowany jest przy Krajowej Izbie Gospodarczej w Warszawie. Laureatami konkursu jest 96 firm z terenu województwa śląskiego, z subregionu Zagłębie Dąbrowskie certyfikaty i złote certyfikaty „Przedsiębiorstwo Fair Play 2011” otrzymało 13 firm, a są to:

1. Agencja Rozwoju Lokalnego S.A. w Sosnowcu,
2. Hurtownia ROBIN Danuta Robaczewska Dąbrowa Górnicza,
3. Przedsiębiorstwo Wielobranżowe DOMAR Dominik Markocki Czeladź,
4. Drewnex Recycling Plastics Przemysław Miśkiewicz i S-ka Dąbrowa Górnicza,
5. Jihson Electric Poland Sp. z o.o. Dąbrowa Górnicza
6. Oblig Finance & Factoring Jolanta Tambor-Jachna, Arkadiusz Jachna s.c. Dąbrowa Górnicza,
7. Pancerpol Galewski, Trzopek Sp. J Dąbrowa Górnicza,
8. Przedsiębiorstwo Inżynieryjno Budowlana

BUDECON S.A. Sosnowiec,

9. Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji Sp. Z o.o. Dąbrowa Górnicza,

10. RISER Sp. z o.o. Jaworzno,

11. Stalprofil S.A. Dąbrowa Górnicza,

12. VTR Logistics Sp. z o.o. Dąbrowa Górnicza,

13. Zakład Remontowo-Usługowy Andrzej Łukowicz Sosnowiec.

Podstawą otrzymania przez firmę tytułu „Przedsiębiorstwo Fair Play” jest zasada etyki dotycząca wszystkich aspektów działalności firmy, a w szczególności dotycząca spraw czasowego wywiązywania się z zaciągniętych zobowiązań wobec kontrahentów, terminowego uiszczania podatków oraz innych opłat, dbanie o bezpieczeństwo i higienę, prawidłowe warunki pracy zatrudnionych oraz działania na rzecz środowiska lokalnego. Ocenie podlegają również aspekty działania na rynku lokalnym oraz europejskim.

Konkurs „Przedsiębiorstwo Fair Play” jest istotnym czynnikiem wspomagającym prawidłowy rozwój lokalnych środowisk gospodarczych. Jest dobrym kierunkowskazem przekazującym informacje, która firma to potencjalny partner gospodarczy pozwalający na prowadzenie interesów bez zbędnych obaw o ich przeszłość.





K.S. „Budowlani”

MISTRZOSTWA ŚWIATA SENIORÓW W JU-JITSU. CZTERY MEDALE DLA SOSNOWCA!

14–16 października 2011 w Kolumbii w miejscowości Cali odbyły się Mistrzostwa Świata Seniorów w ju-jitsu. W zawodach tych uczestniczyło 26 państw. Polska reprezentacja liczyła 9 osób, z czego trzy są zawodnikami Klubu Sportowego „Budowlani” Sosnowiec: Martyna Bierońska, Agnieszka Bergier i Rafał Riss. Mistrzostwa zostały rozegrane w trzech konkurencjach: w walce w parterze (Ne waza ju-jitsu Brazylijskie), w konkurencji fighting i Duo system.

Na osiem medali zdobytych przez polską reprezentację (4 złote, 2 srebrne, 2 brązowe) aż cztery zdobyli zawodnicy sosnowieckiego Klubu Judo i Ju-jitsu „Budowlani”. Złoty medal w kategorii do 49 kg (fighting) wywalczyła Agnieszka Bergier, która w walce finałowej przed czasem pokonała reprezentantkę Rumunii Mihalache Cataline. Ta młoda 20-letnia zawodniczka w czerwcu bieżącego roku zdobyła srebrny medal na Mistrzostwach Europy seniorów w Mariborze. Ju-jitsu i judo uprawia od 8 roku życia, czyli już 12 lat. W tym roku czekają ją jeszcze Mistrzostwa Świata Młodzieży do lat 21, które odbędą się w listopadzie w Belgii.

Złoty medal w konkurencji Ne-Waza oraz srebrny w konkurencji fighting w kategorii 55 kg wywalczyła Martyna Bierońska, laureatka ubiegłorocznego konkursu na najlepszego sportowca Sosnowca. W Ne waza w walce finałowej przed czasem zwyciężyła re-

prezentantkę Francji Izabell Bacon. W walce finałowej w konkurencji fighting uległa jedynie reprezentantce Niemiec Mandy Sonneman. Należy tu zaznaczyć, że w czerwcu tego roku Martyna na mistrzostwach Europy Seniorów w Mariborze na Słowenii zdobyła swój trzeci złoty medal i obroniła tytuł Mistrzyni Europy. Martyna w swoim dorobku posiada trzy złote medale Mistrzostw Europy Seniorów i jeden brązowy, a jej dorobek z Mistrzostw Świata to trzy srebrne medale i jeden złoty oraz jedyny złoty medal dla Polski w Olimpiadzie Sportów Walki w Ju-jitsu, która odbyła się w Pekinie 2010 roku. Jest najbardziej utytułowaną zawodniczką Polskiego i Światowego Ju-jitsu kobiet.

Brązowy medal wywalczył Rafał Riss w fighting w wadze do 85 kg. W walce o wejście do finału przegrał na punkty z reprezentantem Iranu Masoudem Jalilvandem, w walce o brązowy medal pokonał przed czasem Ivana Nastenkę reprezentanta Ukrainy. Rafał jest młodym, bo 21-letnim zawodnikiem Ju-jitsu i judo uprawia od 6 roku życia, czyli już 15 lat. Na swoim koncie ma tytuł Mistrza Europy Seniorów wywalczony na Słowenii w bieżącym roku oraz brązowy medal Mistrzostw Europy seniorów w 2010 roku. Polska reprezentacja na tych Mistrzostwach została sklasyfikowana na drugim miejscu za reprezentacją Francji, to osiągnięcie stanowi największy sukces sportowy w historii polskiego ju-jitsu. Klub sportowy „Budowlani” w swoim dorobku posiada blisko 60 medali ME i MŚ w dwóch dyscyplinach sportowych judo i ju-jitsu.

Trochę historii

W 1967 roku przy Klubie „Polonia” Sosnowiec Huty CEDLER powstała sekcja JUDO założona przez Zbigniewa Kowala oraz Mariana Blicharza. W 1972 roku Klub ten posiadał swojego pierwszego reprezentanta na Mistrzostwach Europy Juniorów w Leningradzie

Bronisława Kaim. W 1974 roku przy Kombinacie Budownictwa Ogólnego – Zagłębie został utworzony Klub K.S. „Budowlani” KBO Zagłębie Sosnowiec i cała sekcja judo działająca przy Polonii Sosnowiec została przejęta przez ten nowo utworzony klub z inicjatywy Zbigniewa Kowala. W tym okresie od 1967 do 1981 roku do najbardziej utytułowanych zawodników, oprócz Bronisława Kaima, należeli Bogdan Opiełka, Jerzy Skwarek, Maksymilian Klank, Mariusz Kotlicki, Henryk Zielnik, Jan Kmiecik, Andrzej Bartela oraz Ewa Nowak, która była pierwszą zawodniczką w historii judo, która reprezentowała kraj na Mistrzostwach Europy Juniorek w Belgradzie.

W 1981 roku zakład opiekuńczy KBO Zagłębie zrzekł się patronatu nad Klubem, wówczas przyjął on nazwę K.S. „Budowlani” Sosnowiec i jako pierwszy w Polsce rozpoczął prowadzenie działalności gospodarczej na rzecz działalności statutowej. Prezesem klubu został wówczas Adam Górnik, który zarazem był trenerem wraz z Maksymilianem Klankiem oraz Marianem Jasińskim. Działalność Klubu była prowadzona w obiektach Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu oraz salkach szkół podstawowych w Sosnowcu.

Od 1984 roku prezesem był Maksymilian Klank, a wiceprezesem ds. sportowych Marian Jasiński. Natomiast od 1999 roku Marian Jasiński został prezesem i głównym trenerem.

W tym okresie do najlepszych zawodników członków Kadry Narodowej i medalistów Mistrzostw polski należeli: Tomasz Trzmieł, Jolanta Poświat, Robert Kornacki, Bożena Strzałkowska, Lucyna Dyrlik, Katarzyna Telecka, Jarosław Klich, Joanna Pawlik, Monika Purgal.

W 1987 roku B. Strzałkowska zdobyła brązowy medal Mistrzostw Europy w kategorii 48 kg we Wrocławiu, w następnych latach kolejne medale Mistrzostw Europy – złoty w Wiedniu i srebrny w Ankarze oraz srebrny medal Mistrzostw Świata w 1990 roku we Francji.

Od początku lat 90. reprezentanci Klubu startują w dwóch dyscyplinach sportowych judo i ju-jitsu.

W 1997 roku dwaj reprezentanci Klubu, bracia Zimolagowie, Dariusz i Grzegorz, zdobyli pierwsze dla Polski medale (srebrny i brązowy) Mistrzostw Europy Seniorów w Sztokholmie.

1997 roku Grzegorz Zimoląg zdobył brązowy medal Mistrzostw Europy w judo w Bukareszcie oraz 7. miejsce w Mistrzostwach Świata w Kolumbii w judo, a jego brat Darek złoty medal Mistrzostw Świata Seniorów ju-jitsu w Berlinie.

W 2001 roku Grzegorz Zimoląg zdobył pierwszy – i jak do tej pory jedyny – brązowy medal Światowych Igrzysk Sportów Nieolimpijskich w ju-jitsu w Japonii.

W 2003 roku oraz w 2004 roku reprezentantka klubu, Romana Kasperkiewicz zdobyła dwa medale Mistrzostw Europy w judo (Budapeszt i Sarajewo), natomiast w 2002 roku srebrny medal Pucharu Eu-

Od lewej w drugim rzędzie stoją: Bartłomiej Bednarczyk kat 69 kg, Rafał Riss kat 85 kg, Emilia Maćkowiak kat 70, Jacek Szewczak kat +94kg. Od lewej w pierwszym rzędzie: Agnieszka Bergier kat 49 kg, Martyna Bierońska kat 55 kg, Trener Kadry Narodowej Marian Jasiński, sędzia Światowy Tomasz Zakolski, Tomasz Krajewski kat 85 kg, Marek Kręcielewski Kat 62 kg. Fot. K.S. „Budowlani”





Technika w wykonaniu Magdy Giec i Konrada Nowickiego podczas Mistrzostw Polski Seniorów w Zawierciu. Fot. K.S. „Budowlani”

ropy Seniorów w Paryżu. W 2003 roku zdobyła ona również srebrny medal Mistrzostw Europy w Hanau.

W 2010 roku w Pekinie po raz pierwszy zorganizowano Olimpiadę Sportów Walki Dyscyplin Olimpijskich i Nieolimpijskich (13 dyscyplin sportowych), w których udział wzięło 1300 zawodników z 60 państw. Martyna Bierońska wywalczyła tam złoty medal w kategorii 55kg w ju-jitsu.

Obecnie Klub ma siedzibę główną przy ulicy 1. Maja w Sosnowcu, gdzie bazę stanowią salki do judo/ju-jitsu oraz duża siłownia, ponadto klub bazuje na filiach zlokalizowanych na obiektach MOSiR-u na Nivce i Ostrowach Górniczych oraz w szkołach podstawowych nr 45, 39, 27, 3, 5 oraz w ościennych miastach w Mysłowicach i Katowicach. Trenerzy i zawodnicy klubu otrzymali wiele wyróżnień za wybitne osiągnięcia. W historii Klubu trzy osoby za swoje osiągnięcia zostały laureatami nagrody na Najlepszego Sportowca Miasta Sosnowca – Bożena Strzałkowska, Dariusz Zimoląg i Martyna Bierońska. W sumie dorobek wynikowy Zawodników i Trenerów Klubu to blisko 60 medali Mistrzostw Europy i Świata w kategorii juniorów do lat 18, młodzieży do lat 21 i seniorów w judo i ju-jitsu.

O klubie

Uprawianie dyscyplin indywidualnych, a zwłaszcza sportów walki, jest niezwykle trudne. Wymaga wielu lat bardzo ciężkiej pracy polegającej na kształtowaniu wszystkich cech motorycznych, przede wszystkim siły, szybkości i wytrzymałości. Bardzo dużą rolę w tych działaniach odgrywa psychika, zdarza się bowiem, że zawodnik bardzo dobrze radzi sobie na treningu i w walkach kontrolnych, natomiast w momencie gdy dochodzi obciążenie startowe na zawodach, nie

potrafi on w pełni wykorzystać swoich umiejętności.

Piętno przegranej walki nie rozkłada się na całą drużynę, w sportach walki przegrywa jednostka i to ona sama musi uczyć się wykorzystywać porażki, tak aby wyciągnąć z niej pozytywne wnioski. Zawodnik w takich sportach jak boks, zapasy, judo, ju-jitsu, karate itp. przegrywa fizycznie (poprzez ilość otrzymanych ciosów, uderzeń, kopnięć, wykonanych na nim rzutów dźwigni czy też duszeń) i psychicznie (gdyż to on sam przegrywa z imieniem i nazwiskiem, a razem z nim jego trener).

Sądzę, iż na sukces sportowy składa się wiele czynników. Najważniejszym jest trener – jego wiedza, doświadczenie i umiejętności z zakresu wielu dziedzin nauki i specyfiki samego sportu, np.: biomechanika ruchu, fizjologia, biochemia, anatomia, antropologia i psychologia, medycyna sportu, pedagogika i inne. Następnie dopiero zawodnik, który jest chętny podjąć trudny i bardzo ciężki trening, gdzie sport stanie się jego sposobem życia i pasją.

Połączenie składowych: trener, zawodnik, gdzie bez względnie jeden z drugim musi chcieć współpracować, a także sparingpartnerzy, baza treningowa, wsparcie ze strony rodziny, szkoły, urzędników, kibiców i sponsorów daje duże prawdopodobieństwo osiągnięcia wysokiego wyniku sportowego w dyscyplinach indywidualnych.

Klub sportowy „Budowlani” posiada zgrany zespół trenerów i instruktorów, którzy pracują na dobry wizerunek naszego Klubu i miasta, prowadząc szkolenia na poszczególnych etapach wiekowych. Stworzony przez nas system szkoleniowy polega na:

– Dostępności naszego sportu i klubu poprzez prowadzenie zajęć w wielu dzielnicach miasta Sosnowiec (Centrum, Nivka, Ostrowy Górnicze, Kazimierz, Sta-

ry Sosnowiec, Pogoń, Zagórze).

– Wstępnej selekcji prowadzonej w tych ośrodkach.
– Na etapie szkolenia podstawowego klub organizuje od wielu lat comiesięczne turnieje, na których zawodnicy poszczególnych sekcji mogą sprawdzać swoje umiejętności, trenerzy dokonywać analiz startu swoich podopiecznych.

– Po doprowadzeniu zawodnika do etapu młodzika i juniora młodszego zawodnicy koordynowani są przez głównego trenera, zwiększa się ilość jednostek treningowych, a w nich obciążenia i intensywność.

– Zwiększa się ilość startów w zawodach regionalnych, wojewódzkich ogólnopolskich i międzynarodowych.

– Zawodnicy mają przygotowane plany treningu siłowego na obiektach klubu odpowiednio do nich dostosowane.

Zajęcia w klubie prowadzą wychowankowie Mariana Jasińskiego – głównego trenera „Budowlani”:

– Robert Twardowski – trener i wiceprezes,
– Martyna Bierońska – trenerka i czynna zawodniczka,
– Grzegorz Gros – trener i czynny zawodnik,
– Michał Prościwicz – trener,
– Agnieszka Bergier – trenerka i czynna zawodniczka,
– Katarzyna Grzywacz – trenerka i czynna zawodniczka,

– Łukasz Pawelec – trener i czynny zawodnik,
– Konrad Nowicki – trener i czynny zawodnik.

Klub współpracuje również z innymi trenerami, którzy także posiadają kwalifikacje i prowadzą zastępstwa w poszczególnych sekcjach podczas nieobecności trenera oraz uczestniczą w organizacji zawodów sportowych. Ścisłe współpracujemy z wieloma lekarzami, którzy niejednokrotnie – o czym świadczy nasza historia – byli bardzo dobrymi zawodnikami naszego Klubu – mówi Marian Jasiński.

Oprac. red.

Marian Jasiński, prezes K.S. „Budowlani”. Fot. M.B.



KAMPAANIA PRZECIW PRZEMOCY W RODZINIE

Kampania „Wolność od strachu” oficjalnie wystartowała 3 listopada 2011r. konferencją prasową w Urzędzie Miasta, na której przedstawiono jej założenia i cele. Wokół Kampanii udało się zbudować silną koalicję medialną (lokalna prasa, radio, telewizja, internet), której celem było wspieranie podejmowanych akcji, tak aby wszyscy mieszkańcy miasta mieli dostęp do informacji oraz wiedzieli, jak skutecznie przeciwdziałać przemocy.

W kilka dni po konferencji prasowej mieszkańcy Sosnowca mogli zauważyć nabierające z dnia na dzień tempa działania informacyjne promujące postawę „Wolności od strachu”.

Na potrzeby akcji wydrukowano 50 tys. ulotek skierowanych do osób doświadczających przemocy oraz świadków, także 25 tys. broszur informacyjnych opisujących prawne i psychologiczne aspekty radzenia sobie z przemocą w rodzinie. Publikacje dostępne są w instytucjach pomocowych i publicznych na terenie miasta.

Na słupach ogłoszeniowych oraz instytucjach miejskich (wydziały urzędu miejskiego, biblioteki, szkoły, prokuratura, policja, straż miejska) pojawiły się plakaty przedstawiające ofiary przemocy domowej oraz hasła kampanii „Nie bój się mówić. Żyj wolna od strachu”. Zaraz po nich na ulicach umieszczono billboardy.

Od listopada sosnowiczanie korzystający z usług komunikacji miejskiej mogli „chwycić się” kampanii (uchwyty), a także zobaczyć duże naklejki na tylnych szybach oraz plakaty.

W pięciu punktach miasta wyeksponowano banery zewnętrzne eksponujące hasła kampanii.

Idący ulicą Modrzejowską, Placem Stulecia oraz Aleją Zwycięstwa w Sosnowcu mogli niemal dosłownie „potknąć się” o ustawione na niej potykanie kampanii informujące o skali zjawiska przemocy domowej w Sosnowcu – tylko w 2010 roku policja zarejestrowała aż 700 rodzin, w których regularnie stosowana jest przemoc! Niektórzy z czytających z niedowierzaniem kręcili głowami i komentowali „...Niemożliwe, to straszne...”.

Organizatorzy kampanii zadbali, by była ona obecna w Internecie. Kampania ma własną stronę – www.wolnoscodstrachu.pl zawierającą wszystkie materiały oraz informacje niezbędne zarówno dla świadków, jak i ofiar przemocy.

Portale lokalne wchodzące w skład koalicji medialnej od początku kampanii eksponują banery internetowe i informują o kolejnych wydarzeniach publikując kampanijne newsy.

Utworzono także Fan Page, czyli stronę w najpopularniejszym portalu społecznościowym – Facebook (<http://www.facebook.com/WolnoscOdStrachu>), dzięki czemu zdobywano kolejne osoby

popierające akcję.

Od 22 listopada, poprzez portal You Tube oraz TV Sosnowiec (<http://www.youtube.com/watch?v=U649DWBoiso&feature=feedlik>), a także odsyłacze i informacje na portalach partnerów kampanii możemy zobaczyć przejmujący spot filmowy pt. „Nie zagłuszaj sumienia” wyprodukowany we współpracy ze studiem filmowym BalansFilm.

Po analizie kilku scenariuszy zwyciężyła koncepcja, w której nie poznajemy sprawcy przemocy, a skupiamy się na odczuciach sąsiadki, która słyszy awanturę za ścianą – mówi Michał Bednarczyk, producent filmowy. Film kręcony był w centrum Sosnowca oraz w dzielnicy Ostrowy, gdzie kilkunastoosobowa ekipa pracowała nad wspólnym dziełem przez kilka dni i nocy. Film można obejrzeć na razie w internecie, ale niebawem pokaże się także w telewizji.

Telewizja internetowa Kanał 99 nakręciła także 15-minutowy film edukacyjny opowiadający historię osoby doświadczającej przemocy. Porusza on problem, jak wyrwać się z kręgu cierpienia.

Jednocześnie z działaniami w Internecie, dla tych, którzy wolą papierowe informacje, partnerzy prasowi kampanii „Wolność od strachu” publikowali artykuły na temat przeciwdziałania przemocy w rodzinie. Były one drukowane w „Twoim Zagłębiu”, „Wiadomościach Zagłębia”, „Nowym Zagłębiu”, „Dzienniku Zachodnim”, „Kurierze Miejskim”.

Słuchacze Radia ESKA zapewne słyszeli już spoty radiowe kampanii informujące o różnych rodzajach przemocy – psychicznej, fizycznej, ekonomicznej i seksualnej – nawołujące mieszkańców do aktywnej postawy niezgody wobec przejawów domowego okrucieństwa.

Od samego początku Kampanii Centrum Informacji Miejskiej w Sosnowcu aktywnie wspierało ją reklamowo. Dzięki zaangażowaniu pracowników Centrum kampania docierała do coraz większej liczby mieszkańców miasta.

8 grudnia w Wyższej Szkole Humanitas odbyła się konferencja edukacyjna „Przemoc, krąg, który można przerwać” dotycząca skutecznego przeciwdziałania przemocy w mieście z udziałem pracowników socjalnych, nauczycieli, pedagogów, psychologów, prawników, policjantów, urzędników oraz studentów.

9 grudnia w Art Cafe Muza przy ul. Warszawskiej 2 mieszkańcy Sosnowca wzięli udział w Społecznym Festiwalu Wolność od Strachu – SOSnowiczanie Przeciw Przemocy. – Zaprosiliśmy wszystkich, którym zależy, aby Sosnowiec



był miastem bezpiecznym, wolnym od przemocy w rodzinie i w miejscach publicznych – mówi Adrian Rdzeń z Wydziału Polityki Społecznej. Festiwal Społeczny to liczne koncerty muzyki popowej, jazzowej, alt rock i etno w wykonaniu muzyków i zespołów z Zagłębia. Prezentacja ciekawych filmów oraz reklam społecznych pochodzących ze światowych kampanii antyprzemocowych, a także pokazy i warsztaty tańca – irlandzkiego oraz salasy. Na warsztatach psychologicznych można było nauczyć się umiejętności, które pomogą obronić się przed przemocą, czyli asertywności, skutecznej komunikacji i wyrażania własnych potrzeb. Uczestnicy festiwalu mogli spróbować relaksujących właściwości kąpieli w gongu i w dźwiękach mis tybetańskich. Prezenty-niespodzianki rozdawane w czasie festiwalu będą przypominać o tym, że przemoc domowa nie jest sprawą prywatną, ale dotyczy wszystkich nas. Piłeczki antystresowe, kubki, krowki, balony, zegary, kredki oraz coś smacznego dla podniebienia – to także ważne atrakcje festiwalu.

Przesłanie imprezy jest jasne: Razem możemy powstrzymać przemoc w naszym mieście!

Spotkanie

Ktoś całkiem niedawno spytał mnie, czy z przemocy można wyjść, czy można jeszcze ułożyć sobie życie. Pomyślałam wtedy o Pani Iwonie. Ona też zadała mi to pytanie. To było 3 lata temu, gdy po raz pierwszy zjawiła się u mnie. Pamiętam, że stała w gabinecie błada, wystraszona, niepewna. Na jej twarzy widać było nieprzespane noce.

Mówiła o tym, że nie wie, czy powinna odchodzić od męża i pytała, czy możliwe jest, że jeszcze będzie normalnie w jej życiu, bez krzyków, niepewności, wystraszonych oczu dzieci...

Rozmawialiśmy wtedy o sytuacji rodzinnej. Mąż, alkoholik, codziennie wszczynał awantury, krzyczał, rzucał przedmiotami. Dwójka małych dzieci była coraz bardziej wystraszona i smutna.

Starsza córka zaczęła moczyć się w nocy. Mieszkali wspólnie z teściami w ich domu. Teściowie „nie chcieli się wtrącać w nie swoje sprawy”.

Pamiętam, że Pani Iwona mówiła bardzo zdawkowo o tym, że mąż ją bije. Tak, jakby nie chciała o tym pamiętać.

Tak było 3 lata temu. Dziś Pani Iwona przychodzi na spotkanie. Wygląda inaczej. Wchodzi z podniesioną głową, wyprostowanymi plecami. Uśmiecha się na powitanie. Wspominamy nasze pierwsze spotkanie.

Pani Iwona: Teraz już wiem, że można z tego wyjść. Nie wiem, jak to zrobiłam, ale teraz jestem w zupełnie innym miejscu.

Terapeuta: Co to za miejsce?

Pani Iwona: To mój dom, o którym zawsze marzyłam. Jest w nim spokój i bezpieczeństwo. Tu nic złego mnie nie spotka.

Terapeuta: Co Pani pomogło wtedy podjąć decyzję o odejściu od męża? Co pomagało wytrwać w tym postanowieniu?

Pani Iwona: Był taki moment, że zobaczyłam siebie jak na filmie i to był koszmar. To było wtedy, gdy Pani spytała, jak będzie wyglądać moje życie za 5, 10 lat. Zobaczyłam czerni, smutek. Widziałam siebie, wyglądałam jak cień, byłam tylko jego cieniem, dopasowującym się do jego nastroju, zachowania. Zobaczyłam dzieci chowające się po kątach. To było straszne wyobrażenie. I wtedy uświadomiłam sobie, że jeśli z nim zostanę, to zmarnuję swoje życie i unieszczęśliwię dzieci. Było mi wtedy bardzo smutno, ale poczułam ulgę. Ulgę, że już nie muszę z nim być, nie muszę się oszukiwać, że jeszcze będzie dobrze, że się zmieni, że mamy rodzinę, dom. Zawsze bardzo chciałam mieć swój prawdziwy dom, rodzinę, ognisko domowe, wie Pani. I pomyślałam, że tego nie mam i nie będę miała, jeśli czegoś nie zmienię.

Terapeuta: I zrobiła to Pani. Jak Pani tego dokonała? Co było pomocne? Kto Panią wspierał? Pani Iwona: Poprosiłam o pomoc tych, na których mogłam polegać – przyjaciół, rodzinę. Zgłosiłam się do instytucji. Zamieszkałam z dziewczynkami w hostelu. Tu poznałam kobiety w podobnej sytuacji, dawałyśmy sobie sporo wsparcia. Bardzo mi pomogły spotkania z Panią. Wiele zrozumiałam, dowiedziałam się o sobie rzeczy, o których nie miałam pojęcia.

Terapeuta: Jakich?

Pani Iwona: Że jestem bardzo silna. Że potrafię wywalczyć dla siebie i dzieci to, co najlepsze. Że zasługuję na szacunek. I że potrafię się śmiać.

Terapeuta: Jak jest teraz?

Pani Iwona: Teraz moje marzenie spełnia się. Mam pracę, w której mnie doceniają. Kilka miesięcy temu przeprowadziłam się z córkami do mieszkania komunalnego. Mam swój wymarzony dom, w którym czujemy się bezpiecznie. Jestem już po rozwodzie. Były mąż nie kontaktuje się z dziećmi. One też o to nie zabiegają. Może lepiej by było, gdyby mieli jakieś kontakty, ale nic na siłę. Dla mnie najważniejsze jest, że dziewczynki i ja jesteśmy bezpieczne, że możemy spokojnie żyć.

Terapeuta: Co teraz, z dzisiejszej perspektywy może powiedzieć Pani Iwonie sprzed 3 lat?

Pani Iwona: Powiem, mówię sobie: Kochana. Właśnie tego dokonałaś. Masz prawdziwy dom. Twoje dzieci są razem z Tobą. Żyjesz. Uśmiechasz się. Jesteś szczęśliwa. Jesteś wolna...

*Agnieszka Galańczuk
psychoterapeuta, interwent kryzysowy*

Jak prawo chroni osoby doświadczające przemocy w rodzinie?

Prawo cywilne

Od sierpnia 2010 r. zaczęła obowiązywać znowelizowana ustawa o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie. Wśród szeregu zmodyfikowanych regulacji znalazło się wiele przełomowych z punktu widzenia zwalczania przemocy.

Na podkreślenie zasługuje fakt, iż ustawa wprowadza również zmiany w innych istotnych aktach prawnych, a szczególnie w Kodeksie karnym i Kodeksie cywilnym. Wprowadzone zmiany dały nowe możliwości prawne, np. wobec sprawców przemocy w rodzinie można zastosować środki mające na celu odizolowanie ich od osoby doświadczającej przemocy, zapobieganie kontaktowaniu się z osobami pokrzywdzonymi oraz kierowanie na oddziaływania korekcyjno-edukacyjne.

Izolacja sprawcy przemocy w rodzinie od osoby doświadczającej przemocy

Ochrona osób pokrzywdzonych przemocą związana jest bezpośrednio z dotychczasowymi sytuacjami, w których sprawcy przemocy w rodzinie w ogromnej większości nie byli odseparowywani

od swoich „ofiar”, najczęściej otrzymując wyroki w zawieszeniu. Wracali do domu, gdzie dalej dręczyli rodzinę, a osoba doświadczająca przemocy musiała w pośpiechu opuszczać własny dom.

Zgodnie z zapisem art. 11a Ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie, jeżeli członek rodziny wspólnie zajmujący mieszkanie, swoim zachowaniem polegającym na stosowaniu przemocy w rodzinie, czyni wspólne zamieszkiwanie szczególnie uciążliwym – osoba dotknięta przemocą może żądać, aby sąd zobowiązał go do opuszczenia mieszkania. Sąd w ciągu miesiąca od dnia wpływu wniosku musi podjąć decyzję w tym zakresie.

Kogo, jak, na jaki czas?

Ważne jest zwrócenie uwagi na zakres stosowania przywołanego zapisu – kogo można z mieszkania usunąć (właściciela, współwłaściciela)? Teoretycznie można usunąć i głównego właściciela i współwłaściciela, praktycznie sądy opierają się o interpretację podobną jak w przypadku rozwodów, według której środek ten można zastosować jedynie wobec współwłaściciela.

Drugim ważnym elementem jest czas obowiązywania wyroku. Tu istotny jest fakt, iż odwołanie się osoby skazanej nie wstrzymuje trybunału opuszczenia lokalu – zostaje zachowana pełna prawomocność wyroku.

Trzecim istotnym aspektem jest możliwość zmiany osoby stosującej przemoc np. udanie się na grupę korekcyjno-edukacyjną, podjęcie leczenia odwykowego etc. – w tym przypadku postanowienie sądu może być zmienione lub uchylone.

Kto wykonuje?

Wyrok opuszczenia lokalu wydany przez sąd wykonuje komornik. Wykonując egzekucję komornik musi umieścić osobę w lokalu socjalnym lub pomieszczeniu tymczasowym. Szkopuł w tym, że gmina powinna zapewnić skazanemu tymczasowe mieszkanie. W Sosnowcu zostało to rozwiązane – jako pierwsze miasto w Polsce, Sosnowiec dysponuje pomieszczeniem tymczasowym, do którego komornicy mogą eksmitować sprawców przemocy.

Aby komornik przeprowadził egzekucję (tj. usunął z mieszkania sprawcę), konieczne jest wniesienie zaliczki, ale zgodnie z zapisem art. 771 Kodeksu postępowania cywilnego, można zostać zwolnionym z kosztów (wnioskować o nie można na etapie rozprawy lub w momencie egzekucji komorniczej).

35 lat produkcji w najwyższych standardach

10 grudnia minie dokładnie 35 lat od momentu kiedy pierwszy blok Elektrowni Jaworzno III został zsynchronizowany z Krajowym Systemem Energetycznym i z jaworznickiej Trójki popłynęła pierwsza energia.



Dzięki wielu inwestycjom Tauron Wytwarzanie SA – Oddział Elektrownia Jaworzno III w Jaworznie jest dzisiaj nie tylko największym i przodującym zakładem grupy, ale należy do najnowocześniejszych i najbardziej ekologicznych elektrowni systemowych w Polsce.

Jednak tradycję jaworznickiej energetyki sięgają XIX wieku, kiedy przy szybie Rudolf Jaworznickiego Gwarectwa zainstalowano dwa agregaty prądu stałego o łącznej mocy 320 kW. W 1903 roku przy szybie Fryderyk August postawiono nową kotłownię z dwoma kotłami walczakowymi, dzięki czemu moc wzrosła do 380 kW. W latach 1911–1914 instalowano kolejne agregaty prądotwórcze



i zwiększano moc. W 1930 roku prąd z jaworznickiej elektrowni zasiliał nie tylko Jaworzno, ale również Kraków, powiat olkuski i siedem gmin powiatu chrzanowskiego. Lata 1948–1959 to czas modernizacji Elektrowni Jaworzno I, dzięki którym zakład osiągnął moc 157 MWe.



Jednocześnie realizowano budowę Elektrowni Jaworzno II, której dwa pierwsze turbozespoły uruchomiono 19 lipca 1953 roku. W 1962 roku Dwójka osiągnęła moc 350 MWe. Obydwie elektrownie pracowały jako samodzielne przedsiębiorstwa do 1972 roku, kiedy to zostały połączone w Zespół Elektrowni Jaworzno.

W tym samym roku rozpoczęła się budowa Elektrowni Jaworzno III. 10 grudnia 1976 roku, o godz. 22.28 dokonano synchroniza-



cji z siecią energetyczną pierwszego bloku elektrowni, a w dwóch następnych latach oddano do eksploatacji pięć pozostałych. Inwestycję zakończono w 1979 roku.

W 1996 roku została oddana do eksploatacji instalacja odsiarczania spalin wykorzystująca metodę mokrą, pierwsza w polskiej elektrowni opalanej węglem kamiennym. Wybudowanie tej instalacji było ukoronowaniem wieloletnich zabiegów, które ostatecznie wprowadziły elektrownię do grupy firm spełniających wymogi Unii Europejskiej w zakresie ochrony środowiska. W 1996 roku rozpoczęła się realizacja programu modernizacji efektywnościowej podstawowych urządzeń wytwórczych Elektrowni III, a więc turbin i generatorów wraz z automatyzacją procesu pracy bloków. Program realizowany był w latach 1996–2003. W jego wyniku Trójka zwiększyła moc osiągalną o 145 MWe.

W 2000 roku Elektrownia Jaworzno III SA znalazła się w gronie elektrowni – założycieli Południowego Koncernu Energetycznego SA. W maju 2007 roku PKE SA wszedł w skład Grupy Kapitałowej Tauron, a od 30 sierpnia 2011 roku zmienił nazwę na Tauron Wytwarzanie SA.

Tauron Wytwarzanie SA – Oddział Elektrownia Jaworzno III w Jaworznie w swojej historii otrzymał wiele prestiżowych nagród i odznaczeń. Do najważniejszych należą: przyznane w 1996 przez redakcję Dziennika Zachodniego i Oddział Katowicki Business Centre Club tytuły „Płatynowej Firmy” i „Złotej Firmy”, w 2000 nagroda wydawnictwa Ekoprofit „Jakość dla Środowiska”, w 2001 i 2004 roku „Panteon Polskiej Ekologii” przyznany przez Ministra Środowiska i Dyrektora Polskiego Centrum Badań i Certyfikacji, w roku 2004 i 2009 – „Śląska Nagroda Jakości”, w 2004 i 2005 roku „Laur Białego Tygrysa”, w 2009 roku przyznany przez Agencję Promocji Energii wraz z redakcją czasopisma „Energia”, „Laur Białego Tygrysa Polskiej Energetyki – Energia 2009”, w 2009 roku „Złoty Laur Umiejętności i Kompetencji” od Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach.

Bieżący rok przyniósł Elektrowni Jaworzno III dwa szczególnie ważne wyróżnienia, które podkreślają proekologiczny charakter działań tej jednostki. 15 listopada, na uroczystej gali w Teatrze Capitol w Warszawie Tauron Wytwarzanie Spółka Akcyjna – Oddział Elektrownia Jaworzno III w Jaworznie otrzymał laur 13. edycji Konkursu Ministra Środowiska „Lider Polskiej Ekologii” w kategorii przedsięwzięcia za: „Modernizację IOS, budowę III ciągu odsiarczania spalin dla bloków nr 3 i 4 oraz budowę osadnika żużla”. Natomiast 17 listopada, w Kopalni Soli w Wieliczce odbyła się uroczysta gala,

podczas której nagrodzono zwycięzców w konkursie European EMAS Awards 2011 organizowanym przez Generalną Dyрекcję ds. Środowiska Komisji Europejskiej. Pomimo, iż system EMAS w Elektrowni Jaworzno III funkcjonuje dopiero od roku, to jaworznicka elektrownia znalazła się w gronie nominowanych w kategorii dużych organizacji sektora prywatnego.

Ukoronowaniem 35 lat działalności Trójki na polskim rynku energetycznym była uroczysta gala, która odbyła się 18 listopada w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. W uroczystości wzięli udział ludzie, dzięki którym jaworznicka Trójka powstała i rozwijała się. Nie zabrakło również przedstawicieli władz województwa, samorządu, Ministerstwa Gospodarki i Zarządu Tauron Polska Energia. Na gali obecny był wicewojewoda śląski – Stanisław Dąbrowa, prezydent Jaworzna – Paweł Silbert, przed-

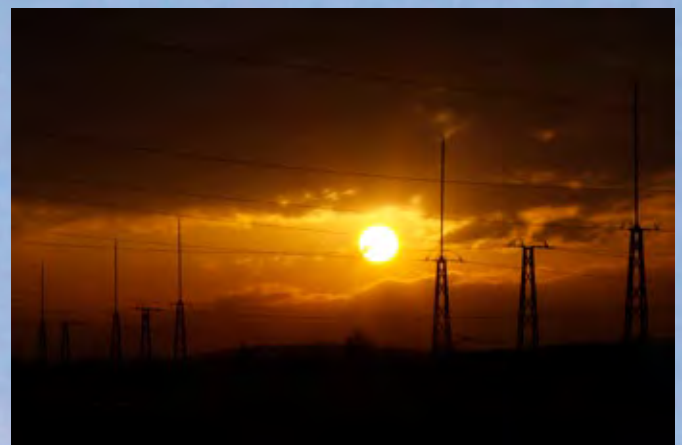


stawicielka Departamentu Energetyki w Ministerstwie Gospodarki – Aleksandra Palczewska oraz reprezentujący Zarząd Tauron Wytwarzanie prezes Piotr Kołodziej.

Nie zabrakło również przedstawicieli firm współpracujących, byłych członków dyrekcji Trójki oraz zakładów energetycznych Polski południowej, a przede wszystkim przedstawicieli załogi.

Podczas gali 13 osób, decyzją Prezydenta RP, zostało odznaczonych Złotym Medalem za Długoletnią Służbę. Minister Gospodarki przyznał 21. osobom medale za Zasługi Dla Energetyki, natomiast dyrektor elektrowni przyznał kilkudziesięciu pracownikom Odznaki Zasłużony dla Elektrowni Jaworzno III. Uroczystości zamknął recital w wykonaniu Barbary Lubos-Święs.

(DW)



co 4-te dziecko w naszym mieście
doświadcza **przemocy
w domu**

S.O.S. NOWICZANIE

Nie bój się mówić.

Uwolnij je od strachu.

organizatorzy:

